

# Zamknięty świat

Silverberg Robert



calibre 0.9.43

**ROBERT SILVERBERG**

**ZAMKNIĘTY**

**ŚWIAT**

**(PRZEŁOŻYŁ: JACEK CHEŁMINIAK)**

*"Przyszliśmy na świat,*

*by zespolić się z bliźnimi i złączyć*

*we wspólnocie z rodzajem ludzkim".*

*Cyceron, De finibus, IV*

**Dla Ejler Jacobsson**

*"Ze wszystkich stworzeń człowiek najmniej jest zdolny do życia w*

*stadzie. Spędzony w stado jak trzoda, szybko niszczeje. Oddech jednostki*

*ludzkiej jest zabójczy dla innych ludzi".*

**Jan Jakub Rousseau, Emil I**

**UCIECZKA Z UTOPII**

**Druga trzydzieści. Kawał czasu do świtu. Przystając, przygląda się**

**otaczającym go ciemnym, plastikowym ścianom, o metalicznym**

**wyglądzie i ciepłe połyskującego spizu. Mocna, solidnie zaprojektowana**

**konstrukcja. Wężowe sploty niewidocznych kabli wijące się wewnątrz**

**rdzenia instalacyjnego. I ten przeogromny, czuwający umysł - dzieło rąk**

**ludzkich, który jednak tak łatwo było przechytrzyć.**

**Michael odnajduje terminal i identyfikuje się.**

**- Michael Statler, numer 70411. Proszę o przepustkę wyjścia.**

**- Oczywiście, sir. Pańska przepustka.**

**Z otworu wylatuje błyszcząca błękitna bransoleta. Michael wsuwa ją**

na przegub dłoni i zjeżdża na dół szybociągiem. Poziom 580, Boston. 375,

San Francisco. *Parter: wszyscy wysiadać.*

Nad wyjściem zapala się czerwone światło i luk otwiera się.

Ruszając przed siebie, Michael wchodzi do słabo oświetlonego, długiego i zimnego tunelu. Drzwi, *przez* które przeszedł, zamykają się za nim, by nie dopuścić do zanieczyszczenia. Chwila oczekiwania... Drugie drzwi, skrzypiąc trochę, stają otworem.

Michael nie widzi przed sobą nic prócz ciemności; mimo to przekracza próg i natrafia na schodki: siedem... osiem stopni.

Schodząc w dół, niespodziewanie potyka się na ostatnim z nich.

Wstrząs upadku. Dalej już tylko ziemia, dziwnie gąbczasta ustępliwa. Ziemia. Gleba. Piach. Jest na zewnątrz. Wyszedł...

I

Wstaje kolejny szczęśliwy dzień 2381 roku. Poranne słońce zawędrowało już na wysokość pięćdziesięciu najwyższych pięter Monady Miejskiej 116. Niedługo cała wschodnia ściana budowli załśni blaskiem niczym gładź morza o świcie. Okno Charlesa Matterna, uaktywnione pierwszymi fotonami brzasku, odmatawia się. Mężczyzna otwiera oczy. Szczęść boże, mówi w myślach. Jego żona ziewa i przeciąga się leniwie. Czwórka dzieci, które nie śpią już od paru godzin, może wreszcie oficjalnie rozpocząć dzień. Wstają i ze śpiewem paradują dookoła sypialni.

*Szczęść boże, szczęść boże, szczęść boże! Szczęść boże każdemu z nas! Szczęść Tacie, szczęść Mamie i dzieciom! Na świecie całym - szczęść*

*dużym i małymi Płodnością obdarz nasi*

Skończywszy, pędzą do platformy sypialnej rodziców. Mattern podnosi się, aby je uściskać. Ośmioletnia Indra, siedmioletni Sandor, pięcioletni Marx i trzyletnia Cleo. Mała liczebność jego stadka jest powodem ukrywanego wstydu Matterna. Czy o mężczyźnie z zaledwie czwórką pociech można powiedzieć, że naprawdę kocha życie? Niestety, lono Principessy nie wydaje już owoców. Medycy orzekli, że nie będzie mieć więcej dzieci. Bezplodna dwudziestosiedmiolatka. Mattern zastanawia się, czy nie powinien wziąć drugiej kobiety. Tak bardzo chciałby znów usłyszeć kwilenie noworodka. Człowiek musi przecież spełniać powinność wobec boga.

- Tatku, Siegmund jeszcze tu jest - oznajmia Sandor.

Chłopiec pokazuje palcem. Rzeczywiście: na platformie sypialnej po stronie Principessy, skulony naprzeciw pedału pneumatycznego, śpi czternastoletni Siegmund Kluver. Korzystając z przywileju wspólnoty, chłopak odwiedził mieszkalnię Matternów parę godzin po północy.

Wiadomo było zawsze, że Siegmund lubi starsze kobiety, ale w ciągu kilku ostatnich miesięcy jego upodobanie przeszło, zdaje się, w trwały zwyczaj.

Młodzian ziewa: przeszedł dzisiejszej nocy niezły trening. Mattern trąca go łokciem.

- Siegmund? Siegmund, pora wstawać!

Nocny gość otwiera oczy i uśmiecha się do gospodarza. Po chwili siada, sięgając po ubranie. Nie da się ukryć, jest całkiem przystojny.

Mieszka na 787 piętrze i ma już jedno dziecko; drugie jest właśnie w

drodze.

- Przepraszam, zasnęłam - mówi. - To przez to, że Principessa potrafi naprawdę zmęczyć. Prawdziwa dzikuska!

- Owszem, nie brakuje jej temperamentu - przyznaje Mattern.

Jeśli prawdą jest to, co słyszał, to Mamelon, żonie Siegmunda - również. Planuje spróbować jej, gdy będzie trochę starsza. Może już przyszłej wiosny.

Siegmund wkłada głowę pod splukiwacz molekularny. Teraz i Principessa wstaje. Kiwnąwszy lekko mężowi, naciska pedał. Powietrze szybko uchodzi z platformy. Kobieta zaczyna programować śniadanie.

Wyciągając bladą, prawie przezroczystą rączkę, Indra włącza ekran.

Ściana wybuchła światłem i kolorami.

- Dzień dobry - mówi kordialny głos. - Jeśli ktoś jest ciekaw,

temperatura na zewnątrz wynosi 28 stopni. W dniu dzisiejszym Monada 116 liczy już 881 115 mieszkańców; o 102 więcej niż wczoraj, 14 187 więcej

niż w pierwszym dniu roku. Szczęść boże, zwalniamy tempo! Naszym

sąsiadom z Monady 117 przybyło od wczoraj 131, w tym czworaczki, które

powiła pani Hula Jabotinsky. Szczęśliwa osiemnastoletnia mama ma

teraz jedenaścioro. Prawdziwa służka boża, prawda? Mamy szóstą

dwadzieścia. Dokładnie za czterdzieści minut do naszego miastowca

przybędzie dostojny gość, socjokomputator z Piekła, Nicanor Gortman,

którego

łatwo

rozpoznać

po

charakterystycznym,

karmazynowo-ultrafioletowym stroju. Doktor Gortman będzie gościem Charlesa Matterna z 799 piętra. Oczywiście wszyscy przyjmiemy go z taką samą błogosławiennością, jaką okazujemy sobie nawzajem. Szczęść boże Nicanorowi Gortmanowi! Czas na wiadomości z niższych poziomów miastowca... - Dzieci, słyszałyście? - odzywa się Principessa. - Będziemy mieć gościa i macie zachowywać się błogosławienne. Teraz chodźcie jeść. Po umyciu się, ubraniu i zjedzeniu śniadania Charles Mattern jedzie na znajdujące się na tysięcznym piętrze lądowisko, aby powitać Nicanora Gortmana. W drodze na dach budowli mija poziomy, na których mieszkają rodziny jego rodzeństwa. Ma trzy siostry i tyluż braci. Czworo z nich jest od niego młodszych, dwoje - starszych. Wszystkim dobrze się powodzi. Z jednym, niemiłym wyjątkiem. Jeden z braci zmarł młodo. Jeffrey... Mattern rzadko go wspomina. Przejeżdża już przez kondygnacje Louisville - ośrodek władzy miastowca. Jeszcze chwila i spotka się z przybyszem. Gortman odwiedził już kraje tropikalne. Teraz ma zwizytować typową monadę miejską strefy umiarkowanej. Mattern czuje się zaszczycony, że wyznaczono go oficjalnym gospodarzem spotkania. Wychodzi na lądowisko położone na samym skraju Miastowca 116. Pole siłowe odgradza go od chłoszczących tę niebosiężną wieżę wiatrów. Po lewej stronie widać pogrążoną jeszcze w mroku zachodnią ścianę Monady miejskiej 115. Z prawej - połyskuje wschodnia gładź okien Monady 117. Szczęść boże Huli Jabotinsky i jej jedenastu pociechom, myśli Mattern.

Omiata wzrokiem inne miastowce stojące w sięgającym po horyzont  
rzędzie. Wysokie na trzy kilometry wieże z super wytrzymałego betonu z  
pięknymi, strzelistymi zakończeniami. Przejmujący widok. Szczęść boże,  
powtarza w myśli Mattern. Po trzykroć szczęść boże!

Do jego uszu dolatuje wesoly jazgot wirników. Szybkołot opada na  
płyte lądowiska. Ze środka wynurza się wysoki, postawny mężczyzna w  
jaskrawym ubraniu. Nie ma żadnych wątpliwości, że to podróżujący aż z  
Piekle socjokomputator.

- Nicanor Gortman, prawda? - pyta Mattern.

- Szczęść boże. Czy mam przyjemność z Charlesem Matternem?

- Szczęść boże. We własnej osobie. Chodźmy.

Piekło jest jednym z jedenastu miast na Wenus - planecie, którą  
ludzkość przekształciła, dostosowując do własnych potrzeb. Gortman  
nigdy dotąd nie był na Ziemi. Wysławia się powoli i flegmatycznie, a w  
jego głosie nie można wychwycić żadnego rytmu. Modulacją mowy  
przywoździ Matternowi na myśl manierę, z jaką mówią mieszkańcy  
Miastowca 84, który zwiedził kiedyś podczas służbowej podróży. Czytał  
prace Gortmana: solidny, dobrze uargumentowany materiał.

- Bardzo podoba mi się pańska "Dynamika etyki łowieckiej" - mówi  
do gościa w szybociągu. - Interesująca. Naprawdę znakomita.

- Naprawdę? - pyta wyraźnie pochlebiony Gortman.

- Oczywiście. Staram się czytać na bieżąco co ciekawsze

wenusjańskie pisma. To takie fascynujące poznawać obce zwyczaje. Na  
przykład polowanie na dzikie zwierzęta.

- Na Ziemi ich nie ma, prawda?

- Szczęść boże, nie - odpowiada Mattern. - Nie dopuścilibyśmy do tego! Mimo to z prawdziwą pasją poznaję różne style życia.

- Więc lektura moich artykułów jest dla pana jakąś formą ucieczki?

Mattern rzuca gościowi zdziwione spojrzenie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Literatura eskapistyczna. To, co czytacie, aby życie na Ziemi uczynić bardziej znośnym.

- Ależ nie. Zapewniani, że żyje nam się tu całkiem dobrze. Nie musimy szukać ucieczki w literaturze. Periodyki z zewnętrznego świata przeglądam dla rozrywki, po części również dlatego, żeby poznać inne punkty widzenia. Sam pan wie, jakie to przydatne w naszej pracy.

Dojeżdżają na 799 piętro.

- Najpierw chciałbym pokazać panu moją mieszkalnię - odzywa się

Mattern, wysiadając z szybociągu. - Jesteśmy w Szanghaju - pokazuje ręką. - Taką nazwę daliśmy blokowi czterdziestu pięter, od 761 do 800. Ja mieszkam na przedostatnim; u nas jest to oznaką zawodowego statusu. W całej Monadzie 116 mamy dwadzieścia pięć takich miast. Najniżej leży Reykjavik, najwyższe poziomy tworzą Louisville.

- Skąd się biorą te wszystkie nazwy?

- Wybierają je sami mieszkańcy. Szanghaj, na przykład, był kiedyś Kalkutą - tamta nazwa bardziej mi się podobała - ale w siedemdziesiątym piątym grupka malkontentów z 778 piętra przegłosowała w referendum zmianę.



- Myślałem, że w miastowcach nie ma malkontentów - dziwi się

Gortman.

Mattern uśmiecha się.

. - W tradycyjnym rozumieniu tego słowa to szczerą prawdą.

Pozwalamy jednak na istnienie pewnych drobnych antagonizmów. Bez nich człowiek nie byłby w pełni sobą, nieprawdaż? Nawet tutaj.

Idą wschodnim korytarzem w stronę domu Matterna. Jest już

dziesięć po siódmej; ze wszystkich mieszkań po troje, po czworo

wysypują się dzieci, pędząc do szkoły. Mattern macha im ręką. Biegną ze śpiewem.

- Na tym piętrze na jedną rodzinę przypada statystycznie 6,2

dziecka. Muszę przyznać, że to najniższa średnia w całej monadzie.

Ludzie o wysokim statusie społecznym nie są chyba najlepszymi

reproduktorami. O ile dobrze pamiętam, na 117 piętrze, w Pradze,

średnia wynosi 9,9 na rodzinę. Rezultat godny pozazdroszczenia -

objaśnia Mattern.

- Pan to mówi poważnie? - pyta Gortman.

- Jak najbardziej - odpowiada Mattern, lekko rozdrażniony. -

Lubimy dzieci i popieramy rozmnażanie. Przecież przed podjęciem tej podróży musiał pan...

- Tak, oczywiście - przytakuje pospiesznie Gortman. - Rzecz jasna

zapoznałem się w ogólnym zarysie z waszą dynamiką kulturową. Byłem

tylko ciekawy, czy może pański prywatny pogląd...

- Odbiega od normy? Insynuuje pan, że będąc obiektywny jako

**uczony, mógłbym posunąć się, choćby w najmniejszym stopniu, do dezaprobowania własnego wzorca kulturowego? A może wyraża pan w ten sposób własną dezaprobatę?**

**- Przepraszam, jeśli odniósł pan takie wrażenie. Proszę nie sądzić, że jestem nastawiony negatywnie do waszego modelu społecznego; po prostu ten świat to dla mnie coś całkiem nowego. Szczęść boże, nie kłóćmy się, Charles.**

**- Szczęść boże, Nicanor. Nie chciałem wydać się drażliwy.**

**Wymieniają uśmiechy. Mattern jest zażenowany, że okazał taki brak opanowania.**

**- Ilu ludzi mieszka na 799 piętrze? - wskrzesza rozmowę Gortman.**

**- Ostatnia liczba, jaką słyszałem, to 805.**

**- A w całym Szanghaju?**

**- Około 33 tysięcy.**

**- Wobec tego ile żyje w całej Monadzie 116?**

**- 881 tysięcy.**

**- W tej konstelacji miejskiej stoi pięćdziesiąt miastowców, prawda?**

**- Owszem.**

**- W sumie jakieś 40 milionów mieszkańców - ciągnie Gortman.**

**-Trochę więcej niż cała ludność Wenus. Nieźle!**

**- A to wcale nie największa konstelacja! - Głos Matterna**

**pobrzmiwa dumą. - Naprawdę duże są Sansan i Boshwash, a w Europie**

**także Berpar, Wienbud i jeszcze jakieś dwie. Według najnowszych**

**projektów ciągle będą powstawać nowe skupiska!**

**- W takim razie na całej planecie żyje...?**

**- 75 miliardów! - wykrzykuje Mattern. - Szczęść boże! Nigdy nie było tak jak teraz! Ani jeden człowiek nie chodzi głodny! Wszyscy jesteśmy szczęśliwi! Zostało jeszcze mnóstwo otwartej przestrzeni! Bóg nam pobłogosławił, Nicanor.**

**Zatrzymuje się przy drzwiach z numerem 79 915.**

**- Witaj w moim domu, drogi gościu. Co moje, to i twoje. Wchodzą do środka.**

**Mieszkalnia Matternów należy do obszernych. Prawie dziewięćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni. Dmuchana platforma sypialna, chowane łóżka dzieci i meble, które łatwo przesunąć, jeśli potrzeba więcej miejsca do zabawy. Faktycznie większość pomieszczenia świeci pustkami. Ekran i terminal danych zajmują tyle dwuwymiarowej przestrzeni ściany, ile w minionej epoce przeznaczano na trzymanie pękatych telewizorów, regałów z segregatorami i najprzeróżniejszych innych zabierających miejsce gratów. Przestronna i przewiewna mieszkalnia, w sam raz dla zaledwie sześciuosobowej rodziny. Dzieci nie wyszły jeszcze do szkoły; Principessa zatrzymała je, aby przywitały się z gościem - dlatego trochę dokazują. Kiedy wchodzi ich tata, Sandor i Indra właśnie wyrywają sobie ulubioną zabawkę: fantazjomat. Mattern staje zdumiony. Konflikt w domu? Rodzeństwo okłada się bezgłośnie, tak, żeby mama nie zauważyła. Sandor kopie Indrę w goleń. Dziewczynka, krzywiąc się z bólu, drapie brata paznokciami w policzek.**

**- Szczęść boże - rzuca ostro Mattern. - Ktoś tu chce chyba skończyć**

w zsuwni.

Dzieci ciężko sapią. Zabawka spada na podłogę. Oboje stają wyczekująco. Zajęta przy najmłodszej latorośli Principessa podnosi wzrok, odgarniając sprzed oczu kosmyk ciemnych włosów; nawet nie słyszała, kiedy mąż wrócił.

- Konflikt sterylizuje - poucza Mattern. - Przepróście się nawzajem.

Rodzeństwo całuje się i uśmiecha do siebie. Indra potulnie schyla się po zabawkę, aby podać ją ojcu. Mattern wręcza fantazjomat młodszemu synkowi, Marxowi. Teraz wszyscy już patrzą na gościa.

Pan domu zwraca się ponownie do Gortmana:

- Co moje, to i twoje, przyjacielu.

Później przedstawia przybyszowi całą rodzinę. Scena kłótni odebrała mu trochę pewności siebie, ale widok Gortmana, wyjmującego cztery nieduże pudełka i rozdającego je dzieciom, przywraca mu pogodę ducha. Zabawki. Błogosławienny gest. Pokazuje gościowi pozbawioną teraz powietrza platformę sypialną.

- Na tym sypiamy - tłumaczy. - Miejsca wystarcza dla trojga. Myjemy się pod splukiwaczem, o tu. Woli pan być sam przy wydalaniu?

- Tak, jeśli można.

- Ten przycisk włącza ekran przesłaniający. W tym miejscu wydalamy odchody: mocz tu, a kał tam. Rozumie pan, wszystko jest potem uzdatniane. My z miastowców jesteśmy gospodarnym ludkiem.

- Nie wątpię - przytakuje Gortman.

- Czy chciałby pan, byśmy i my włączali ekran, kiedy wydalamy? -

pyta Principessa. - Wiem, że w niektórych zewnętrznych światach tak robią.

- Nie chciałbym wam nic narzucać - odpowiada Wenusjanin.

- Nasza kultura pozbyła się balastu prywatności - mówi z uśmiechem Mattern - ale wciśnięcie guzika nie sprawi nikomu żadnego kłopotu, jeżeli tylko... - urywa nagle.

Nowy, przykry domysł:

- Mam nadzieję, że nagość nie jest na Wenus tabu. Rozumie pan, mamy tylko jedno, wspólne pomieszczenie i...

- Potrafię się dostosować - oznajmia z naciskiem Gortman. -

Wykształcony socjokomputator z założenia jest kulturowym relatywistą!

- Oczywiście - potakuje Mattern, śmiejąc się nerwowo. Principessa przeprasza, że nie będzie dalej uczestniczyć

w rozmowie: musi wyekspediować ściskające w rękach nowe zabawki pociechy do szkoły.

- Pan wybaczy, jeżeli mówię o rzeczach oczywistych - zaczyna znów

Mattern - ale muszę poruszyć sprawę przywilejów seksualnych. Będziemy

spać na platformie we troje. Zarówno moja żona jak i ja jesteśmy do

pańskiej dyspozycji. U nas w miastowcu odmówienie jakiegokolwiek

racjonalnej prośbie, jeśli tylko nikogo to nie krzywdzi, jest czymś

niestosownym. W społeczeństwie takim jak nasze, gdzie nawet najbliższe

tarcia mogłyby w niebezpieczny sposób zakłócić ład i porządek,

zapobieganie frustracji jest naczelną zasadą. Zna pan nasz zwyczaj

lunatykowania?

- Obawiam się, że nie.

- W Monadzie 116 nigdy nie zamykamy drzwi na klucz. Nie mamy żadnej prywatnej własności, którą trzeba by chronić, a my wszyscy jesteśmy społecznie przystosowani. Przyjęte jest odwiedzać nocą inne mieszkania. Tym sposobem ciągle wymieniamy się partnerami.

Zazwyczaj lunatykują mężczyźni, a kobiety czekają w swoich domach, ale bywa też inaczej. Wszyscy dorośli członkowie naszej społeczności są zawsze dla siebie dostępni.

- Interesujące - mówi Gortman. - Można by się spodziewać, że w społeczeństwie złożonym z tylu ludzi żyjących w bezpośredniej bliskości wykształci się raczej nadmierny szacunek dla prywatności niż model społecznej swobody.

- Na początku mieliśmy wiele problemów związanych z prywatnością. Na szczęście pozbyliśmy się ich! Jak już mówiłem, nasz cel to zapobieganie frustracji, inaczej doszłoby do powstawania szkodliwych napięć. A prywatność jest jednym z głównych źródeł frustracji.

- To znaczy, że można przekroczyć próg dowolnej mieszkalni w całym tym kolosie i przespać się z...?

- Nie w całej monadzie - przerywa mu Mattern. - Tylko w Szanghaju. Lunatykowanie poza granicami rodzinnego miasta jest źle widziane. -

Chichocze. - Jak pan widzi, zostawiliśmy sobie parę małych zakazów, żeby wolność nam nie zbrzydła.

Gortman przenosi wzrok na Principessę. Żona Matterna ma na sobie tylko przepaskę biodrową i metalicznej barwy staniczek,

**zakrywający lewą pierś. Szczupła, ale kształtna; chociaż dni płodności ma już za sobą, nie straciła nic ze zmysłowej aury młodej kobiecości. Mimo wszystko Mattern jest dumny z takiej żony.**

**- Jest pan gotów na zwiedzanie budowli? - pyta gościa. Mężczyźni**

**idą do drzwi. Na odchodnym Gortman z galanterią kłania się**

**Principessie. Już w korytarzu mówi do Matterna:**

**- Jak widzę, liczebność pańskiej rodziny mieści się poniżej średniej.**

**Piekielnie nieuprzejma uwaga! Matternowi udaje się jednak**

**pozostać wyrozumiałym wobec faux pas przybysza. Odpowiada**

**spokojnie:**

**- Mielibyśmy więcej dzieci, ale moja żona stała się bezpłodna po**

**zabiegu chirurgicznym. To dla nas wielka tragedia.**

**- Zawsze tak wysoko ceniliście dużą rodzinę?**

**- Cenimy samo życie. Dawać początek nowemu istnieniu jest**

**największą zasługą, a przeszkadzanie w narodzinach życia to**

**najczarniejszy grzech. Wszyscy kochamy nasz ludny, ruchliwy świat. Czy**

**dla pana życie tutaj wydaje się nie do zniesienia? Czy wyglądamy na**

**nieszczęśliwych?**

**- Robicie wrażenie zdumiewająco dobrze przystosowanych - mówi**

**Gortman. - Zakładając, że... - urywa.**

**- Niech pan dokończy.**

**- Zakładając, że rzeczywiście wszyscy myślicie tak samo. I że**

**naprawdę spędzacie całe życie wewnątrz jednej gigantycznej wieży. Bo**

**nigdy nie opuszczacie monady, prawda?**

- Większość z nas nigdy - potwierdza Mattern. - Ja, oczywiście, podróżuję - socjokomputator potrzebuje perspektywy, ale Principessa oprócz wycieczki szkolnej nigdy nie była poniżej 350 piętra. Po co zresztą miałyby to robić? Cały sekret naszej harmonii polega na stworzeniu oddzielnych pięcio-, sześciopiętrowych wiosek w obrębie czterdziestopiętrowych miast, na które dzielimy liczący tysiąc pięter miastowiec. Nie odczuwamy ścisku ani przeludnienia. Znamy naszych sąsiadów i mamy wielu bliskich znajomych. Jesteśmy wobec siebie mili, serdeczni i lojalni.

- I wszyscy są zawsze szczęśliwi?

- Prawie wszyscy.

- Co to za wyjątki?

- Nazywamy ich nonszalantami - wyjaśnia Mattern. - Staramy się minimalizować napięcia, mogące powstać w naszym środowisku. Jak pan widzi, niczego sobie nie odmawiamy i zawsze zaspokajamy racjonalne potrzeby. Czasem jednak pojawiają się osobnicy, którzy ni stąd, ni zowąd wypowiadają posłuszeństwo naszym zasadom. Wichrzą, odmawiają innym - buntują się. To dosyć smutne.

- Co robicie z nonszalantami?



- Rzecz jasna, pozbywamy się ich - odpowiada Mattern, gdy

ponownie wsiadają do szybociągu, i uśmiecha się.

Mattern ma oprowadzić Gortmana po całej monadzie; taka

wycieczka zajmie na pewno kilka dni. Trochę się boi, że jego znajomość

niektórych partii miastowca może okazać się zbyt słaba, ale postara się

sprostać zadaniu najlepiej, jak potrafi.

- Miastowce - opowiada - buduje się z supertwardego betonu. Przez

środek budowli biegnie centralny rdzeń instalacyjny o średnicy dwustu

metrów. Według pierwszych projektów na każdym piętrze miało żyć

pięćdziesiąt rodzin, ale obecnie utrzymujemy średnią około 120, a stare

mieszkania zostały podzielone na jednopokojowe mieszkalnie. Jesteśmy

całkowicie samowystarczalni; mamy własne szkoły, szpitale, obiekty

sportowe, kościoły i teatry.

- A żywność?

- Oczywiście nie wytwarzamy jej sami. Zawarliśmy umowy z

osiedlami rolniczymi. Jak pan zapewne wie, prawie dziewięćdziesiąt

procent powierzchni naszego kontynentu przeznaczono pod produkcję

żywności; poza tym istnieją jeszcze farmy morskie. Och, jak tylko

przestaliśmy

marnować

powierzchnię

planety,

rozrastając

się

**horyzontalnie na żyznej ziemi, mamy żywności w bród.**

**- Czy w ten sposób jednak nie zdaliście się na łaskę osiedli produkcyjnych?**

**- A czy kiedykolwiek mieszkańcy miast byli niezależni od farmerów?**

**- odpowiada pytaniem Mattern. - Odnoszę wrażenie, że widzi pan życie na Ziemi w kategorii klów i pazurów. W rzeczywistości wszystkie składniki ekologii naszego świata zazębiają się w uporządkowany sposób. Rolnicy też nas potrzebują, jesteśmy dla nich jedynym dostępnym rynkiem zbytu i jedynym źródłem artykułów przemysłowych. My z kolei potrzebujemy ich - wyłącznych dostawców naszego pożywienia. Jesteśmy sobie nawzajem niezbędni, zgodzi się pan? Ten system działa. Dzięki niemu moglibyśmy zapewnić byt jeszcze wielu miliardom ludzi i, szczęście boże, pewnego dnia tak będzie.**

**Sunąc w dół blisko środka budowli, szybociąg dociera do ostatniej platformy, na samo dno miastowca. Mattern czuje nad głową przygniatający ogrom monady. Intensywność tego podświadomie przykrego doznania napawa go zdziwieniem, ale stara się nie okazywać po sobie tego irracjonalnego niepokoju.**

**- Fundamenty konstrukcji sięgają czterysta metrów w głąb ziemi - objaśnia. - Jesteśmy na najniższym poziomie, w miejscu, gdzie wytwarzamy energię.**

**Przechodzą pomostem komunikacyjnym i zagląдают do olbrzymiej, wysokiej na czterdzieści metrów siłowni, w której wirują lśniące zielone turbiny.**

- Większość energii uzyskujemy ze spalania sprasowanych odpadów stałych - mówi dalej Mattern. - Palimy wszystko, co nie daje się przetworzyć, a organiczne resztki sprzedajemy jako nawóz. Tu mamy generatory pomocnicze, napędzane skumulowanym ciepłem ludzkich ciał.

- To właśnie mnie ciekawiło - odzywa się Gortman półgłosem - jak radzicie sobie z ciepłem.

Mattern ciągnie wesoło:

- No, oczywiście: 800 tysięcy ludzi żyjących w zamkniętej przestrzeni produkuje ogromną ilość energii cieplnej. Część od razu wydala ją z monady żebra chłodzące, rozmieszczone na całej powierzchni zewnętrznej. Resztę kieruje się rurami tutaj i wykorzystuje do napędzania generatorów. Zimą, rzecz jasna, ciepło jest równomiernie rozprowadzane po całej budowli, żeby utrzymać stałą temperaturę.

Nadwyżka służy do oczyszczania wody i tym podobnych rzeczy.

Przez chwilę przyglądają się instalacji elektrycznej. Później Mattern prowadzi gościa do regenerowni, którą właśnie zwiedza kilkusetosobowa grupa uczniów i uczennic. Socjokomputatorzy w milczeniu dołączają do wycieczki.

- Patrzcie, tędy sływa mocz - tłumaczy nauczycielka, pokazując plastikowe rury-giganty - który potem przechodzi przez odpowietrzacz i podlega destylacji. A stąd odprowadza się już czystą wodę. Chodźcie za mną... Ze schematu systemu wiecie już, jak uzyskujemy chemikalia, które później sprzedajemy osiedlom rolniczym...

**Socjokomputatorzy zwiedzają fabrykę sztucznego nawozu, gdzie odbywa się przemiana fekaliiów. Gortman zadaje różne pytania; sprawia wrażenie bardzo zaciekawionego. Mattern jest w świetnym nastroju: czy może być coś bardziej interesującego niż zasady funkcjonowania miastowca? Początkowo obawiał się, że przybywającemu ze świata, gdzie mieszka się w osobnych domach i porusza na wolnym powietrzu, Wenusjaninowi model życia w monadach mógłby wydać się odpychający i szkaradny.**

**Mężczyźni kontynuują wędrówkę. Mattern opowiada o wentylacji, systemie szybociągów i innych urządzeniach miastowca.**

**- Naprawdę genialne - zachwyca się Gortman. - Nie umiałem sobie nawet wyobrazić, jakim cudem 75 miliardów ludzi może w ogóle przetrwać na jednej małej planetce, a wy... wy zmieniliście ją w...**

**- Utopię? - podpowiada Mattern.**

**- Tak, to właśnie chciałem powiedzieć - przyznaje Gortman.**

**Mattern nie jest ekspertem od produkcji energii czy utylizacji odpadów. Cała jego wiedza na ten temat bierze się wyłącznie z osobistej, prywatnej fascynacji szczegółami funkcjonowania monady. Przedmiotem jego zawodowych zainteresowań jest socjokomputacja; dlatego to właśnie jego poproszono, aby wyjaśnił gościowi społeczną strukturę gigantycznej wieży.**

**Wracają szybociągiem na górę, na poziomy mieszkalne.**

**- To jest Reykjavik - informuje Mattern - zamieszkały głównie przez konserwatorów. Chociaż nie propagujemy podziału na klasy, musi pan**

wiedzieć, że w każdym mieście dominuje jedna grupa ludności:

inżynierowie, naukowcy, artyści. Szanghaj, na przykład, zamieszkują w większości uczeni. Reprezentanci tego samego zawodu stanowią swoisty klan.

Przechodzą przez hali przy wejściu na kondygnację. Mattern czuje się nieswojo na takim niskim piętrze; mówi bez przerwy, chcąc pokryć zdenerwowanie. Opowiada, jak to w każdym mieście rozwinął się charakterystyczny dla niego dialekt, moda i folklor, a także powstał specyficzny typ bohatera.

- Czy mieszkańcy różnych miast często stykają się ze sobą? - pyta Gortman.

- Staramy się zachęcać do takich spotkań, na przykład przez sport, wymianę studentów czy regularne wieczorki międzypiętrowe. Rozumie się - wszystko w rozsądnych granicach. Nie chcemy, żeby mieszkańcy poziomów robotniczych zbyt integrowali się z uczonymi. I jedni, i drudzy tylko by na tym stracili. Namawiamy natomiast do ożywionych kontaktów między miastami o porównywalnym poziomie umysłowym. Uważamy, że to zdrowe dla społeczeństwa.

- Wydaje się, że propagowanie lunatykowania na skalę międzymiastową byłoby lepszą metodą zacieśniania społecznych więzi. Mattern krzywi się z dezaprobatą.

- Jeśli o to chodzi, wolimy trzymać się wewnątrz własnych grup.

Przygodne kontakty seksualne z mieszkańcami innych miast są oznaką chwiejności charakteru.

**- Rozumiem.**

**Wchodzą do przestronnej sali.**

**- Jesteśmy w dormitoriurn nowożeńców - odzywa się Mattern. -**

**Pomieszczenia takie są rozmieszczone co pięć, sześć pięter. Mieszkają w nich nastoletnie pary, które opuściły dom rodzinny, by zostać małżeństwami. Kiedy rodzi im się pierwsze dziecko, otrzymują prawo do własnej mieszkalni.**

**- Jakim sposobem udaje wam się znaleźć miejsce dla nich**

**wszystkich? - pyta zaintrygowany Gortman. - Zakładam, że każdy pokój w miastowcu jest pełny. Niemożliwe, żebyście mieli równą liczbę urodzin i zgonów, więc... jakim cudem...?**

**- Rzeczywiście, zgony zwalniają miejsce. Po śmierci współmałżonka**

**każdy obywatel mający już dorosłe dzieci, przeprowadza się do**

**dormitoriurn dla seniorów, a mieszkalnię, którą zajmował, oddaje się**

**nowo powstałej rodzinie. Ale ma pan rację: odkąd co roku przybywa nam**

**dwa procent rodzin, co znacznie przewyższa ilość zgonów, większość**

**naszej młodzieży nie ma szans na własną mieszkalnię w ojczystym**

**miastowcu. Dlatego nadmiar par z dormitoriurn nowożeńców wysyła się,**

**aby zasiedlały świeżo zbudowane monady. O tym, kto ma odejść, decyduje**

**losowanie. Podobno trudno jest pogodzić się z przeprowadzką, ale z**

**drugiej strony bycie w grupie pionierów zaludniających nowy miastowiec**

**ma również swoje dobre strony. Przesiedleńcy automatycznie zyskują**

**wysoki status.**

**Zwykła kolej rzeczy: wciąż nas przybywa, a przesiedlając młode**

**pokolenia, tworzymy coraz to nowe kombinacje komórek społecznych -**

**czy to nie fascynujące? Czytał pan moje "Przemiany strukturalne ludności monad miejskich"?**

**- Obawiam się, że nie miałem przyjemności... - odpowiada Gortman**

**- ale chętnie uzupełnię tę lukę w lekturze.**

**Wodzi wzrokiem po całym dormitorium. Na najbliższej platformie kopuluje coś z tuzin par.**

**- Są tacy młodzi - konstatuje.**

**- Wszyscy tu wcześnie dojrzewamy. Dziewczęta zawierają małżeństwa średnio w dwunastym roku życia, chłopcy - tylko o rok później. Szczęść boże, na pierwsze dziecko rzadko czekają dłużej niż dwanaście miesięcy.**

**- To znaczy, że nie stosujecie żadnej metody kontroli urodzin?**

**- Kontroli urodzin? - Mattern aż łapie się za genitalia, zaszokowany tak niespodziewaną i nieprzyzwoitą uwagą.**

**Kilka par podnosi zdziwiony wzrok. Ktoś chichocze.**

**- Niech pan nigdy więcej nie używa tych słów - mówi Mattern. -**

**Zwłaszcza przy dzieciach. My... w ogóle nie myślimy w takich kategoriach.**

**- Ale przecież...**

**- Życie jest dla nas świętością. Prokreacja to coś błogosławnego.**

**Rozmnażając się, spełniamy obowiązek wobec boga.**

**Uśmiecha się, uznawszy, że jego słowa zabrzmiały zbyt ostro.**

**- Czy być człowiekiem nie znaczy właśnie z pomocą rozumu**

**.podejmować wysiłek sprostania wyzwaniom? W świecie, który**

zatriumfował już nad chorobami i wyeliminował wojny, przyrost ludności to właśnie takie wyzwanie. Przypuszczam, że moglibyśmy ograniczyć rozrodczość, ale byłoby to złe, chore i niegodne ludzkości rozwiązanie. Zamiast tego - przyzna pan - zwycięsko zmagamy się z kwestią przeludnienia. Tak właśnie żyjemy, mnożąc się z radością. Co roku przybywa nas trzy miliardy i nikomu nie brakuje miejsca ani żywności. Umiera niewiele, a rodzi się wiele nowych istot, które zaludniają nasz świat, a bóg szczęści nam dostatnim, przyjemnym życiem. Jak pan widzi, wszyscy jesteśmy całkiem szczęśliwi. Wyrośliśmy z dziecinnej potrzeby izolacji człowieka od człowieka. Po co mielibyśmy wychodzić na zewnątrz? Tęsknić za lasem albo pustynią? Monada mieści w sobie dość światów dla wszystkich. Przepowiednie proroków zagłady okazały się fałszywe. Czy cokolwiek wskazuje na to, że czujemy się tu nieszczęśliwi? Chodźmy, pokażę panu szkołę.

Mattern wybrał szkołę na 108 piętrze, w robotniczej dzielnicy Pragi.

Ma nadzieję, że wizyta na tym poziomie zainteresuje Gortmana szczególnie, bowiem Praga szczyli się najwyższym w Monadzie 116 wskaźnikiem urodzin; rodziny dwunaste-, a nawet piętnastoosobowe nie są tutaj rzadkością. Zbliżając się do drzwi szkoły, socjokomputatorzy słyszą czyste dziecięce głosy, śpiewające piosenkę o boskiej błogosławieństwie. Mattern zaczyna nucić do wtóru; w ich wieku też śpiewał ten hymn, marząc o licznej rodzinie, którą kiedyś założy:

*On boskie nasienie daje,*

*Które rosnąc w Mamie łonie,*



*Małym smykiem wnet się staje...*

Niespodziewany i przykry incydent zakłóca spokój. Na stojących w przejściu

socjokomputatorów

wpada

biegnąca

kobieta.

Młoda,

niechlujnie wyglądająca, z rozpuszczonymi włosami ma na sobie tylko

cienkie, szare okrycie. Jest w zaawansowanej ciąży.

- Na pomoc! - krzyczy. - Mój mąż zwariował!

Roztrzęsiona, chowa się w ramionach Gortmana. Wenusjanin

patrzy zdezorientowany.

Za dziewczyną wbiega mężczyzna z oczami nabiegłymi krwią.

Wygląda na niewiele ponad dwadzieścia lat i robi wrażenie nie całkiem

poczytalnego. Trzyma w ręku palnik fabrykacyjny, którego końcówka

żarzy się gorącem.

- Przeklęta suka - belkocze. - Wszędzie tylko bachory! Mało nam

siódemki, jeszcze ósmy w drodze! Zwariuję od tego!

Mattern jest przerażony. Odciągnąwszy kobietę od skon-

sternowanego Wenusjanina, wpycha go do pomieszczenia szkoły.

- Wezwijcie pomoc, prędko! - komenderuje. - Powiedzcie, że napadł

nas nonszalant.

Złości się, że przybysz stał się świadkiem tej tak nietypowej sceny;

**chce zabrać go jak najdalej od tego miejsca.**

**Nie przestając się trząść, dziewczyna kuli się za Matternem, który spokojnie próbuje przemówić do rozsądku jej mężowi.**

**- Bądź rozsądny, młodzieńcze. Przecież mieszkasz tu od urodzenia.**

**Dobrze wiesz, że prokreacja jest błogosławienna. Czemu nagle przeciwstawiasz się zasadom, według których...**

**- Do diabła, odsuń się od niej, albo ciebie też przysmażę! Nonszalant robi fintę palnikiem, dżgając prosto w twarz Matterna, który cofa się przed rozgrzanym narzędziem. Omija ją socjokomputatora, napastnik wymierza cios żonie. Ciężarna odskakuje niezgrabnie, i palnik przepala jej ubranie. Przez powstałą w ten sposób dziurę widać blade, nabrzmiałe ciało, z wyraźną pręgą oparzeliny. Kobieta z krzykiem upada na ziemię, osłaniając wystający brzuch. Młodzieniec odpycha *zagradzającego* mu drogę Matterna i zamierza się, aby uderzyć ją w bok. Socjokomputator usiłuje złapać go za ramię. W rezultacie wariat opuszcza palnik, zwęglając kawałek podłogi. Z przekleństwem wypuszcza narzędzie z ręki i rzuca się na Matterna, okładając go wściekle pięściami.**

**- Na pomoc! - woła uczone. - Ratunku! Tuziny dzieci, od ośmio- do jedenastoletków, wysypują się ze szkoły. Nie przestając śpiewać swojego hymnu, odciągają bandytę od Matterna i szybko, sprawnie pokrywają go własnymi ciałami. Jeszcze chwila i ledwo go widać spod mlócej rączkami, gwarnej, niepowstrzymanej masy. Nowa grupa uczniów wybiega i przyłącza się do cizby. Wyje włączona syrena. Ktoś dmucha w gwizdek.**

**Wzmocniony**

**urządzeniem**

**akustycznym,**

**buczy**

**głos**

**nauczycielki:**

**- Przyjechała policja! Niech wszyscy się cofną!**

**Czterej mundurowi są już na miejscu, oceniając sytuację.**

**Poparzona kobieta leży na ziemi, jęcząc i trąc zranione miejsce. Jej obłąkany mąż jest nieprzytomny; ma krew na twarzy, prawdopodobnie stracił jedno oko.**

**- Co tu się stało? Kim pan jest? - zadaje pytania jeden z policjantów.**

**- Charles Mattern, socjokomputator z Szanghaju, 799 piętro. Ten człowiek to nonszalant. Zaatakował swą ciężarną żonę palnikiem, a potem rzucił się na mnie.**

**Funkcjonariusze stawiają szaleńca na nogi. Poturbowany i oszołomiony, zwisa bezwładnie pomiędzy nimi. Dowódca patrolu beznamiętnie recytuje urzędową formułkę:**

**- Winien odrażającej napaści na kobietę w wieku płodnym, noszącą w łonie poczęte życie. Stwierdzono niebezpieczne skłonności antyspołeczne stanowiące zagrożenie porządku i stabilności. Mocą powierzonej mi władzy wydaję wyrok kasacji z natychmiastowym wykonaniem. Do zsuwni bydlaka, chłopcy!**

**Policjanci wloką nonszalanta. Tymczasem przybyli medycy otaczają**

ranną dziewczynę. Śpiewając wesoło, dzieci wracają do szkoły. Nicanor Gortman stoi oszołomiony i głęboko wstrząśnięty. Chwytając go za ramię, Mattern szepcze żarliwie:

- Niestety, takie rzeczy też się czasami zdarzają, ale szansą, że będzie pan świadkiem podobnego zajścia, była jedna na miliard! To nietypowe zjawisko! Zupełnie marginalne!

Wchodzą do szkoły.

Zachodzące słońce barwi smugami czerwim zachodni masyw sąsiedniej monady. Gortman w milczeniu je kolację z rodziną Matternów.

Głosy dzieci splatają się w chaotycznej paplaninie o minionym dniu w szkole. Ekran podaje wieczorne wiadomości. Głos wspomina krótko o godnym pożałowania wypadku na 108 piętrze.

- Matka nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń -informuje.

-Wyrok na nonszalancie wykonano na miejscu, eliminując w ten sposób wszelkie zagrożenie dla bezpieczeństwa mieszkańców.

- Szczęść boże - mówi półgłosem Principessa.

Po kolacji Mattern prosi terminal o kopie swoich ostatnich publikacji naukowych, po czym wręcza gościowi cały ich plik, prosząc, aby ten przeczytał je w dogodnym czasie. Gortman skwapliwie dziękuje.

- Pewnie jest pan zmęczony - mówi do niego Mattern.

- To był pracowity dzień - odpowiada Wenusjanin. - I pouczający - dodaje.

- Jak najbardziej. Zrobiliśmy niezły kawał drogi, prawda?

Mattern też czuje znużenie. Zdażyli zwiedzić prawie trzydzieści

sześć pięter. To dopiero pierwszy dzień, a jego gość zwiedził już kliniki płodności, urzędy i biura; widział zgromadzenia miejskie i uroczystości religijne. Jutro obejrzą jeszcze więcej. Społeczeństwo Miastowca 116 jest przecież takie złożone, takie różnorodne. I szczęśliwe - z przekonaniem dodaje w duchu Mattern - czasem przydarzy się jakiś drobny incydent, ale *przecież jesteśmy szczęśliwi.*

Dzieciarnia kładzie się spać. Kolejno całują na dobranoc Tatę, Mamę i gościa, po czym pędzą przez cały pokój do swoich łóżek: słodkie, golutkie skrzaty. Światła samoczynnie przygasają. Mattern czuje się lekko przygnębiony. Scysja na 108 pierze trochę zepsuła tak skądinąd udany dzień. Mimo wszystko wydaje mu się, że poprzez drobne, codzienne sprawy ich świata zdołał pokazać Gortmanowi panujące w monadzie wewnętrzną harmonię i spokój. Teraz przybysz przekona się na własnej skórze, jak działa jedna z najskuteczniejszych metod rozładowania napięć, które mogłyby stać się takie zgubne dla ich zamkniętej społeczności. Mattern wstaje.

- Pora lunatykowania - oznajmia. - Wychodzę, a pan zostaje tutaj... z Principessa.

Przypuszcza, że Wenusjanin ma ochotę na odrobinę prywatności.

Gortman wygląda na zakłopotanego.

- Proszę się nie krępować - zachęca Mattern. - Życzę dobrej zabawy.

My tutaj nie odmawiamy sobie przyjemności. Egoistów szybko

wypleniamy. Zapraszam - co moje, to i twoje. Dobrze mówię,

Principesso?

**- Oczywiście - przytakuje mu żona.**

**Mattern wychodzi z mieszkalni, szybko przebywa korytarz i zjeżdża szybociągiem na 770 piętro. Na miejscu sztywnieje, słysząc gniewne pokrzykiwania, które budzą w nim obawę, że może wplątać się w kolejną przykrą aferę. Na szczęście nikt się nie pojawia i uczyony bez przeszkód idzie dalej. Przechodząc obok czarnych drzwi do zsuwni, czuje ciarki przechodzące mu po plecach; ten widok od razu przypomina Matternowi młodzieńca z palnikiem fabrykacyjnym i to, co się z nim stało. Nagle, zupełnie niespodziewanie, z pamięci wynurza się twarz brata, którego kiedyś miał i który skończył tak samo. Jeffrey, o rok starszy od niego... Jeffrey, mięczak i złodziej. Jeffrey, nieprzystosowany samolub, którego trzeba było wrzucić do zsuwni. W jednej chwili Matternowi robi się słabo i dostaje zawrotów głowy. Już prawie padając, kurczowo łapie za najbliższą klamkę, żeby utrzymać się na nogach.**

**Drzwi otwierają się i socjokomputator wchodzi do środka. Jeszcze nigdy nie lunatykował na tym poziomie. W łóżeczkach śpi pięcioro pociech. Na platformie sypialnej leży młodsza od niego i jego żony para, oboje pogrążeni we śnie. Mattern zrzuca ubranie i kładzie się przy kobiecie. Dotyka jej uda, a potem drobnych, chłodnych piersi. Kiedy dziewczyna otwiera oczy, przedstawia się jej:**

**- Cześć. Jestem Charles Mattern z 799 piętra.**

**- Giną Burkę - słyszy w odpowiedzi - a to mój mąż Lenny. Lenny**

**budzi się. Na widok gościa kiwa głową i odwraca się,**

**aby dalej spać. Mattern delikatnie całuje Ginę w usta. Dziewczyna**

obejmuje go ramionami. Uczony aż drży z pożądania. Wchodząc w nią, wzdycha. Szczęść boże, myśli. Minął kolejny szczęśliwy dzień 2381 roku.

## II

Miasto Chicago od góry graniczy z Szanghajem, a od dołu z Edynburgiem. Licząc 37 402 mieszkańców, tkwi obecnie w nieznacznym niżu demograficznym, z którego na pewno przy pomocy sprawdzonych metod niedługo się wydobędzie. Podczas gdy leżący nad nim Szanghaj zamieszkują przeważnie uczeni, a niższy Edynburg - informatycy, w Chicago dominują zawody techniczne.

Aurea Holston przysła na świat w 2368 roku w Chicago, gdzie spędziła całe swe dotychczasowe życie. Ma czternaście lat, a jej mąż Memnon - prawie piętnaście. Chociaż są małżeństwem od niemal dwóch lat, bóg nie poszczęścił im dziećmi. Memnon podróżuje po całym miastowcu, natomiast Aurea była poza Chicago zaledwie parę razy.

Kiedyś wybrała się na spotkanie ze specjalistką od płodności, mieszkającą w Pradze starą położną; innym razem pojechała na górę aż do Louisville, aby odwiedzić swego wpływowego wuja, piastującego urząd miejskiego administratora. Poza tym wspólnie z Memnonem wiele razy bywali gośćmi w szanghajskiej mieszkalni ich przyjaciela, Siegmunda Kluvera.

Reszta monady jest dla niej *terra incognita*. Ale Aurea niespecjalnie lubi podróżować - bardzo kocha swoje rodzinne miasto.

Chicago zajmuje w Monadzie Miejskiej 116 poziomy od 721 do 760.

Memnon i Aurea mieszkają na 735 piętrze w dormitorium dla bezdzietnych młodych małżeństw. Aktualnie dzielą je / trzydziestoma

**innymi parami - osiem par powyżej normy.**

**- Niedługo będą musieli nas zredukować - mówi Memnon. -**

**Zaczynamy pękać w szwach. Część małżeństw będzie musiała odejść.**

**- Dużo? - pyta Aurea.**

**- Trzy pary tu, pięć tam: po trochu z każdego dormitorium.**

**Przypuszczam, że z całego Miastowca 116 ubędzie jakieś dwa tysiące par.**

**Tak jak w czasie ostatniego przesiedlenia.**

**Aurea wzdryga się.**

**- Dokąd oni pójdą?**

**- Słyszałem, że jest już prawie gotowy nowy miastowiec. Numer 158.**

**Serce Aurei zalewa fala żalu i strachu.**

**- To okropne być przesiedlonym w inne miejsce! Memnonie, nas  
chyba nie przeniosą?!**

**- Oczywiście, że nie. Szczęść boże, jesteśmy wartościowymi  
obywatelami! Mój wskaźnik kwalifikacji wynosi...**

**- Ale nie mamy dzieci. Takie pary idą na pierwszy ogień, prawda?**

**- Już niedługo bóg nam poszczęści.**

**Memnon obejmuje żonę. Jest wysoki, szczupły i silny. Jego  
purpuroworude włosy układają się w fale, a twarz o stanowczych rysach  
tchnie powagą. Aurea czuje się przy nim krucha i słaba, choć w  
rzeczywistości sama również jest silna i dobrze zbudowana. Jej złociste  
włosy przechodzą płynnie od jasnych do ciemniejszych tonów. Ma  
bladozielone oczy, pełne piersi i jest szeroka w biodrach. Siegmund  
Kluver mawia, że wygląda jak żywa bogini macierzyństwa. Budzi**



pożądanie wielu mężczyzn i na jej platformie sypialnej często goszczą lunatycy. Mimo to wciąż jeszcze nie zaszła w ciążę. Ostatnio zrobiła się trochę drażliwa na tym punkcie, zdając sobie sprawę z całej ironii swej marnującej się zmysłowości.

Memnon wypuszcza ją z objęć i Aurea odchodzi ciężkim krokiem w głąb pomieszczenia. Ich dormitorium ma kształt długiego i wąskiego pokoju, zbudowanego wokół głównego rdzenia instalacyjnego miastowca. Ściany połyskują mozaiką zmieniających się deseni złota, zieleni i błękitu. Rzędy platform sypialnych, złożonych lub nadmuchanych, zajmują podłogę. Umeblowanie jest proste i funkcjonalne, a światło przesączające się przez podświetloną podłogę i sufit - jasne aż do jaskrawości. We wschodnią ścianę pokoju wbudowano kilka ekranów trzy terminale danych. Jest tu także pięć miejsc do wydalania, trzy do wspólnej rekreacji, dwa punkty ze splukiwaczami i dwa kąciki prywatności. Zgodnie z cichym prawem dormitorium ekrany przesłaniające kąciki prywatności nie są nigdy włączane. Cokolwiek ktoś robi, robi to na oczach współmieszkańców. Całkowita wzajem-dostępność to przecież naczelną zasadą przetrwania cywilizacji miastowców. Żyjąc we wspólnym dormitorium nie sposób i tym zapomnieć.

Aurea staje przed olbrzymim oknem w zachodnim końcu pomieszczenia i patrzy przed siebie. Słońce zaczyna już zachodzić. Okazały masyw Monady Miejskiej 117 okrywają plamy złocistej czerwieni. Dziewczyna wodzi wzrokiem wzdłuż trzonu gigantycznej wieży, od lądowiska aż po szczyt tysięcznego piętra; potem w dół, do szerokiej talii

**konstrukcji. Nie może sięgnąć wzrokiem poniżej 400 piętra sąsiadującej budowli - jej rodzinny miastowiec stoi zbyt blisko.**

**Jak by to było, zastanawia się Aurea, mieszkać w Monadzie 117?**

**Albo w 115,110 czy 140? Całe życie ani razu nie opuściła swojego miastowca. Otaczającą ją przestrzeń, aż po horyzont, spełniają wieże konstelacji Chipitts: pięćdziesiąt kolosalnych, betonowych słupów - wysokich na trzy kilometry odrębnych światów, będących domem dla około ośmiuset tysięcy istot. Ludzie w Miastowcu 117 są tacy sami, jak my - przekonuje samą siebie. Tak samo chodzą i mówią, ubierają się, myślą i kochają. Przecież Miastowiec 117 to nie żaden inny świat. To nasz najbliższy sąsiad. Nie jesteśmy czymś wyjątkowym, jedynym w swoim rodzaju. Nie jesteśmy sami.**

**Ogarnia ją lęk.**

**- Memnonie - jej głos brzmi ochryple - kiedy zaczniesz się przesiedlenie, wyślą nas do Monady 158.**

**Siegmund Kluver jest szczęściarzem. Dzięki płodności jego pozycja w społeczeństwie Miastowca 116 jest bardzo mocna, a wysoki status społeczny sprawia, że może czuć się wolny od jakichkolwiek zagrożeń.**

**Choć dopiero co skończył czternaście lat, Siegmund jest już ojcem dwójki dzieci: synka imieniem Janus i nowo narodzonej córeczki, Persefony. Młodzieniec mieszka w ładnej, pięć-dziesięciometrowej mieszkalni, położonej na 787 piętrze. Jego specjalność zawodowa to teoria zarządzania miastowcem. Mimo młodego wieku spędza już wiele czasu w Louisville jako konsultant administratorów monady. Chociaż**

niskiego wzrostu, jest dobrze zbudowany i dość silny. Ma dużą głowę i gęste, kręcone włosy. W dzieciństwie mieszkał w Chicago i był jednym z najlepszych przyjaciół Memnona. Nadal często się spotykają. Fakt, że żyją teraz w różnych miastach, nie przerwał ich przyjaźni.

Towarzyskie spotkania Holstonów i Kluverów mają miejsce zawsze w mieszkalni Siegmunda. Kluyerowie nigdy nie zjeżdżają na dół do Chicago, aby odwiedzić Aureę i Memnona. Siegmund twierdzi, że nie ma to nic wspólnego ze snobizmem.

- Po co mamy siedzieć we czworo w pełnym hałasie dormitorium - mówi - skoro możemy spotkać się w zaciszu mojej mieszkalni?

Jego postawa wydaje się Aurei trochę podejrzana. Mieszkańcy monad nie powinni przecież przywiązywać takiej wagi do prywatności.

Może po prostu wspólne dormitorium to dla Siegmunda Kluvera za niskie progi?

Kiedyś mieszkał tu tak samo jak Aurea i Memnon. Dwa lata temu, kiedy cała czwórka była świeżo po ślubie. W tych odległych dniach Aurea kilka razy kochała się z Siegmundem. Pochlebiali jej to. Później żona Siegmunda szybko zaszła w ciążę i Kluyerowie mogli ubiegać się o własną mieszkalnię, a osiągnięcia chłopaka w karierze zawodowej uprawniały ich do szukania domostwa w Szanghaju. Odkąd wyprowadził się ze wspólnego dormitorium, nigdy więcej nie dzielił z Aureą platformy sypialnej.

Smuci ją to, bo lubiła jego pieszczoty, lecz przecież niewiele może zrobić, by coś zmienić. Szansa, że przyjdzie do niej w porze lunatykowania, jest bardzo mała. Kontakty seksualne między mieszkańcami różnych miast

uważa się za niestosowne, a Siegmund przestrzega konwenansów. Może przyjść mu ochota na lunatykowanie w miastach powyżej własnego piętra, ale mało prawdopodobne, aby zapuścił się gdzieś niżej.

Poza tym dzisiejszy Siegmund jest przeznaczony do wyższych celów.

Memnon mówi, że zanim jego przyjaciel skończy siedemnaście lat, będzie nie tylko specjalistą od teorii zarządzania, ale sam zostanie administratorem i przeniesie się do dumnego Louisville. Już teraz spędza mnóstwo czasu z zarządcami monady. I ich żonami, jak głosi plotka.

Siegmund jest cudownym gospodarzem. W jego mieszkalni jest przytulnie i miło. Dwie ściany połyskują kasetonami zrobionymi z jednego z tych nowych ozdobnych materiałów, emitujących delikatne dźwięki, dopasowane do wzoru spektralnego wybranego przez właściciela. Na dzisiejszy wieczór Siegmund ściemnił kasetony prawie do ultrafioletu, któremu towarzyszą tony bliskie górnej granicy słyszalności: kombinacja działająca na zmysły przez wyostrenie i wyczulenie ich do maksimum, śmiała i podniecająca. Siegmund ma także doskonały gust, jeśli chodzi o ustawianie szczelin zapachowych mieszkalni: powietrze wypełnia woń jaśminu i hiacyntu.

- Trochę dygotu? - proponuje. - Świeża dostawa z Wenus. Naprawdę błogosławienny.

Aurea i Memnon przytakują z uśmiechem. Siegmund napełnia dużą, żłobioną czarę ze srebra kosztownym, skrzącym się płynem i stawia ją na stolopodeście. Jedno wciśnięcie pedału podłodze i blat podnosi się na wysokość półtora metra.

**- Mamelon? - pyta Siegmund. - Przyłączysz się do nas?**

**Żona Siegmunda wkłada niemowlę do kojca ochronnego przy platformie sypialnej i przeszedłszy przez pokój dołącza do towarzystwa.**

**Mamelon Kløver jest dość wysoka, o ciemnej karnacji i ciemnych włosach, pięknych i zadbanych mimo pozornego nieładu. Ma wysokie czoło, wydatne kości policzkowe i ostro zarysowany podbródek. Szeroko otwarte oczy, błyszczące i czujne, wydają się niemal za duże i wyraźnie dominują w jej jasnej i wąskiej twarzy. Delikatne piękno Mamelon sprawia, że Aurea czuje się boleśnie świadoma wszystkich słabych stron własnej urody: zadartego nosa, zaokrąglonych policzków, pełnych ust i jasnych piegów rozsypanych na śniadej skórze. Niespełna szesnastoletnia**

**Mamelon jest najstarsza w ich gronie. Ma piersi nabrzmiałe od mleka - jest dopiero jedenaście dni po porożu i karmi. Aurea nie zna żadnej innej kobiety, która zdecydowałaby się karmić piersią, ale Mamelon zawsze była inna. Wciąż trochę przeraża Aureę, taka chłodna, opanowana i dojrzała. I namiętna. Kiedy Aurea miała dwanaście lat i była świeżo po ślubie, raz po raz budziła się, słysząc okrzyki rozkoszy Mamelon, rozlegające się w całym dormitorium.**

**W tej chwili Mamelon pochyla się lekko, przytykając usta do czary z dygotem. Cała czwórka pije jednocześnie. Małeńkie bąbelki tańczą Aurei na wargach. Silny aromat napoju sprawia, że kręci jej się w głowie. Patrzy na dno czary i widzi powstające i rozpadające się abstrakcyjne formy. Odlotyna działa lekko upajająco i halucynogennie, poza tym wyostrza wzrok i wycisza wewnętrzny niepokój. Pochodzi z piżmowych,**

bagiennych nizin na Wenus. Napój podany przez Siegmunda zawiera miliardy obcych mikroorganizmów fermentujących i mnożących się nawet w trakcie trawienia i przyswajania. Aurea czuje, jak ich komórki rozchodzą się po całym ciele, biorąc w posiadanie jej płuca, wątrobę i jajniki. Sprawiają, że wilgotnieją jej usta; odgradzają od wszystkich trosk.

Cały wzlot jest równocześnie kresem; po kilku chwilach dziewczyna wynurza się ze swoich wizji, wypełniona spokojem i rezygnacją. Ogarnia ją sztuczne poczucie szczęścia, podczas gdy pod powiekami rozchodzą się i nikną ostatnie barwne kręgi.

Po ceremonii picia zaczynają rozmawiać. Siegmund dyskutuje z Memnonem o wydarzeniach na świecie: nowych miastowcach, statystykach produkcji rolnej, plotkach o rozszerzającej się strefie nieurbanizowanego życia poza osiedlami i tym podobnych sprawach.

Tymczasem Mamelon pokazuje Aurei niemowlę. Leżąca w kojcu dziewczynka ślini się, kwiląc i gaworząc.

- To pewnie ulga, że nie musisz już chodzić z brzuchem - odzywa się

Aurea.

- Tak, miło znów widzieć własne stopy - przyznaje Mamelon.

- Czy ciąża bardzo męczy?

- Ma swoje dokuczliwe strony.

- Na przykład: rozciągnięcie. Jak kobieta może wytrzymać taka nadęta? Jakby skóra miała lada moment pęknąć? - wzdryga się Aurea. -

Wszystko w środku takie ściśnięte, nerki wtłoczone w żebra - właśnie tak to sobie wyobrażam. Wybacz, chyba trochę przesadzam. To znaczy... tak

**naprawdę, to nie wiem.**

**- Nie jest tak strasznie - mówi Mamelon - chociaż oczywiście czujesz się inaczej i doświadczasz paru niewygód. Ale są też jaśniejsze strony.**

**Sam poród...**

**- Bardzo boli? - przerywa Aurea. - Wyobrażam sobie, że okropnie.**

**Coś tak dużego rozrywa twoje ciało i przeciska się rzeź twoją...**

**- To cudownie przyjemne. Pobudza cały system nerwowy.**

**Wychodzenie dziecka przypomina uczucie, kiedy wchodzi w ciebie mężczyzna, tylko jest dwadzieścia razy intensywniejsze. Tego się nie da opisać. Musisz sama przeżyć.**

**- Chciałabym - odpowiada Aurea, przybita, szukając w sobie strzępków dygotowych doznań - ucieczki przed smutkiem.**

**Wsuwa rękę do kojca, aby dotknąć dziecka Mamelon. Silny strumień jonów oczyszcza jej skórę, zanim ta zetknie się z miękkim policzkiem malutkiej Persefony.**

**- Szczęść boże - mówi Aurea - tak bardzo chciałabym spełnić macierzyński obowiązek! Medycy twierdzą, że oboje jesteśmy zdrowi, a jednak...**

**- Musisz być cierpliwa, kochanie - Mamelon obejmuje ją delikatnie.**

**- Szczęść boże, twój czas na pewno przyjdzie.**

**Aurea jest pełna wątpliwości. Od dwudziestu miesięcy bada swój płaski brzuch w nadziei, że dostrzeże jakieś oznaki pęcznienia. Przecież wie, jakie to błogosławienne dawać nowe życie. Gdyby wszystkie były takie bezpłodne jak ona, kto zaludniałby miastowce? Poraża ją nagła i**

**straszliwa wizja gigantycznych wież prawie zupełnie wyludnionych, zamkniętych miast o pękających murach, pozbawionych energii, z garstką zasuszonych staruszek snujących się po korytarzach, które kiedyś wypełniały tłumy szczęśliwych mieszkańców.**

**Jedna obsesja przywodzi na myśl drugą. Przerywając mężczyznom pogawędkę, Aurea zwraca się do Siegmunda:**

**- Czy to prawda, że niedługo otworzą Monadę 158?**

**- Tak słyszałem.**

**- Jaka ona będzie?**

**- Przypuszczam, że taka sama jak 116. Tysiąc pięter, podobne urządzenia. Myślę, że na początku na każde piętro przypadnie jakieś siedemdziesiąt rodzin, razem około 250 tysięcy mieszkańców, ale na pewno szybko osiągną przeciętny poziom zaludnienia.**

**Aurea nerwowo zaciska dłoń.**

**- Ilu ludzi przesiedlą, Siegmundzie?**

**- Nie mam zielonego pojęcia.**

**- Ale część mieszkańców naszej monady będzie musiała odejść, prawda?**

**Memnon wtrąca się łagodnie:**

**- Pomówmy o czymś przyjemniejszym, Aureo.**

**- Część zostanie wysiedlona - obstaje przy swoim dziewczyna. -**

**Powiedz, Siegmundzie. Przecież tyle czasu spędzasz administratorami w Louisville. Ilu?**

**Siegmund wybucha śmiechem.**



- Naprawdę, Aureo, masz zbyt wysokie mniemanie o mojej pozycji w miastowcu. Nikt nie pisał mi nawet słówka o tym, jaki sposób będą zasiedlać Monadę 158.

- Przecież jesteś zorientowany w tych sprawach, możesz przewidzieć przybliżone dane.

- Cóż, pewnie.

Siegmund jest zupełnie opanowany. Temat, na który zeszła rozmowa, obchodzi go wyłącznie od strony teoretycznej. Wydaje się całkiem nieświadomy przyczyny poruszenia Aurei.

- Naturalnie, jeśli chcemy spełniać nasz obowiązek wobec boga płodząc nowe życie - wyjaśnia - musimy mieć pewność, że nikomu nie zabraknie przestrzeni życiowej.

Sięga ręką po niesforny kosmyk włosów, aby odgarnąć go sprzed twarzy. Oczy mu płoną: uwielbia wygłaszać pogadanki.

- Stale budujemy nowe miastowce i oczywiście, kiedy w konstelacji Chipitts przybywa monada, zaludnia się ją przesiedleńcami z innych. Rozwiązanie dobrze uzasadnione genetycznie. Chociaż miastowce mają wystarczająco duże populacje, żeby zapewnić odpowiednie mieszanie genów, nasz tradycyjny podział każdej budowli na miasta i osiedla prowadzi do zwężenia puli dostępnej informacji genetycznej, co na dłuższą metę nie jest zdrowe dla gatunku. Natomiast jeśli weźmiemy po pięć tysięcy ludzi ze wszystkich pięćdziesięciu monad wymieszamy ich, osiedlając w nowym miastowcu, stworzymy świeżą, nie istniejącą dotąd mieszankę cech, złożoną z 250 tysięcy jednostek. Prawdę mówiąc, to

właśnie rozładowywanie presji populacyjnej jest najważniejszym

powodem, dla którego budujemy nowe miastowce.

- Trochę mniej naukowo - prosi Memnon. Siegmund *szczyrzy* zęby w uśmiechu.

- Właśnie tak się rzeczy mają. Jasne, trzeba jeszcze wziąć pod uwagę kulturowy imperatyw, który każe nam bezustannie się rozmnażać. To naturalne, odkąd nie trzeba łamać sobie głowy, gdzie pomieścić tych wszystkich ludzi. Ale nawet w naszym świecie musimy wszystko porządnie planować. Przewaga liczby urodzin nad zgonami wygląda na stałą tendencję. Każdą monadę zaprojektowano, żeby mogła wygodnie pomieścić 800 tysięcy mieszkańców, z zapasem miejsca dla jakichś stu tysięcy, ale nie więcej. Dziś wszystkie miastowce konstelacji Chipitts liczące sobie ponad dwadzieścia lat mają co najmniej po 10 tysięcy ludzi powyżej tej normy, a kilka młodszych wież szybko je dogania. U nas, w 116, nie jest jeszcze tak źle, ale sami wiecie, że powstają ogniska zapalne. Chicago, na przykład, liczy 38 tysięcy...

- Dokładnie 37 402 dziś rano - uściśla Aurea.

- Nieważne. To daje prawie tysiąc mieszkańców na piętro, podczas gdy zaplanowana dla Chicago gęstość zaludnienia wynosi tylko 32 tysiące. To znaczy, że czas oczekiwania na własną mieszkalnię w waszym mieście zaczyna odpowiadać długości życia jednego pokolenia. Wspólne dormitoria są przepelnione, a śmiertelność jest za niska, by w ten sposób zwalniało się miejsce dla młodych rodzin. Właśnie dlatego Chicago oddaje tylu najlepszych mieszkańców Edynburgowi, Bostonowi, a nawet

**Szanghajowi. Kiedy skończą nowy miastowiec...**

**Aurea ucina twardym jak stal głosem:**

**- Ilu ludzi z Monady 116 zostanie tam wysłanych?**

**- Średnio przesiedla się po 5 tysięcy z każdego miastowca, przy aktualnych stanach zaludnienia - odpowiada Siegmund. - Na pewno będą nieduże różnice uwzględniające niejednakową gęstość zaludnienia w poszczególnych budowlach, ale z pewnością nie większe niż o jakieś pół tysiąca. Z naszego miastowca będzie mniej więcej tysiąc ochotników...**

**- Ochotników? - Aurea aż sapie z wrażenia.**

**Nie mieści jej się w głowie, że ktokolwiek chciałby *dobrowolnie* opuścić rodzinną monadę. Siegmund uśmiecha się.**

**- Ludzie starsi, kochanie. Dwudziesto-, trzydziestolatki. Znużeni, może zaśniedziali w swoich zawodach albo zmęczeni sąsiadami - kto to może wiedzieć. *Zgadzam się*, że to brzmi nieprzyzwoicie, ale będzie tysiąc ochotników. Znaczy to, że trzeba będzie wylosować jeszcze cztery tysiące.**

**- To samo mówiłem ci dziś rano - mówi Memnon do żony.**

**- Czy te cztery tysiące będą losowane spośród wszystkich mieszkających w miastowcu? - dopytuje się Aurea.**

**Siegmund łagodnie odpowiada:**

**- Nie. Z dormitoriów nowożeńców. Spośród bezdzietnych par.**

**Stało się. Oto cała, naga prawda.**

**- Czemu spomiędzy nas? - Aurea zaczyna płakać.**

**- To najlepszy i najdelikatniejszy sposób - tłumaczy Siegmund. - Nie można przecież odrywać małych dzieci od rodzimego miastowca. Młode**

pary ze wspólnych dormitoriów nie mają takich samych więzi społecznych jak my... jak inni... jak... - jąka się, jak gdyby po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie mówi o hipotetycznych osobach, lecz o Aurei i jej osobistym nieszczęściu.

Dziewczyna ciągle płacze.

- Kochanie, strasznie mi przykro - odzywa się znów Siegmund. - Ten ustrój już taki jest, ale przecież to nasz ustrój. I można śmiało powiedzieć, że idealny.

- Memnonie, *wygnają* nas!

Siegmund próbuje ją pocieszyć. Szansa, że wybór padnie na nią i Memnona, jest bardzo mała - przekonuje. W ich monadzie są tysiące kandydatów do przesiedlenia. Poza tym - twierdzi - w grę wchodzi tyle innych, zmiennych czynników. Jednak Aurea jest zrozpaczona. Nie zwracając uwagi na wstyd, wylewa swe żale wobec wszystkich. Wreszcie zmieszanie gospodarzy pomaga jej się opanować. Zdaje sobie sprawę, że zepsuła cały wieczór. Mimo to Siegmund i Mamelon nie przestają być mili, a Memnon nie daje jej, kiedy idą do szybociągu, którym zjadą do swego domu w Chicago pięćdziesiąt dwa piętra w dół.

Tej nocy, choć bardzo go pragnie, Aurea odwraca się tyłem do męża, kiedy ten próbuje się do niej zbliżyć. Leży jeszcze długo z otwartymi oczami i przysłuchuje się sapaniu i jękowi rozkoszy par kochających się dookoła na platformie sypialnej. W końcu przychodzi sen. Aurei śnią się własne narodziny. Jest na dole, w siłowni Miastowca 116, czterysta metrów pod ziemią, zamykają ją w kapsule szybociągu. Cała budowla

**pulsuje. Dziewczyna znajduje się blisko pochłaniacza ciepła, regeneratora mocz, ubijarek odpadów i całej reszty mechanizmów służących utrzymaniu życia w miastowcu - wszystkich tych mrocznych, ukrytych konstrukcji, które musiała zwiedzić, będąc w szkole. Teraz szybociąg unosi ją w górę; mija Reykjavik, gdzie żyją robotnicy konserwacyjni, rozkrzyżowaną Pragę, gdzie każdy ma dziesięcioro dzieci, potem Rzym, Boston, Edynburg, Chicago i Szanghaj; zostawia w dole Louisville z pławiącymi się w niewyobrażalnym luksusie administratorami i wreszcie dociera na sam szczyt budowli, do lądowiska przyjmującego szybokoloty z odległych wież. Właz lądowiska otwiera się i Aurea wylatuje na zewnątrz. Bezpieczna w przytulnej kapsule, wzbija się pod niebo, kołysana uderzeniami zimnych wiatrów górnej warstwy atmosfery. Jest już sześć kilometrów nad ziemią i po raz pierwszy w życiu ogarnia wzrokiem cały świat monad. Więc tak to wygląda, myśli. Takie mnóstwo budowli - i wciąż jeszcze tyle wolnej przestrzeni!**

**Szybkuje wśród konstelacji wież. Jest wczesna wiosna i Chipitts zaczyna pokrywać się zielenią. W dole strzelają pod niebo szpiczaste konstrukcje będące domem dla ponad**

milionów

ludzi,

zamieszkujących to skupisko miastowców. Architektoniczny porządek konstelacji, geometryczne rozmieszczenie budowli tworzących równe rzędy gigantycznych sześciokątów wprawia ją w podziw. Między wieżami rozkwitają parki zieleni. Nikt nigdy tam nie spaceruje, ale wypiełgnowane trawniki stanowią wspaniały widok z okien miastowca. Z tej wysokości wydają się cudownie gładkie, jak gdyby wymalowane na powierzchni ziemi. Mieszkający na dolnych piętrach ludzie z niższych klas mają najlepszy widok na ogrody i sadzawki, co trochę rekompensuje im ich niski status. Z tak wysokiego punktu widokowego, w jakim się teraz znajduje, Aurea nie spodziewa się dostrzec szczegółów parków, ale jej rozmarzony umysł ogarnia nagle niezwykle wyraźna wizja łąki, na której jest w stanie rozróżnić malutkie, złociste główki kwiatów i nawet poczuć ich silną woń.

Kiedy dziewczyna zachwyca się złożonością struktury Chipitts, jej mózg wiruje. Ile to miast, przy dwudziestu pięciu w każdym miastowcu? Tysiąc dwieście pięćdziesiąt. Ile osiedli, przy siedmiu lub ośmiu przypadających na jedno miasto? Ponad dziesięć tysięcy. A ile rodzin? Ilu lunatyków, którzy właśnie w tej chwili wślizgują się do gościnnych łóżek? Ile ludzi rodzi się co dzień, a ile umiera? Ile radości? Ile smutków? Aurea wznosi się bez wysiłku na wysokość dziesięciu kilometrów.

**Chce zobaczyć osiedla rolnicze, leżące poza konstelacją monad.**

**I oto są: ciągnące się po horyzont, równe i płaskie pasy, na przemian brunatne i zielone. Słyszała to niezliczoną ilość razy: siedem ósmym lądowej powierzchni kontynentu jest wykorzystywane do produkcji żywności. Czy może dziewięć dziesiątych? Albo pięć ósmym? Dwanaście trzynastych? Ruchliwe ludziki: mężczyźni i kobiety nadzorujący maszyny, które uprawiają żyzne pola. Aurea słyszała opowieści o dziwacznych i prymitywnych zwyczajach ludności rolniczej, strasznych obrzędach, jakie odprawiają, zmuszeni żyć z dala od cywilizowanego świata miastowców. A może to tylko wymysł? Żaden ze znanych jej ludzi nigdy nie był w osadzie rolniczej. Nikt, kogo zna, nie wychylił nawet nosa poza Monadę 116. Automatyczne gondole dostawcze bezustannie toczą się podziemnymi tunelami prowadzącymi do wież, wioząc plody rolne. Żywność w zamian za maszyny i wszelkie artykuły przemysłowe. Stabilność ekonomiczna. Aurea wystrzela w górę na fali radości. Jakie to zdumiewające, jakie cudowne, że 75 miliardów ludzi żyje zgodnie w jednym małym świecie! Szczęść boże, myśli dziewczyna. Dość miejsca dla każdej rodziny. Pełne treści, bogate miejskie życie. Przyjaciele i kochankowie, mężowie i dzieci.**

**Dzieci. Ogarnięta przerażeniem, zaczyna wirować.**

**Zawrót głowy wynosi ją jak gdyby na skraj wszechświata, skąd widać całą planetę. Wszystkie konstelacje monad sterczą w jej stronę jak kolce. Dostrzega nie tylko Chipitts, ale i Sansan, i Boshwash, Berpar, Wienbud, Shankong i Bocarac - ogromne skupiska gigantycznych wież.**

Widzi też równiny, na których rośnie pokarm - dawne pustynie, stopy i lasy. Widok jest bardzo piękny, ale zarazem przerażający; Aurea na moment traci pewność, że sposób, w jaki człowiek przekształcił swoje otoczenie, był naprawdę najlepszy. Ależ tak, przekonuje samą siebie, tak właśnie jest; w ten sposób służymy bogu, unikamy walk, chciwości i sporów, dajemy nowe życie, trwamy i rozmnażamy się. Rozmnażamy się. Rozmnażamy. Znow ogarnia ją zwątpienie i zaczyna spadać. Kapsuła rozpada się i rzuca nagie, bezbronne ciało dziewczyny na pastwę zimnych przestworzy. Aurea widzi pod sobą ostre kolce wież konstelacji Chipitts. Tylko że teraz jest ich pięćdziesiąt jeden - o jedną więcej. Dziewczyna spada prosto na nią, w stronę połyskującego spizem, ostrego jak igła czubka. Krzyczy, kiedy ostrze przeszywa jej ciało i wbija niczym na pal. W tym momencie budzi się, spocona i rozdygotana, z wyschniętym gardłem i umysłem oślepiętym wizją, której nie rozumie. Szukając opieki przytula się do męża. Memnon pomrukuje przez sen i, nie budząc się, wchodzi w nią.

Do mieszkańców Monady Miejskiej 116 zaczynają już docierać informacje o nowym budynku. Aurea słucha wiadomości z ekranu podczas porannej krzątania w dormitorium. Desenie światła i barw na ścianie układają się w obraz nie ukończonej jeszcze wieży. Wokół roi się od automatów budowlanych: metalowe ramiona poruszają się w szaleńczym tempie; z pokrytych stalowymi płytami ośmiobocznych tułowi błyskają łuki spawalnicze. Znajomy głos oznajmia z ekranu:

- Przyjaciele, właśnie patrzycie na Miastowiec 158, którego budowa



**zakończy się dokładnie za miesiąc i jedenaście dni. Stanie się on wkrótce domem dla wielu szczęśliwych chipittsjan, którzy otrzymają zaszczytny status mieszkańców pierwszej generacji. Według doniesień z Louisville już osiemset dwie osoby z naszej monady dobrowolnie wpisały się na listę przesiedleńców. Przeprowadzą się do nowego miastowca zaraz po jego...**

**Następnego dnia można obejrzeć rozmowę z państwem Cullinan z Bostonu, którzy razem z dziewięciorgiem pociech jako pierwsi poprosili o przeniesienie. Cullinan, tęgi, o czerwonej twarzy, jest specjalistą od inżynierii sanitarnej. Właśnie tłumaczy:**

**- Przeprowadzka do 158 da mi realną szansę awansu do sektora planowania. Myślę, że szybko podniosę swój status o jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt pięter.**

**Pani Cullinan z samozadowoleniem głaszcze średnią latorośl.**

**Widać, że w drodze jest już następne maleństwo. Mama mrukliwie wylicza wielkie korzyści, jakie przesiedlenie da ich dzieciom. Ma wodniste oczy, spiczasty nos i górną wargę grubszą od dolnej.**

**- Wygląda jak drapieżne ptaszysko - komentuje ktoś w dormitorium.**

**Ktoś inny mówi:**

**- Tutaj na pewno nędznie im się wiodło. Tam mają nadzieję szybko przeskoczyć parę szczebli.**

**Przychówek Cullinanów ma od dwu do trzynastu lat. Na**

**nieszczęście dla siebie dzieci przypominają wyglądem rodziców.**

**Dziewczynka z ostro zakrzywionym nosem kryje się za brata, wyraźnie**

spłoszona kamerą.

- Kiedy ubędzie ludzi, w miastowcu będzie lepiej - mówi z

przekonaniem Aurea.

Nadają wywiady z kolejnymi przesiedleńcami. Czwartego dnia akcji propagandowej ekran proponuje wycieczkę po wnętrzu Monady 158, eksponując jej supernowoczesne urządzenia. Irygacja cieplna dla każdego, superszybkie szybociągi, trójścienne ekrany, najnowszy system programowania dostaw posiłków z centralnych kuchni i mnóstwo innych cudów, będących najwspanialszymi przykładami postępu. Liczba ochotników do przesiedlenia wynosi już dziewięćset czternaście osób. Może, myśli naiwnie Aurea, znajdą tylu ochotników, że nie trzeba będzie dołoso wywać nikogo więcej.

- Ta liczba jest fałszywa - odzywa się Memnon. - Siegmund mówi, że jak dotąd mają tylko dziewięćdziesięciu jeden ochotników.

- Więc dlaczego...?

- Żeby zachęcić innych.

Po tygodniu w wiadomościach o nowym miastowcu podają, że liczba ochotników urosła do tysiąca sześćdziesięciu. Siegmund przyznaje prywatnie, że liczba ta, chociaż trochę większa od rzeczywistej, jest zdumiewająco bliska prawdy. Wciąż spodziewają się jeszcze kilku dobrowolnych zgłoszeń. Ekran zaczyna łagodnie oswajać ludzi z możliwością przeprowadzenia przymusowego poboru do przesiedlenia. Dwu przedstawicieli władz z Louisville i para nastawiaczy śrubowych z Chicago występuje razem w dyskusji o potrzebie zapewnienia nowej bu-

dowli właściwego przekroju genetycznego. Inżynier moralny z Szanghaju przypomina o wadze błogosławnego postępowania w każdej sytuacji. Błogosławienne jest, mówi, żyć zgodnie z boskim planem i zaleceniami jego przedstawicieli na Ziemi. Bóg jest twoim przyjacielem i nie chce cię skrzywdzić. Bóg kocha błogosławiennych. Życie w Monadzie 158 będzie gorszej jakości, jeżeli wstępne zaludnienie nie osiągnie planowanego poziomu. Byłaby to krzywda wyrządzona tym wszystkim, którzy z własnej woli wybrali przeprowadzkę do 158, a krzywda wyrządzona bliźniemu to krzywda wobec boga, a kto chciałby zranić *jego*? Dlatego właśnie zgoda na przesiedlenie, jeśli zostanie się wybranym, jest obowiązkiem wobec społeczeństwa. Następnie w programie jest wywiad z będącymi świeżo po ślubie czternastoletnim Kimonem i trzynastoletnią Freyą Kurtz ze wspólnego dormitorium w Bombaju. Przyznają, że nie mają zamiaru zgłosić się na ochotnika, ale nie będą oponować, jeżeli padnie na nich.

- Naszym zdaniem - zabiera głos Kimon - to może być wspaniała szansa. Niedługo pewnie będziemy mieli dzieci. Tam bylibyśmy w stanie zapewnić im od razu wysoki status. To przecież zupełnie nowy świat - nie ma granic, jak daleko można zajść, nikogo, kto stałby ci na drodze. Na początku może być trochę przepychanek przy rozmieszczaniu mieszkańców, ale na pewno szybko idzie się w górę. Poza tym mielibyśmy pewność, że kiedy nasze dzieci dorosną do małżeństwa, nie będą musiały mieszkać we wspólnym dormitorium, tylko bez żadnego czekania dostaną własną mieszkalnię, może nawet zanim będą mieć własne dzieci. Dlatego, chociaż nie mamy ochoty rozstawać się z przyjaciółmi i ze wszystkim

**tutaj, to jeżeli zostaniemy wylosowani, będziemy gotowi się przenieść.**

**Nie posiadając się z zachwytu, Freya Kurtz przytakuje:**

**- Tak, to prawda.**

**Proces rozmiękczenia trwa. Kolejny etap przynosi opis sposobu, w jaki wyłoni się przesiedleńców, których łączna liczba ma wynosić trzy tysiące ośmiuset siedemdziesięciu ośmiu - nie więcej niż dwustu z każdego miasta, a więc trzydziestu z każdego wspólnego dormitorium.**

**Grupa objęta poborem składać się będzie z bezdzietnych małżeństw między dwunastym a siedemnastym rokiem życia. Aktualna ciąża nie będzie liczona jako dziecko. Sam pobór przeprowadzi się drogą losowania.**

**W końcu ogłaszają nazwiska wybranych. Głos z ekranu pogodnie obwieszcza:**

**- Z Chicago, z dormitorium na 735 piętrze wylosowano następujące szczęśliwe pary. Niech bóg obdarzy ich płodnością na nowej drodze życia:**

**Brock, Aylaward i Alison; Feuermann, Sterling i Natasza; Holston, Memnon i Aurea...**

**Oderwą ją od macierzy. Od wszystkich wspomnień i uczuć, które dają jej tożsamość. Aurea jest przerażona przesiedleniem.**

**Nie podda się wyborowi.**

**- Memnonie, odwołaj się! Zrób coś, natychmiast! Napiera na**

**świecącą ścianę dormitorium. Memnon rzuca**

**jej puste spojrzenie. Powiedział już przecież, że nic nie można**

**zrobić, a teraz musi iść do pracy. Wychodzi z dormitorium.**

**Aurea idzie za nim na korytarz. Poranna bieganina już się zaczęła i zewsząd wylewają się mieszkańcy 735 poziomu Chicago. Aurea szlocha. Przechodnie odwracają od niej oczy. Prawie wszyscy to znajomi, wśród których upłynęło całe jej dotychczasowe życie. Szarpie męża za rękę.**

**- Nie zostawiaj mnie tak! - szepcze chrapliwie. - Nie możemy pozwolić, żeby wypędzili nas z naszego miastowca!**

**- Takie jest prawo, Aureo, a ludzie, którzy go nie przestrzegają, kończą w zsuwni. Tego właśnie chcesz? Skończyć jako paliwo dla generatorów?**

**- Nie pójdę! Memnonie, mieszkałam tu całe życie! Ja...**

**- Mówisz jak nonszalancka - przerywa Memnon, zniżając głos.**

**Wciąga żonę z powrotem do dormitorium. Patrząc w górę, Aurea widzi tylko jego przepastne i ciemne nozdrza.**

**- Weź pigułkę. Czemu nie pójdziesz porozmawiać z piętrowym pocieszycielem? Uspokój się i spróbuj z tym pogodzić.**

**- Chcę, żebyś się odwołał.**

**- Nie można się odwołać.**

**- Ja się nie wyprowadzę.**

**Memnon chwyta ją za ramiona.**

**- Pomyśl logicznie, Aureo. Wszystkie miastowce są w zasadzie takie same. Niektórzy z naszych przyjaciół też tam będą. Poznamy nowych ludzi. Będziemy...**

**- Nie.**

**- Nie mamy żadnej alternatywy - mówi dalej Memnon. - Oprócz**

**kasacji.**

**- Wolę już, żeby wrzucili mnie do zsuwni!**

**Po raz pierwszy, odkąd są małżeństwem, Aurea widzi, jak mąż patrzy na nią z pogardą. Memnon nie może ścierpieć jej braku rozsądku.**

**- Nie gadaj bzdur - mówi. - Łyknij pigułkę, spotkaj się z pocieszycielem i wszystko sobie przemyśl. Muszę już iść.**

**Ponownie wychodzi. Tym razem Aurea już za nim nie wybiega.**

**Osuwa się na podłogę, czując na nagiej skórze chłodny dotyk sztucznego tworzywa. Pozostali współlokatorzy taktownie ją ignorują. Przed oczami stają jej obrazy z przeszłości: sala szkolna, jej pierwszy kochanek, rodzice i rodzeństwo; płyną przez pokój, wywołując potoki słonej wilgoci. Aurea przyciska kciuki do oczu. Nie pozwoli się wyrzucić. Stopniowo uspokaja się. Mam własne kontakty, mówi do siebie. Skoro Memnon nic nie zrobi, będę działać za nas dwoje. Zastanawia się, czy kiedykolwiek przebaczy mu jego oczywisty oportunizm. Jego tchórzostwo. Ona się nie podda.**

**Pojedzie odwiedzić wuja.**

**Zrzuca poranne okrycie i wkłada szary i skromny dziewczęcy płaszczyk. Z kasetki hormonalnej wybiera globulkę, dzięki której będzie wydzielać zapach budzący w mężczyznach opiekuńczość. Wygląda słodko: poważna i dziewicza. Gdyby nie dojrzałe ciało, można by dać jej najwyżej dziesięć, jedenaście lat.**

**Szybociąg zabiera ją na 975 piętro, do samego serca Louisville.**

**Wszystko tu jest ze stali i szklanej gąbki. Przestronne, tchnące dostojnością korytarze. Nie ma tu tłumów mieszkańców; widywane z**

rzadka ludzkie postacie wydają się w tym miejscu czymś niestosownym i  
zbędnym, w przeciwieństwie do bezgłośnych automatów, które  
prześlizgują się, wypełniając czyjeś nieodgadnione polecenia. Siedziba  
administratorów boskich planów, zaprojektowana, by wzbudzać lęk i  
zniewalać; mana, dostępna tylko klasie rządzącej. Jak tu wygodnie. Jak  
czysto. Wypełnia ją poczucie samowystarczalności tego miejsca. Gdyby  
oderwać

dolne

dziewięćdziesiąt

procent

budowli,

Louisville

poszybowałoby pogodnie na własną orbitę, dalej opływając we wszystko.

Aurea zatrzymuje się przed błyszczącymi drzwiami, inkru-

stowanymi przypominającymi morę, falistymi pasami jasnego metalu.

Ukryte czujniki poddają ją kontroli, pytają o cel wizyty, oceniają, by

ostatecznie skierować do poczekalni. Po pewnym czasie brat jej matki

zgadza się ją przyjąć.

Gabinet jest prawie tak duży jak rodzinna mieszkalnia. Ad-

ministrator siedzi za szerokim, wielobocznym biurkiem, z którego

wystaje szereg migoczących ekranów monitorów. Jest ubrany w oficjalny

strój urzędnika wysokiej rangi - luźno opadającą szarą tunikę z

promieniującymi podczerwienią epoletami. Lekka fala ciepła dochodzi aż

do miejsca, gdzie stoi Aurea. Jej wuj jest pełen uprzejmej rezerwy. Jego

**przystojna twarz ma modną barwę polerowanej miedzi.**

**- Sporo miesięcy upłynęło od naszego ostatniego spotkania,**

**prawda, Aureo? - wita siostrzenicę, nie umiejąc pozbyć się**

**protekcjonalnego uśmiechu. - Jak się miewasz?**

**- Dobrze, wujku Lewisie.**

**- A twój mąż?**

**- Świetnie.**

**- Dorobiliście się jakichś pociech? Aurea wybucha:**

**- Wujku Lewisie, zostaliśmy wylosowani do zasiedlenia nowego**

**miastowca!**

**Przylepiony uśmieszek ani na chwilę nie schodzi z twarzy zarządcy.**

**- To wspaniale! Szczęść boże, zaczniecie nowe życie od razu na**

**samym szczycie!**

**- Nie chcę się przeprowadzać. Pomóż nam się jakoś od tego**

**wykręcić, wszystko jedno jak.**

**Na chwiejnych nogach rzuca się w jego stronę, cała we łzach, jak**

**przerażone dziecko. Pole siłowe zatrzymuje ją dwa metry od zewnętrznej**

**krawędzi biurka. Uderzenie o niewidzialną przeszkodę boleśnie**

**rozplaszcza jej piersi. Dziewczyna odwraca głowę i rani się w policzek.**

**Pada na kolana, piszcząc z bólu.**

**Wuj podchodzi i stawia ją na nogi. Tłumaczy, że musi być dzielna i**

**spełnić powinność, jaką ma wobec boga. Z początku jest opanowany i**

**miły, lecz gdy Aurea zaczyna protestować, jego głos robi się zimny, na**

**granicy irytacji. Niespodziewanie dziewczyna zaczyna czuć się niegodna**



nawet jego uwagi. Zarządca przypomina jej o obowiązkach wobec społeczności. Delikatnie napomyka, że na tych, co uparcie burzą porządek społeczny, czeka zsuwnia. Po chwili znów się uśmiecha, patrząc lodowato błękitnymi oczami prosto w jej oczy, aby je w końcu pochłonąć. Jeszcze raz powtarza Aurei, że musi być dzielna i pogodzić się z przesiedleniem. Dziewczyna wychodzi, powłócząc nogami. Czuje się zhańbiona przez własną słabość.

W miarę jak z powrotem zanurza się w głąb miastowca poniżej poziomu Louisville, siła oczu i słów wuja słabnie, ustępując miejsca oburzeniu. Może uda się jej znaleźć pomoc gdzie indziej. Przyszłość rozpada się wokół niej, walące się wieże nadziei grzebią ją w tumanach ciemnego, ceglatego kurzu. Od strony jutra wieje ostry wiatr, który kołysze potężnym miastowcem. Aurea wraca do dormitorium i w pośpiechu przebiera się, zmieniając także równowagę hormonalną. Jedna, dwie krople złocistego płynu spływają w dół między sekretne trybiki kobiecej maszyneryi gruczołów dokrewnych. Teraz okrywa ją opalizująca siateczka, przez którą raz po raz prześwitują piersi, uda i pośladki. Dziewczyna wydziela woń czystego pożądania. Przekazuje przez terminal prośbę o prywatne spotkanie z Siegmundem Kluverem z Szanghaju. Czekając na odpowiedź, spaceruje po dormitorium. Jeden ze świeżo upieczonych mężów podchodzi do niej z błyszczącymi oczami. Łapie ją za biodra i gestem zaprasza na swoją platformę sypialną.

- Przepraszam - wymrukuje Aurea - ale zaraz muszę wyjść.

Do pewnego stopnia odmowy są dopuszczalne. Młodzieniec

wzrusza ramionami i odchodzi. Przystaje jeszcze, rzucając jej pełne  
pożądania spojrzenie. Po ośmiu minutach nadchodzi wiadomość, że  
Siegmund zgadza się na spotkanie w jednej z kabin towarzyskich na 790  
piętrze. Aurea znów jedzie na górę.

Siegmund ma zabrudzoną twarz. Kieszeń na jego piersi wybrzusza  
plik służbowych notatek. Wydaje się zły i zniecierpliwiony.

- Czemu zawdzięczam fakt, że odrywasz mnie od pracy? -pyta.

- Pewnie już wiesz, że Memnon i ja zostaliśmy...

- Tak, oczywiście - nadchodzi obcesowa odpowiedź. - Będzie nam z  
Mamelon przykro stracić takich przyjaciół.

Aurea stara się przybrać prowokującą pozę. Zdaje sobie sprawę, że  
aby zyskać pomoc Siegmunda, musi zrobić coś więcej niż tylko mu się  
oddać. Nie tak łatwo jest go poruszyć. Ciała są tutaj łatwo dostępne, za to  
możliwości kariery nieliczne i łatwe do zaprzepaszczenia. Cel, jaki  
dziewczyna chce osiągnąć, jest taki trywialny. Ma przeczucie, że w ciągu  
tych paru chwil, które mają nastąpić, zostanie odrzucona. Mimo to  
wierzy, że uda jej się jakoś wpłynąć na Siegmunda, sprawić, by po jej  
wyjściu pożałował i pomógł. Mówi szeptem:

- Pomóż nam wywinąć się od przesiedlenia, Siegmundzie.

- A co ja mogę zrobić?

- Masz układy. Wprowadź jakąś zmianę do programu. Albo poprzyj  
nasze odwołanie. Wszyscy wiedzą, że pnieś się w górę i masz wysoko  
postawionych przyjaciół. Na pewno znajdziesz jakiś sposób.

- Na to nie ma sposobu.

- Siegmundzie, proszę.

Aurea podchodzi do niego z ramionami odchylonymi w tył, pozwalając, aby jej sutki sterczały wyzywająco spod siatkowego stroju. To beznadziejne. Jak może oczarować go dwoma różowymi wypustkami zeszywniałego ciała? Oblizuje wargi i zwęża oczy w szparki. Zbyt teatralne. Zaraz będzie się śmiał. Aurea mówi ochrypłym głosem:

- Nie chcesz, żebym została? Naprawdę nie chciałbyś trochę się ze mną pokochać? Wiesz, że zrobię wszystko, jeśli tylko załatwisz nam skreślenie z listy. *Wszystko!*

Skwapliwie przybliżyła twarz. Rozdęte nozdrza obiecują niewyobrażalne seksualne rozkosze. Będzie robiła rzeczy, których nikt jeszcze nawet nie wymyślił.

Widzi, jak Siegmund uśmiecha się przez moment i wie już, że się przecenila. Jej gotowość zamiast podniecić, tylko go rozbawiła. Marszczy twarz. Odwraca się.

- Nie chcesz mnie - mamrocze.

- Aureo, proszę! Żądasz niemożliwości.

Siegmund chwyta ją za ramiona i przyciąga do siebie. Jego ręce wślizgują się pod siateczkę i pieszczą jej ciało. Dziewczyna wie, że on stara się tylko ją pocieszyć, udając pożądanie. Siegmund mówi:

- Gdyby istniał jakikolwiek sposób załatwienia waszej sprawy, pomógłbym. Ale to skończyłoby się tak, że wszyscy wylądowalibyśmy w zsuwni.

Jego palce odnajdują samo jądro jej ciała. Wilgotne i śliskie wbrew

niej samej. Aurea już go nie pragnie, nie w tych okolicznościach. Próbuje uwolnić się, skręcając biodra. Te karesy to czysta grzeczność, chce ją wziąć z litości. Dziewczyna wykręca się i sztywnieje.

- Nie - mówi.

W tej samej chwili dociera do niej cała beznadziejność sytuacji; w końcu oddaje mu się tylko dlatego, iż wie, że już nigdy więcej nie będzie miała na to szansy.

\* \* \*

- Siegmund mówił mi, co się dzisiaj zdarzyło. Twój wuj też. Musisz się uspokoić, Aureo - mówi Memnon.

- Niech nas wrzucą do zsuwni, Memnonie.

- Chodźmy razem do pocieszy cielą. Nigdy przedtem nie zachowywałaś się w ten sposób.

- Nigdy przedtem nie czułam się tak zagrożona.

- Dlaczego po prostu nie zaakceptujesz tego? To naprawdę nasza wielka szansa.

- Nie mogę. Nie potrafię.

Opada ciężko do przodu, rozbita i zdruzgotana.

- Weź się w garść - rzuca jej mąż. - Takie marudzenie tylko sterylizuje. Rozchmurz się trochę.

Dziewczyna zdaje się nie zauważać podejmowanych przez męża prób dotarcia do niej. Memnon wzywa automaty, aby zabrały ją do pocieszyciela. Przez całą drogę Aurea czuje miękkie, pomarańczowe i wyścielane gumą poduszaste łapy podtrzymujące ją delikatnie za

ramiona. W gabinecie pocieszyciela badają ją i sprawdzają przemianę materii. Pocieszyciel wyciąga z niej całą historię. Jest w podeszłym wieku - z burzą siwych włosów okalających zaróżowioną twarz - uprzejmy, łagodny i na swój sposób znudzony. Aurea zastanawia się, czy za jego słodyczą nie kryje się nienawiść do niej. W końcu słyszy jego słowa:

- Konflikt sterylizuje. Musisz nauczyć się spełniać obowiązki społeczne, tylko wtedy społeczeństwo może się tobą opiekować.

Na koniec zaleca jej terapię.

- Nie chcę terapii - mówi niewyraźnie Aurea. Ale Memnon wyraża zgodę i przychodzą po nią.

- Dokąd mnie zabieracie? - pyta. - Na jak długo?

- Na 780 piętro. Kuracja potrwa około tygodnia.

- Do inżynierów moralnych?

- Tak - słyszy w odpowiedzi.

- Nie do nich. Proszę, tylko nie tam.

- Są bardzo mili. Leczą z kłopotów.

- Oni mnie zmieniają.

- Tylko wyleczą. Chodź już. Chodź.

*Przez tydzień mieszka w zamkniętej komorze, wypełnionej ciepłą, skrzącą się cieczą. Plywa w niej leniwie, wyobrażając sobie, że ogromny miastowiec jest cudownym piedestałem, na którym ją postawiono.*

Obrazy odpływają z jej umysłu i wszystko robi się tak rozkosznie zamglone. Mówią do niej przez kanały audio wbudowane w ściany pomieszczenia. Od czasu do czasu widzi oko, przypatrujące się jej przez

zwisający z sufitu światłowód optyczny. Drenują z niej całe napięcie i opór. Ósmego dnia przychodzi po nią Memnon. Komora otwiera się i wyciągają ją nagą i moką, z pomarszczoną skórą, do której przyłgnęły drobniutkie kropelki połyskującej cieczy. Pokój jest pełen obcych mężczyzn. Wszyscy prócz niej są ubrani. Stanie nago przed nimi przypomina sceny ze snu, ale Aurei to nie przeszkadza. Jędrne piersi, płaski brzuch - nie ma się czego wstydzić. Automaty wycierają ją do sucha i ubierają. Memnon prowadzi ją za rękę. Aurea raz po raz uśmiecha się.

- Kocham cię - mówi miękko do męża.

- Szczęść boże - odpowiada Memnon. - Tak bardzo za tobą tęskniłem.

Zbliża się dzień przenosin. Aurea pożegnała się już ze wszystkimi.

Miała na to dwa miesiące: najpierw krewni, potem przyjaciele z osiedla, znajomi z całego Chicago, a na końcu Siegmund i Mamelon Kluverowie - jedyni ludzie spoza jej rodzinnego miasta, jakich знаła. Jakby przewinęła całą swą przeszłość na przyspieszonej taśmie. Odwiedziła dom rodziców i swoją dawną salę szkolną. Wybrała się nawet na zwiedzanie miastowca, jak gość spoza budowli, żeby po raz ostatni zobaczyć siłownię, rdzeń instalacyjny i stacje przetwarzania.

Tymczasem Memnon także nie próżnuje. Co wieczór opowiada

Aurei o wydarzeniach kolejnego dnia. Pięć tysięcy dwu obywateli

Miastowca 116 wyznaczonych do zamieszkania w nowej wieży wybrało

dwunastu delegatów do komisji zarządzającej Monadą 158 i Memnon

znalazł się w tej dwunastce. To wielki zaszczyt. Dzień po dniu delegaci

uczestniczą w multiekranowych telekonferencjach z całą konstelacją Chipitts, dzięki którym mogą planować społeczny ustrój monady, którą wspólnie zasiedlą. Ustalono - powtarza Memnon żonie - że będzie pięćdziesiąt miast po dwadzieścia pięter każde. Wszystkie wezmą swe nazwy nie od zniszczonych miast dawnej Ziemi, jak było dotychczas w zwyczaju, ale od imion wybitnych ludzi z przeszłości, takich jak Newton, Einstein, Platon czy Galileusz. Memnon będzie odpowiadać za cały zespół inżynierów zajmujących się dyfuzją ciepła. Będzie to stanowisko bardziej kierownicze niż techniczne, dlatego też razem z Aureą zamieszkają w Newton - najwyżej położonym mieście.

Memnon aż urósł i napęczniał, dumny ze swej nowo nabytej rangi.

Nie może się doczekać, kiedy nadejdzie godzina przeprowadzki.

- Będziemy naprawdę wpływowymi osobistościami - mówi z uniesieniem do żony - a za dziesięć, piętnaście lat zostaniemy w 158 postaciami legendarnymi. Pierwsi osadnicy. Założyciele. Pionierzy. Za sto lat będą układać o nas ballady.

- A ja nie chciałam odejść - mówi łagodnie Aureą. - Jakie to dziwne pomyśleć, że mogłam zachowywać się w ten sposób!

- Nie można reagować strachem, zanim nie zobaczy się rzeczy takimi, jakie naprawdę są - odpowiada Memnon. - Starożytni myśleli o pięciu miliardach ludzi na świecie jak o katastrofie. Tymczasem dziś mamy piętnaście razy tyle i popatrz, jacy jesteśmy szczęśliwi.

- Bardzo szczęśliwi. I zawsze będziemy, Memnonie.

Wreszcie nadchodzi sygnał. Pod drzwiami zjawiają się automaty,

aby ich zabrać. Memnon pokazuje skrzynię z niewielkim dobytkiem.

Aureą promienieje. Rozgląda się po dormitorium, zdumiona, jakie jest przeludnione: tyle par ściśniętych na takiej małej powierzchni. W 158 będziemy mieć własną mieszkalnię - przypomina sobie w myślach.

Ci, którzy zostają w dormitorium, ustawiają się w kolejce, by po raz ostatni ich uściskać.

Memnon idzie w ślad za automatami. Aureą podąża za nim. Jadą na lądowisko na tysięcznym piętrze. Minęła już godzina od świtu i promienie letniego słońca padają świetlistymi plamami na czubki wież Chipitts.

Akcja przesiedleńcza zaczęła się; szybkoloty zdolne pomieścić stu pasażerów będą przez cały dzień kursować w tę i z powrotem między Monadą 116 a 158.

- No i wyprowadzamy się - mówi Memnon. - Zaczynamy nowe życie.

Szczęść boże!

- Szczęść boże! - woła Aureą.

Wchodzą do szybkolotu, który błyskawicznie podrywa się do góry.

Pionierzy, mający zaludnić Miastowiec 158, patrzą z zapartym tchem, po raz pierwszy widząc swój świat z wysokości. Wieże są naprawdę piękne, uświadamia sobie Aureą. Błyszczą i ciągną się daleko, wszystkie pięćdziesiąt jeden, niczym krąg włóczni, ustawionych ostrzami ku górze na szerokim zielonym dywanie. Dziewczyna czuje się bardzo szczęśliwa.

Memnon nakrywa jej dłoń swoją. Aureą dziwi się, jak kiedykolwiek mogła bać się tego dnia. Żałuje, że nie może przeprosić całego wszechświata za swoją głupotę.



Jej wolna ręka spoczywa lekko w zagłębieniu brzucha, gdzie nareszcie kielkuje nowe życie. Komórki bezustannie dzielą się i jej maleństwo rośnie. Ustalili, że zostało poczęte wieczorem tego samego dnia, kiedy wróciła z zalecanej przez pocieszyciela kuracji. To prawda, że konflikt sterylizuje - myśli Aureą. Na szczęście wyleczyli ją z trującego negatywnego nastawienia i wreszcie może należycie wypełnić swoje kobiece przeznaczenie.

- Życie w prawie pustym miastowcu - mówi do Memnona - musi być zupełnie inne. Tylko dwieście pięćdziesiąt tysięcy! Ile czasu upłynie, zanim go zapełnimy?

- Dwanaście, może trzynaście lat - odpowiada Memnon. - Jesteśmy wszyscy młodzi, więc nie będzie dużo zgonów. Za to mnóstwo narodzin.

Aurea wybucha śmiechem.

- To dobrze. Nie cierpię, kiedy dom stoi pusty. Głos z głośnika oznajmia:

- Lecimy na południowy wschód. Z tyłu, po lewej stronie, możecie zobaczyć po raz ostatni Monadę 116.

Pasażerowie prostują się, żeby popatrzeć, ale Aurea nie rusza się z miejsca. Miastowiec 116 przestał ją obchodzić.

### III

Tego wieczoru występują w Rzymie, w nowym ośrodku fonicznym na 530 piętrze. Dillon Chrimes nie był na tak wysokim poziomie miastowca od tygodni. Ostatnio objeżdżali z kapelą miasta roboli:

Reykjavik, Pragę, Warszawę - same doły pełne smoluchów. W końcu im

też należy się trochę rozrywki. Dillon mieszka w San Francisco, właściwie też nie za wysoko: 370 piętro - samo serce artystycznego getta. Ale wcale się tym nie przejmuje, bo przecież nie brakuje mu nowości. W ciągu roku jeździ po całej monadzie, z dołu do góry. Fakt, że ostatnimi czasy zalicza same niziny, to tylko statystyczna anomalia. Za to w nadchodzącym miesiącu będzie grał dla publiczności Szanghaju, Chicago i Edynburga. Ach, te wszystkie długonogie ślicznotki, które rozłożą się przed nim po koncercie!

Dillon ma siedemnaście lat. Jest więcej niż średniego wzrostu, a jego jedwabiste blond włosy sięgają aż do ramion; tak jak u wszystkich z orszaku starego Orfeusza. Ma kryształowo błękitne oczy. Uwielbia patrzeć w nie w kręgu wieloogniskowych lusterek i widzieć, jak krzyżują się ich lodowate sfery. Dillon jest szczęśliwym mężem i - szczęście boże - tatą już trójki maluchów. Jego żona, Elektra, maluje psychodeliczne gobeliny. Czasami, niezbyt często, towarzyszy mu w trasie z zespołem. Ale nie tym razem. Tak w ogóle to spotkał tylko jedną kobietę, która potrafi rozpalić go prawie tak mocno, jak żona. Królewna z Szanghaju, żona pewnego gogusia, który pcha się do Louisville, Mamelon Kluver. Inne dziewczyny w miastowcu to tylko kolejne szparki, ale Mamelon naprawdę kontaktuje. Nigdy nie mówił o niej Elektrze. Zazdrość sterylizuje.

Dillon gra na wibrastarze w kosmopakeli, co czyni go całkiem ważną szyszką.

- Jestem wyjątkowy, jak płynna rzeźba - chwali się czasem.

Prawdę powiedziawszy, w miastowcu jest jeszcze jeden

wibrastarowiec, ale bycie jednym z dwu i tak daje niezły status. W całej Monadzie 116 są tylko dwa kosmiczne zespoły, wieża nie może pozwolić sobie na nadmiar estradowych artystów. Dillon nie ma zbyt wysokiego mniemania o konkurencyjnej kapeli, mimo iż jego zdanie opiera się raczej na uprzedzeniu niż własnych doświadczeniach - słyszał ich wszystkiego trzy razy. Chodzą plotki o planie połączenia obu grup na wspólnym, superczadowym megakonercie, pewnie w Louisville, ale Dillon nie bierze ich na serio. Jak dotąd oba zespoły jeżdżą sobie w oddzielnie zaplanowane trasy, do góry i na dół miastowca, w zależności od tego, jak układają się nastroje. Zazwyczaj dają w mieście pięć występów pod rząd. Tym sposobem wszyscy w takim Bombaju, gdzie czekają na kosmiczne grupy, mogą przyjść na ich koncert w jednym tygodniu, aby potem mieć o czym gadać między sobą. Po takiej serii kapela przenosi się dalej. Nie licząc wieczorów, kiedy nie koncertują, teoretycznie w pół roku robią objazd całego miastowca. Czasem występy się przeciągają. Czy dolne piętra potrzebują dużo chleba i dużo igrzysk? Zdarza się, że kapela czaduje w Warszawie czternaście wieczorów z rzędu. Czy górne piętra lubią się psychicznie odblokować w dobrym stylu? Cóż, i w Chicago zdarza się czasem dwunastodniowa rundka. Sarn zespół też od czasu do czasu wypala się i musi na jakieś dwa tygodnie odpuścić, żeby się podładować. Biorąc to wszystko pod uwagę, jeśli każde miasto chce być na kosmicznym show przynajmniej raz w roku, w trasie muszą być dwie kapele. Teraz, myśli Dillon, została im jeszcze zaplanowana na trzeci tydzień impreza w Bostonie. Jak oni dadzą radę

**przerobić te wszystkie dziko chętne laski?!**

**Dillon budzi się w południe. Elektra lojalnie leży przy nim.**

**Dzieciaki, z wyjątkiem gaworzącego w kojcu niemowlaka, już dawno są w szkole. Artyści i estradowcy trzymają się własnego porządku dnia. Żona całuje go w usta. Kaskada płomiennych włosów opada mu na twarz.**

**Czuje, jak jej ręka wędruje w dół i ściska go w kroczu. Opuszki palców dziewczyny pieszczą go swawolnie.**

**- Kocha - wyśpiewuje Elektra - nie kocha? Kocha? Nie kocha?**

**- Ty średniowieczna wiedźmo.**

**- Jesteś taki ładny, jak śpisz, Dillonie. Te długie włosy. Gładka skóra. Prawie jak dziewczyna. Budzisz we mnie Safonę.**

**- Serio? - Dillon śmieje się i chowa genitalia między szczupłymi udami. Zaciska nogi.**

**- To załatw mnie! - uwypukla dłonie na piersi tak, by imitowały kobiecy biust. - No już, masz okazję. Ładuj się na pokład i popracuj językiem.**

**- Głupek. Przestań!**

**- Uważam, że byłaby ze mnie bardzo ładna dziewczyna.**

**- Biodra masz do niczego - mówi Elektra i rozkłada jego ściśnięte nogi.**

**Wyskakuje penis, już na wpół stwardniały. Elektra delikatnie poklepuje go dwoma palcami, aż staje się całkiem sztywny. Ale nie będą się teraz kochać. Dillon rzadko pozwala sobie na to o tej porze dnia, przed czekającym go występem. Poza tym i tak nastrój jest niewłaściwy - za**

**bardzo żartobliwy i lekki. Elektra zeskakuje z platformy sypialnej i kopnięciem w pedał wypuszcza z niej powietrze, mimo iż mąż jeszcze tam leży. Nagły syk. Dillon jest w aseksualnym, psotnym nastroju. Patrzy, jak żona krokiem walca rusza w kierunku splukiwacza. Jaką ma ładną dupcię, myśli. Taką białą i krągłą. Cudowna, głęboka szczelina. Powabne dołeczki. Zakrada się za nią i schyla, podszczypując bliższy pośladek, ostrożnie, żeby nie został ślad. Wchodzą razem pod splukiwacz.**

**Niemowlę zaczyna kwilić. Dillon spogląda przez ramię.**

**- Szczęść boże, szczęść boże, szczęść boże! - podśpiewuje, zaczynając basem, a kończąc falsetem.**

**Jakie fajne jest życie, myśli. Jak szczęśliwie można żyć. Wciągając na siebie ubranie, Elektra pyta:**

**- Chcesz dymka?**

**Piersi osłoniła prześwitującą przepaską. Różane sutki wyglądają jak małe, ślepe oczka. Dillon jest zadowolony, że przestała już karmić; zgoda, cała**

**ta**

**biologia**

**jest**

**strasznie**

**wzruszająca,**

**ale**

**plamki**

**niebieskawo-białego mleka na wszystkim wkurzały go. Niewątpliwie**

nastawienie godne wykorzenia. Jak może tak wybrzydzać? Elektra bardzo lubiła karmić. Nadal daje dziecku od czasu do czasu trochę possać, tłumacząc, że to dla jego przyjemności, ale przecież wyschnięty cycek nie jest dla dziecka specjalną atrakcją, dlatego Dillon domyśla się, że chodzi tu o coś innego. Rozgląda się za ubraniami.

- Będziesz dziś malować? - pyta żonę.
- Wieczorem, jak będziesz na koncercie.
- Nie przepracowujesz się ostatnio.
- Nie czuję, jak załapują korzenie.

To jej specjalne powiedzenie. Aby uprawiać swoją sztukę, Elektra musi czuć się złączona korzeniami z Ziemią. Nici wyrastające z samego jądra planety przenikają jej ciało, wpełzają w srom, wślizgują się przez otworki w sutkach, by w końcu szarpnąć nią. Wtedy świat się porusza, a z jej płonącego, rozdętego ciała wyrrywają się obrazy. Tak przynajmniej twierdzi, a Dillon nigdy nie kwestionuje słów bratniej artystycznej duszy, zwłaszcza gdy chodzi o jego własną żonę. Podziwia jej twórczość.

Małżeństwo z muzyczką z kosmopakeli byłoby wariactwem, chociaż kiedy miał jedenaście lat, chodziło mu to po głowie. Dzielić życie z kometoharfistką. Gdyby to wtedy zrobił, byłby już wdowcem. Precz do zsuwni, precz do zsuwni! Ale z niej była zepsuta nonszalantka. I na dodatek pociągnęła za sobą takiego świetnego inkantatora, Peregruna Connelly. To mogłem być ja. Mogłem być ja. Nie żęńcie się z kimś z własnej branży, chłopcy; unikniecie niebłogosławiennej zawiści.

- *No fumar?* - pyta Elektra. Ostatnimi czasy studiuje języki obce. -

*Por que?*

- Wieczorem mam koncert. Nie mogę tak wcześnie, to wysysa galaktyczne soki.

- A ja mogę?

- Nie ma sprawy.

Elektra bierze dymek, zręcznie podważając wieczko sztyletowatym paznokciem wskazującego palca. Jej twarz szybko się rumieni, a źrenice rozszerzają. To jedna z jej cudownych zalet: tak łatwo się podnieca.

Wypuszcza mgiełkę oparu na dziecko, które rechocze, podczas gdy pole ochronne kojca buczy, rozpaczliwie próbując oczyścić atmosferę wokół bobasa.

- *Grazie mille, mama!* - mówi Elektra, jakby naśladowała

brzuchomówcę. - *E molto bello! E deliciouso! Was fur schones We-tter!*

*Quella gioia!*

Tańczy po całym pokoju, wyśpiewując urywane zdania w obcych językach, po czym ze śmiechem przewraca się na platformę sypialną.

Sukienka z falbankami unosi się; Dillon patrzy na lśniące kasztanowo

włosy łonowe i kusi go, żeby wskoczyć na nią mimo wcześniejszych

postanowień. W końcu jednak odzyskuje zimną krew i poprzestaje na

posłaniu jej całusa. Jakby świadoma biegu jego myśli, Elektra skromnie

zwiera uda i okrywa się. Dillon włącza ekran, wybierając kanał z

abstrakcjami; ściana eksploduje lawiną deseni.

- Kocham cię - mówi Dillon do żony. - Dostanę coś do jedzenia?

Elektra przynosi mu śniadanie. Potem wychodzi, komunikując, że

na to popołudnie ma umówioną wizytę u błogosławnego. W gruncie rzeczy Dillon cieszy się, że zostaje sam: w tej chwili jej witalność tylko by mu przeszkadzała. Musi wprowadzić się w nastrój odpowiedni do koncertu, a to wymaga paru wyrzeczeń. Po wyjściu żony programuje terminal na drgania pogłosowe. Kiedy parada rezonujących tonów maszeruje mu już pod czaszką, z łatwością wpada w odpowiedni stan ducha. Niemowlę jest cały czas pod niezawodną opieką ochronnego kojca. Dillon bez obawy zostawia je samo, kiedy o czwartej po południu wyjeżdża do Rzymu, aby przygotować się do wieczornego występu. Szybociąg przenosi go o sto sześćdziesiąt pięter bliżej nieba. Dillon wysiada w Rzymie. Zatłoczone korytarze, spięte fizjonomie. Tutejsi ludzie to przeważnie drobni biurokraci, eszelon miernych urzędasów, którym się nie powiodło; takich, co nigdy nie byli w Louisville, chyba tylko, żeby dostarczyć raport. Są za tępi nawet na Chicago, Szanghaj albo Edynburg. Będą tkwić w swoim szarym, porządnym mieście, zastygli w świętym marazmie, odwalając mechaniczną robotę, którą każdy komputer zrobiłby czterdzieści razy lepiej. Dillon kosmicznie żałuje każdego, kto nie jest artystą, ale Rzymian żal mu chyba najbardziej. Dlatego, że są niczym. Nie umieją zrobić użytku ani z rozumu, ani z ciała. Okaleczone dusze, chodzące zera - już lepiej skończyć w zsuwni. Podczas gdy snuje te rozważania, stojąc na zewnątrz barierki szybociągu, jakiś Rzymianin wpada prosto na niego. Ma około czterdziestki i ani śladu myśli w oczach. Żywy truposz. Załatany truposz.

- Przepraszam - belkocze i leci dalej. Dillon krzyczy za nim:



**- Prawda! Miłość! Wyluzuj się! Więcej pieprzenia!**

**Śmieje się. Ale co to może pomóc? Rzymianin nie odpowiada mu śmiechem. Inni podobni mu pędzą korytarzem; ostatnie echa okrzyków Dillona doganiają ich ołowiane zwłoki: "Prawda! Miłość!". Niewyraźne dźwięki bledną, szarzeją i gasną. Cisza. Wieczorem was rozruszam, obiecuję sobie w myślach Dillon. Uwolnię od tych ciasnych umysłów i będziecie mnie za to kochać. Gdyby tylko udało mu się rozpaścić ich mózgi! Osmalić płomieniem serca!**

**Przychodzi mu na myśl Orfeusz. Gdybym rzeczywiście poruszył ich do głębi, uświadamia sobie, rozerwaliby mnie na strzępy. Nie śpiesząc się, idzie w stronę ośrodka fonicznego.**

**Nagle przystaje na zakręcie korytarza, w pół drogi od obrzeży budowli do sali koncertowej; poraża go ekstatyczna świadomość ogromu miastowca. Szalone objawienie: widzi monadę jako olbrzymi szpikulec postawiony między niebem a ziemią. On sam właśnie w tej chwili stoi w jego środkowym punkcie, z niewiele ponad pięćsetką poziomów nad głową i kilkoma mniej pod nogami. Wszędzie żyją ludzie: jedzą, kopulują, rodzą i robią mnóstwo błogosławiennych rzeczy - a każdy spośród ośmiuset i iluś tam tysięcy podróżuje po swojej własnej orbicie. Dillon kocha monadę. W tym momencie czuje, że mógłby odlecieć pod wrażeniem całej tej okazałości, dokładnie tak, jak inni wznoszą się pod wpływem odlotyny. Być na równiku i spijać boski nektar równowagi - o tak, tak! Wie już, jak można doświadczyć całej złożoności budowli w jednym gwałtownym natłoku impulsów. Nigdy tego nie próbował; raczej**

nie nadużywa odlotyn, a od mocniejszych odurzaczy - tych, które otwierają umysł tak szeroko, że wszystko może się tam przybliżać - trzyma się z daleka. Ale w tej chwili, w samym środku miastowca, czuje, że nadszedł odpowiedni wieczór, by wziąć multiplekser. Po występie. Łyknie pigułę, dzięki której przełamie bariery umysłu, ogarnie świadomością pełnię i głębię Monady Miejskiej 116. Tak. Zrobi to dokładnie na pięćsetnym piętrze - jeśli tylko koncert się uda. Polunatykuje w Bombaju.

Właściwie wypadałoby, aby został w tym samym mieście, w którym występują, ale Rzym nie sięga w dół poza 521 piętro, a on w imię mistycznej symetrii musi zjechać równo na pięćsetne. Mimo to i tak nie będzie stuprocentowo dokładny. Bo gdzie leży prawdziwy środek tysiącpiętrowej wieży? Raczej gdzieś między 499 a 500 poziomem, prawda? Ale pięćsetne będzie musiało wystarczyć. Wszyscy uczymy się opierać życie na przybliżeniach

Wchodzi do ośrodka fonicznego.

Nowa, przyjemna sala, wysoka na trzy piętra. Centralnym punktem jest scena w kształcie muchomora, wokół której rozchodzą się współśrodkowo rzędy miejsc dla publiczności. Cała przestrzeń lśni od światła. Pofalowane, ziejące czernią paszcze głośników, umocowane w kopułach bogato zdobionych sufitów. Ciepłe, przyjazne pomieszczenie, wybudowane tutaj z boskiej łaski panów Louisville, by wnieść trochę radości w życie ponurych i zasuszonych Rzymian. W całej monadzie nie ma lepszej sali koncertowej dla kosmicznego zespołu. Pozostali muzycy: kometoharfista, inkantator, nurek orbitalny, spijacz grawitacji, falownik

**częstotliwości i jeździec spektralny, są już na miejscu i dostrajają instrumenty. Aula drży od brzęku migotliwych tonów i wesołej eksplozji barw. Z głównego stożka falownika częstotliwości unosi się snop o czystej, nieporównywalnej do niczego strukturze, abstrakcyjnej i immanentnej. Wszyscy machają do Biliona.**

**- Spóźniłeś się, brachu - wołają. - Gdzie cię wzięło? Zaczynaliśmy już podejrzewać, że chałturzysz solo na boku.**

**- Łaziłem po korytarzach - odpowiada Dillon - i sprzedawałem miłość Rzymianom.**

**Cała kosmokapela rechocze i skręca się ze śmiechu. Dillon wdrapuje się na scenę. Instrument, na którym będzie grał, stoi samotnie, ze zwisającymi kratownicami, blisko krawędzi; jego piękna, kolorowa powierzchnia jest jeszcze ciemna. Obok czeka automat dźwigowy, aby pomóc ustawić go na właściwym miejscu. To automat przyniósł wibrastar do sali koncertowej i na pewno nastroiłby go, gdyby tylko Dillon o to poprosił, ale artysta oczywiście nie zrobi tego. Strojenie własnego instrumentu to dla muzyka pełne tajemniczości misterium. Nawet jeżeli to, co Dillonowi zajmie co najmniej dwie godziny, automat zrobiłby w dziesięć minut. Konserwatorzy i inne miernoty z klasy roboli mają w swojej pracy podobne sekretne rytuały. Nic dziwnego: jeśli chcesz wierzyć, że masz w życiu jakiś cel, musisz stale toczyć boje z własną przestarzałością.**

**- Tutaj - pokazuje Dillon automatowi.**

**Maszyna delikatnie przystawia wibrastar do węzła wyjściowego i podłącza go. Dillon nie dałby chyba nawet rady podnieść swojego**

wielkiego instrumentu. Nie ma nic przeciwko temu, by pozwolić maszynom robić rzeczy, do których ludzie nie zostali stworzeni - na przykład dźwigać trzytonowe ciężary. Kładzie ręce na manipulatorni, czując, jak prąd pobrzękuje na klawiaturze. W porządku.

- Odejdź - poleca automatowi, który oddala się cicho. Dillon gniecie i ścisną projektry manipulatorni, jakby je doił. Kontakt z instrumentem daje mu zmysłową przyjemność.

Każde crescendo to mały orgazm. Tak. Dobrze. Taak.

- Zaczynam strojenie - ostrzega resztę muzyków. Regulują sprzężenie zwrotne w swoich instrumentach; nie zapowiedziane, nagle wejście wibrastaru mogłoby wyrządzić szkodę zarówno instrumentom, jak i artystom. Kiwiają kolejno głowami na znak gotowości. Gdy spijacz grawitacji harmonijnie wdźwiewa się jako ostatni,

Dillon może nareszcie zwolnić sprzęgło. Taak! Aula wypełnia się blaskiem. Ze ścian spływają gwiazdy. Z sufitu skapują całe mgławice.

Wibrastar jest podstawowym instrumentem w zespole, arcyważnym kontinuum, dającym podkład dla pozostałych muzyków. Wyćwiczone oko

Dillona sprawdza ogniskową. Ostrość w porządku. Nat, jeździec spektralny, mówi:

- Mars ma trochę za mało koloru, Diii.

Dillon szuka Marsa. Tak. Tak. Nasycę go dodatkiem poma-  
rańczowego. A co z Jowiszem? Planeta świeci białym ogniem. Wenus.  
Saturn. I wszystkie gwiazdy. Jest zadowolony z efektów wizualnych.

- Dajemy dźwięk - oznajmia.

**Uderza w konsolę poduszczkami obu dłoni. Z wyszczerzonych głośników wydobywa się ostry, ale zarazem czuły, białawy szum. Muzyka sfer. Dillon maluje ją teraz, podwyższając skalę po galaktycznej stronie i pozwalając deszczowi gwiazd obdarzyć dźwięki głębią molowych barw.**

**Następnie szybkim pchnięciem projektronów w dół wprowadza brzmienie planet. Saturn wiruje, dźwięcząc jak pas z nożami. Jowisz grzmi.**

**- Wszystko dociera? - wywrzaskuje Dillon. - Jaka przejrzystość?**

**Nurek orbitalny Sophro prosi:**

**- Zrób grubsze asteroidy, Diii.**

**Dillon powiększa asteroidy. Sophro, uszczęśliwiony, kiwa głową.**

**Podbródek trzęsie mu się z radości.**

**Po trzydziestu minutach ciężkiej pracy Dillon ma za sobą pierwsze strojenie. Jak dotąd, przygotował się tylko do gry solo. Teraz trzeba jeszcze zestroić się z innymi. Żmudne, delikatne zadanie: z każdym z nich osiągnąć rodzaj obopólnego zgrania, uprząć pajęczynę wzajemnej więzi, zbudować siedmioczęściową jedność. Wszystko przy nieustannym zagrożeniu efektami Hei-senberga, które powodują, że trzeba powtarzać cały układ czynności regulujących na nowo, za każdym razem, gdy włączają do składu kolejny instrument. Zmień jeden czynnik, a zmienisz wszystko. Nie można tak po prostu grać na własną rękę, kiedy wstraja się coraz więcej i więcej danych wyjściowych. Dillon zaczyna od spektralnego jeźdźca. Proste. Podrzuca mu deszcz komet, a Nat harmonijnie moduluje je w słońca. Potem włączają inkantatora. Na początku rozlega się**

przeróżliwy pisk, ale prędko się dostrajają. Wszystko idzie, jak należy.

Kolej na spijacza grawitacji. Żadnych kłopotów. Teraz kometoharfista.

Zgrzyt i trzask. Receptory robią się niewyraźne i wszystko się rozlatuje.

Dillon i inkantator muszą oddzielnie nastroić się raz jeszcze, sprząc się ze

sobą, a potem razem wprowadzić do sieci kometoharfistę. Tym razem

wszystko gra. Potężne, pierzaste krzywizny tonów przelatują przez salę.

Czas na orbitalnego nurka. Piętnaście minut harówki: nie mogą ustawić

równowagi. Dillon spodziewa się, że lada moment diabli wezmą cały

układ, ale nie - utrzymują sprzężenie i w końcu udaje im się wyrównać

poziomy. Następny jest falownik częstotliwości, naprawdę ciężki kawałek

chleba; artystom stale grozi brak harmonii z własnymi instrumentami, bo

obaj opierają się zarówno na dźwięku, jak i na efektach wzrokowych, a

poza tym generują, a nie tylko modułują grę innych. Prawie się udaje, ale

znów tracą kometoharfę. Instrument wydaje słaby, jękliwy dźwięk z

końca skali i odłącza się. Muszą cofnąć się

o dwa kroki i próbować od nowa. Chwilowa, niepewna równowaga

raz po raz zanika. Jeszcze pięć lat temu kosmiczne zespoły miały tylko

pięć instrumentów; zgranie i zespolenie większej ilości było po prostu

zbyt trudne. Jak pojawienie się czwartego aktora w dramacie greckim:

technicznie nierealne - tak przynajmniej musiał patrzeć na to Ajschylos.

Teraz umieją już całkiem przyzwoicie koordynować grę sześciu

instrumentów, a jeśli się bardzo starają - nawet siedmiu, przesyłając

nadwyżkę napięcia do komputerowego łącza w Edynburgu. Jednak wciąż

pocą się przy synchronizacji. Dillon macha wściekle lewą ręką, zachęcając

**falownika częstotliwości, by się przyłączył.**

**- Teraz, prędzej, wchodzisz, tak!**

**Tym razem im się udaje. Jest za dwadzieścia siódma. Wszystko gra.**

**- Rozegramy się - wyśpiewuje Nat. - Maestro, daj A, to się podstroimy.**

**Dillon garbi się i mocno ujmuje projektrony. Zwiększa napięcie i włącza funkcję sensoryczną; niespodziewanie galki pod jego dłońmi przypominają mu w dotyku dołeczki w pośladkach Elektry. Dillon uśmiecha się na to doznanie. Twarde, sprężyste i chłodne. No to jazda! W jednym huczącym grzmocie światła i dźwięku daje im cały wszechświat. Aula faluje obrazami. Gwiazdy skaczą, zderzają się i łączą. Inkantator podkręca nagłośnienie i robi swój numer, potęgując, zwielokrotniając i spiętrzając brzmienie, aż cały miastowiec drży w posadach. Kometoharfa wygrywa jazgotliwe, brzęczące pętle przyprawiających o zawrót głowy kontrapunktów, powoli przeobrażając konstelacje Dillona. Orbitalny nurek, trzymający się dotąd z tyłu, raptownie i niespodziewanie zanurza się w spektakl, kreśląc woltę na konsolach pozostałych muzyków w wejściu oscylującym na granicy spustoszenia, aż Dillon bije mu w duchu brawo. Spijacz grawitacji gładko wyciąga ton. Teraz wchodzi falownik częstotliwości, wystrzelivując w górę swój własny snop światła, który dźwięczy i dymi nie dłużej niż pół minuty, póki jeździec spektralny nie schwyta go i nie zacznie swojej gonitwy. Teraz już cała siódemka improwizuje szaleńczo; każdy próbuje przyćmić resztę, strzelając przed siebie taką mnogością sygnałów, że na pewno widać je od Boshwash po**

**Sansan.**

**- Tak trzymać! Niech tak zostanie! - wrzeszczy Nat. - Nie spieprzmy tego! Człowieku, *nie spieprzmy tego!***

**Wychodzą z fazy i opadają w dół. Siadają beczynnie, spoceni, z rozdygotanymi nerwami. Wycofanie się prawie rani - boleśnie odrywać się od takiego piękna. Ale Nat ma rację: nie mogą wypalić się, jeszcze zanim przyjdzie publiczność.**

**Przerwa na kolację, wprost na scenie. Nie jedzą zbyt dużo.**

**Oczywiście zostawiają instrumenty włączone i nastrojone. Byłoby kretynstwem psuć synchronizację po tym, jak tyle się napracowali, by ją osiągnąć. Od czasu do czasu któryś ze spoczywających instrumentów rozbłyska samorzutnie, przekraczając próg napięcia, i strzela plamą światła lub dźwięczy piskliwie. Zagrałyby same, gdyby tylko im pozwolić - myśli Dillon. Mógłby być dziki odlot, gdyby tak włączyć wszystko i przysiąść z boku, patrząc, jak same się programują i dają koncert. Na pewno zobaczyłoby się całkiem nowe rzeczy. Umysł maszyny. Z drugiej strony, byłoby cholernie dołujące przekonać się o własnej zbyteczności. Jaki kruchy jest nasz prestiż. Dziś fetowani artyści, ale niech tylko sekret się wyda, a jutro przyjdzie nam pchać puszek ze śmieciami w Reykjaviku. Na kwadrans przed siódmą zaczyna schodzić się publiczność.**

**Raczej starszawy tłumek. Ponieważ to pierwszy koncert w Rzymie, bilety rozdawano według starszeństwa wieku wyłącznie pośród mieszkańców powyżej dwudziestu lat. Stojący na środku estrady Dillon nawet nie stara się ukryć lekceważenia dla tej szarej, jednolitej masy ludzkiej, sadowiącej**



się na swoich miejscach wokół niego. Czy muzyka do nich dotrze? Czy cokolwiek w ogóle może do nich dotrzeć? Czy raczej będą siedzieć biernie, nawet w połowie nie uczestnicząc w przedstawieniu? Marząc o tym, żeby mieć więcej dzieci? Ignorując trzaskających się dla nich artystów? Po prostu zajmą dobre miejsca, nie wynosząc niczego z erupcji ogni nad ich głowami. Rzucamy wam wszechświat, a wy nawet nie łapiecie. To dlatego, że jesteście starzy? Ile taka pulchna, licząca trzydzieści wiosen wielokrotna matka jest w stanie odebrać z kosmicznego widowiska? Nie, to nie wiek. W bardziej wyrobionych kulturalnie miastach nie ma wśród publiczności problemu z odbiorem, wszystko jedno - starej czy młodej. Nie, to na pewno kwestia elementarnego podejścia do świata sztuki. Na dolnych piętrach smoluchy odpowiadają oczami, wnętrznościami - jajami. Są albo oczarowani kolorowymi światłami i szaloną muzyką, albo zbici z tropu i niechętni, lecz nigdy nie pozostają obojętni. Na górnych poziomach, gdzie robienie użytku z rozumu jest nie tylko dozwolone, ale i wskazane, widzowie rwą się do uczestnictwa, wiedząc, że im więcej sami wniosą, tym więcej dostaną w zamian. Czy nie o to właśnie chodzi w życiu - wydrzeć wszelkie zmysłowe doznania zewnętrznym bodźcom, które tłoczą się wokół? Co więcej można zrobić? Ale tutaj, na środkowych piętrach, wszystkie reakcje są przytępione. Chodzące zwłoki, dla których najważniejszą rzeczą jest być obecnym na sali, zabrać bilet komuś innemu, pokazać się. Samo przedstawienie się nie liczy. To tylko hałas i światło, jakieś zwariowane gnojki z San Francisco podgrywają dla wprawy. Już siedzą, wszyscy ci Rzymianie, niczego nie jarząc, od mózgu

po jaja. Niezły żart: Rzymianie. Tak się składa, że prawdziwy Rzym był całkiem inny. To zbrodnia przeciwko historii, że akurat tak nazwali swoje miasto. Dillon gapi się na publikę. Celowo zbytnio wyostrza wzrok, aby uzyskać rozmazany obraz; nie chce patrzeć na te sflaczałe i poszarzałe twarze, w obawie by ich widok nie wpłynął źle na jego grę. Jest tutaj, aby dawać. Skoro oni nie potrafią brać - trudno. - Jedziemy do góry - mruczy Nat. - Gotów, Diii?

Pytanie! Unosi dłonie w geście wirtuoza i wali w projektrony. Stary czadowiec! Z wibrastaru wylatują z rykiem słońce i księżyc, gwiazdy i planety. W auli eksploduje cały mieniący się wszechświat. Dillon nie śmie nawet zerknąć na publiczność. Udało mu się ich rozkołysać? Dyszą ciężko i ślinią się, przygryzając wargi? Dalej! Jazda! Reszta muzyków, jakby wyczuwając, że przeżywa coś ekstra, pozwala mu na wprowadzającą solówkę. Furie przelatują pod czaszką. Trąca manipulatornię. Pluton! Saturn! Betelgeza! Deneb! Tu siedzą ludzie, którym całe życie upływa w zamknięciu wewnątrz jednej budowli; ofiaruj im gwiazdy w jednym przenikającym mózg pędzie. Kto powiedział, że nie wolno zacząć od punktu kulminacyjnego? Musi pożerać teraz mnóstwo energii; pewnie przygasły światła aż w Chicago. Co z tego? Czy Beethoven przejmował się poborem mocy? Masz tworzyć. Tworzyć. Sypnij gwiazdami. Niech skaczą i migoczą. Zaćmienie słońca - czemu nie? Niech jego korona trzaska i żarzy się. Roztańczymy księżyc. Trzeba podwyższyć ton: wspaniale, majestatyczne stąpienie na pedal, które chwyta ich w sieć, wbijając w tylki ostrze pięćdziesięciocyklowych wibracji. Pomoże im strawić kolację.

Wytrząśnie zaśniedziałe gówna, zatykające ich kiszki. Dillon śmieje się. Szkoda, że nie może zobaczyć swojej twarzy: musi mieć demoniczny wyraz. Jak długo ma ciągnąć to solo? Dlaczego do niego nie dołączają? Zaraz się wypali. Nie dba o to, dla czegoś takiego warto zatracić się w instrumencie. I tylko ta nieśmiała, paranoiczna myśl, że celowo pozwalają mu wyczerpać się ponad miarę, chcąc, by zrobił sobie krzywdę. Przez resztę swoich dni siedziałby jak ślimak, mamrocząc jakieś bla-bla-bla. Nie ja! Dillon zwalnia wszystkie blokady. Fantastycznie! Nigdy przedtem nie robił czegoś takiego. To wściekłość na tych tępach Rzymian daje mu tyle natchnienia. Wszystko i tak zmarnuje się w ich ośpieniu. Pieprzyć: Uczy się tylko to, co dzieje się z nim w środku, jego artystyczne spełnienie. Jeśli da radę poruszyć ich umysły, już będzie dobrze. Sam przeżywa ekstazę. Cały wszechświat drga wokół niego. Mocarna solówka. Tak musiał czuć się bóg, kiedy wziął się do pracy pierwszego dnia. Z głośników spadają igielki tonów. Imponujące crescendo światłości i dźwięku. Dillon czuje płynącą przez niego wodospadem energię. Jest tak szczęśliwy ze swojego występu, że ma wzwód. Stając na palcach, odchyła się w fotelu, aby twarda wypukłość była bardziej widoczna przez ubranie. Czy ktoś kiedykolwiek zrobił coś podobnego? Odegrał solo na wibrastarze całą improwizowaną symfonię? Witaj, Bach! Cześć, Mick! Cześć, Wagner! Wystrzelcie głowy! Niech lecą! Dillon minął już punkt szczytowy i schodzi w dół. Zajmuje się subtelniejszą grą, nie polega już na czystej energii; obryzguje Jowisza złocistymi plamami, zmienia gwiazdy w kropy lodowej bieli, podkładając

ciągnące się ostinata. Zmusza Saturna do trylu, dając sygnał reszcie zespołu. Kto kiedykolwiek słyszał, by zaczynać koncert od kadencji? Na szczęście pozostali muzycy odnajdują się w tym.

O, teraz. Właśnie wchodzi. Falownik częstotliwości delikatnie snuje własny temat, mający coś z żarliwości gwiazdnych deseni Dillona.

Kometoharfista natychmiast przyglusza go działającą mocniej na zmysły serią brzękliwych tonów, które od razu przechodzą w wijące się rozbłyśki zielonego światła. Jeździec spektralny chwytą je i, wspiąwszy się na ich grzbiet, z szerokim uśmiechem sunie w dół jak narciarz w płamę ultrafioletu, omiatany kaskadą ulotnych, syczących dźwięków. Teraz dobry stary Sophro nurkuje po swoich orbitach, raz po raz spadając i wyrzając się, jakby chytrze droczył się z jeźdźcem spektralnym w sposób, jaki mogą docenić tylko inni muzycy ich zgranej kapeli. Wchodzi inkantator, cudownie złowrogi i grzmiący, rzucając na ściany rozedrgane odbicia, dodając powagi astralnym obrazom i dźwiękom, aż piękno konwergencji staje się prawie nie do zniesienia. To znak dla spijacza grawitacji, który niweczy ich stabilność wspaniałymi, nieokiełznanymi i wyzwalającymi buchnięciami mocy. Do tej pory Dillon zdążył już wycofać się na swoją pozycję koordynatora, jednoczącego grę zespołu, podrzucając jednemu bądź drugiemu to zarys melodii, to wiązkę światła, i upiększając wszystko, co tylko znajdzie się w pobliżu. Cichnie, przechodząc w półtony. Jego obłądne podniecenie opada; gra robi się czysto mechaniczna - jest teraz na równi twórcą i słuchaczem, oceniającym spokojnie wariacje swoich partnerów. Już nie musi skupiać

na sobie uwagi. Wystarczyłoby mu, gdyby przez resztę wieczoru walił swoje *uump uump*, ale on nie poprzestanie na tym. Wie, że jeśli co dziesięć, piętnaście minut nie wprowadzi świeżych danych, runie cała konstrukcja utworu. Mimo wszystko, ma teraz czas odsapnąć.

Reszta muzyków kolejno odgrywa swoje solówki. Dillon nie widzi już publiczności. Kołysze się i obraca, poci i lka, pieszcząc zapamiętałe projektrony. Owija się kokonem rażącego wzrok blasku, zongluje przekładańcami światła i ciemności. Jego penis zrobił się z powrotem miękki. Dillon zachowuje spokój w oku cyklonu: stuprocentowy zawodowiec, robiący bez nerwów to, co do niego należy. Tamta chwila ekstazy wydaje się już należeć do innego dnia, może nawet przytrafiła się innemu facetowi. Tak w ogóle - ciekawe, ile mogła trwać jego solówka? Stracił poczucie czasu. Nieważne, przedstawienie idzie dobrze i Dillon zostawia pilnowanie godziny metodycznemu Natowi.

Po gorącym otwarciu koncert osuwa się w rutynę. Główną rolę przejął

teraz

falownik

częstotliwości,

wysnuwający

pasma

rozbłyskujących wzorów. Miłe dla oka, lecz ograne motywy, wielokrotnie przećwiczone i pozbawione spontaniczności. Jego nie-dbałość udziela się innym i cała grupa improwizuje cienko przez jakieś dwadzieścia minut,

klecąc sekwencje, od których drętwieją zwoje i zamiera dusza, aż w końcu

Nat widowiskowo przelatuje z rykiem przez całe spektrum, startując

gdzieś na południu w podczerwieni i przechodząc w coś, co jeśli w ogóle

można jakoś określić, jest bliskie promieniom rentgenowskim. Jego dziki

wzlot ożywia na nowo ich fantazję, zwiastując jednocześnie koniec

spektaklu. Pozostali muzycy czadu ją ze swobodą, złapawszy jego rytm.

Wirują i odpływają od siebie, by złączyć się na nowo w siedmiogłowego

stwora,

bombardując

nieruchawą,

nie

kontaktującą

publikę

niebotycznymi stosami danych. Tak tak tak tak tak. Super super ekstra

ekstra. Migu błysku migu migu. Och och ach ach. Dalej jazda jazda jazda.

Dillon znowu tkwi w samym sercu, rozrzucając jasne iskry purpury,

rozciągając i przeżuwał słońca; czuje się nawet na większej fali niż

podczas swego wspaniałego solo - teraz są wspólnotą, zespoloną,

stopioną w jedno; wie, że to uczucie, które tłumaczy wszystko: cel w życiu,

sens tego, co robią. Nastroić się na piękno, skoczyć prosto w gorejące

źródło tworzenia, otworzyć duszę na przyjęcie tego wszystkiego, by potem

znów wszystko wypuścić i rozdawać rozdawać rozdawać rozdawać

rozdawać

dawać

dawać

**i już. Koniec - wyciągnij wtyczkę. Pozwalają mu odegrać ostatni akord. Dillon odjeżdża pustoszącą czaszki sekwencją, z pięciokrotnym zespoleniem planet i troistą fugą; cały ten popisowy paroksyzm nie trwa dłużej niż dziesięć sekund. Teraz ręce w dół, pchnięcie przełącznika i wszędzie wyrasta ściana ciszy, wysoka na dziewięćdziesiąt kilometrów. Tym razem naprawdę to zrobił. Wymiótł im czaszki do czysta. Siedzi, trzęsąc się i przygryzając wargę, otumaniony zwykłym oświetleniem; chce mu się płakać. Boi się spojrzeć na resztę muzyków. Ile czasu upływa? Pięć minut, pięć miesięcy? Wieków? Mileniów? Wreszcie przychodzi odzew. Grzmot oklasków. Cały Rzym na stojąco wrzeszczy i bije się po policzkach, dając wyraz najwyższego uwielbienia; cztery tysiące ludzi podrywa się z wygodnych siedzeń i wali dłońmi po twarzach. Dillon wybuchą śmiechem. Odrzucając w tył głowę, sam też podnosi się i kłania, z ramionami wyciągniętymi do Nata, Sophro - do całej szóstki. Jakimś cudem dziś wieczór poszło lepiej. Nawet Rzymianie to zauważyli. Czym sobie na to zasłużyli? Przez to, że są takimi tłumokami - tłumaczy sobie Dillon - wydobyli z nas to, co najlepsze. Wszystko, byle tylko ich rozgrzać. I udało się. Przetrzęsaliśmy te żalosne, rozmokłe czachy. Brawa nie ustają. Dobrze już, dobrze. Jesteśmy wielkimi artystami, ale teraz trzeba się stąd zmyć, zanim wszystko ze mnie opadnie. Nigdy po koncercie nie spotyka się towarzysko z resztą kapeli. Każdy z nich odkrył, że im rzadziej widzą się w czasie wolnym, tym**

**mocniejszą odczuwają więź, współpracując na estradzie. Nie łączą ich żadne wzajemne przyjaźnie czy nawet wspólny seks. Wszyscy czują, że jakiegokolwiek wspólne numery, hetero, homo czy trójkąty, wyjąwszy rzecz jasna przewalanki z kimś z zewnątrz, byłyby śmiercią dla zespołu. Ich łączy muzyka. Tak więc Dillon ułatwia się sam. Widzowie zaczynają przesuwać się w kierunku wyjść. Nie żegnając się z nikim, Dillon wychodzi zapadowymi drzwiami dla artystów i ucieka jeden poziom niżej. Ubranie, mokre i sztywne od potu, lepi się nieprzyjemnie. Trzeba szybko coś z tym zrobić. Kręcąc się po 529 piętrze w poszukiwaniu szybociągu, otwiera drzwi pierwszej z brzegu mieszkalni i widzi parę szesnasto-, siedemnastolatków, siedzącą po turecku na wprost ekranu. Chłopak jest nagi, ona ma na sobie tylko napierśniki; oboje właśnie odlatują na jakimś twardszym odurzaczu, ale nie na tyle mocno, by go nie poznać.**

**- Dillon Chrimes - piszczy dziewczyna.**

**Jej okrzyk budzi dwójkę lub trójkę maluchów.**

**- Cześć. Witajcie - mówi Dillon. - Chciałbym tylko skorzystać ze splukiwacza, zgoda? Nie przeszkadzajcie sobie. Nawet nie chce mi się rozmawiać. Rozumiecie, jestem jeszcze na fali.**

**Zrzuca przemoczone ubranie i wchodzi pod splukiwacz. Urządzenie buczy i terkocze, obmywając go z brudu. Następnie Dillon wkłada pod nie swoje rzeczy. Dziewczyna zachodzi go z tyłu. Zdjęła napierśniki; białawe odciski, pozostawione przez metal na różowym, niespokojnym ciele, gwałtownie czerwienieją. Klęka przed nim. Jej ręka zaczyna wędrówkę po udach Dillona, a usta przybliżają się do krocza.**



- Nie - przerywa Dillon. - Dzięki, ale nie.

- Nie chcesz?

- Tutaj nie mogę.

- Ale dlaczego?

- Naprawdę chciałem tylko się odświeżyć. Nie mogłem wytrzymać własnego smrodu. Dzisiaj muszę lunatykować na pięć-setnym piętrze.

Jej palce wciskają się pomiędzy jego nogi. Dillon odrywa je

łagodnie. Wskakuje w swoje ubranie. Dziewczyna przygląda mu się ze zdumieniem.

- Naprawdę nie masz ochoty? - pyta.

- Nie tutaj. Gdzie indziej.

Dziewczyna nie spuszcza go z oczu, kiedy wychodzi. Jej zszokowane spojrzenie zasmuca go. Tego wieczoru po prostu musi być w połowie miastowca, za to jutro - postanawia - jutro przyjdzie do niej i wszystko wytłumaczy. Notuje w pamięci numer mieszkalni: 52908. W zasadzie powinno się lunatykować przypadkowo, ale do diabła z tym - jest jej winien ten jeden raz. Jutro.

Odnajduje w korytarzu dystrybutor z odlotynami i prosi o tabletkę, wystukując na konsoli swój współczynnik metabolizmu. Automat robi konieczne obliczenia i wydaje pięciogodzinną dawkę, zaczynając działać po dwunastu minutach od zażycia. Dillon łyka pastylkę i wsiada do szybociągu.

Pięćsetne piętro. Tak blisko środka, jak tylko się da. Metafizyczna fantazja, ale - czemu by nie? Wciąż jeszcze ma talent do wymyślania

takich zabaw. My artyści pozostajemy szczęśliwi, bo umiemy być jak dzieci. Za jedenaście minut uroczycie odleci. Zapuszcza się w głąb korytarza, otwierając różne drzwi. W pierwszej mieszkalni znajduje damsko-męską parę w towarzystwie jeszcze jednego mężczyzny.

- Wybaczcie - woła.

W drugiej mieszkalni są trzy dziewczyny. Przez chwilę kusi go, aby zostać, ale tylko przez chwilę. Wyglądają na wystarczająco zajęte sobą.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

W trzeciej mieszkalni para w średnim wieku. Oboje rzucają mu tęskne spojrzenie, ale Dillon nie wchodzi.

Do czterech razy sztuka. Ciemnowłosa dziewczyna, sama, w dodatku z lekko kwaśną miną. Mąż na pewno lunatykuje, a do niej nikt nie zawitał; statystyczny pech. Świeża dwudziestka, zgaduje Dillon: harmonijnie zwężający się nos, błyszczące oczy, apetyczne piersi i oliwkowa cera. Trochę zbyt pulchna skóra nad powiekami będzie być może psuć wrażenie za jakieś dziesięć lat, lecz w tej chwili nadaje jej ociężały, zmysłowy wygląd. Musi tak siedzieć i myśleć już parę godzin, domyśla się Dillon, gdyż zasępienie dziewczyny znika dopiero po dobrych piętnastu sekundach jego obecności. Pomału chwyta, że i do niej zawędrował w końcu lunatyk.

- Cześć - mówi Dillon. - Mały uśmiech? Rozchmurzysz się trochę?

- Znam cię. Jesteś z kosmopakeli?

- Jasne. Dillon Chrimes, wibrastar. Graliśmy dziś w Rzymie.

- Występowałeś w Rzymie i lunatykujesz w Bombaju?

**- Mam swoje filozoficzne powody. Chciałem być w połowie miastowca, rozumiesz? Przynajmniej tak blisko środka, jak tylko się da.**

**Nie mam ochoty tłumaczyć ci teraz, dlaczego.**

**Rozgląda się po pokoju. Sześcioro dzieci. Jedno nie śpi: chuda dziewczynka**

**o oliwkowej**

**cerze**

**swojej**

**matki,**

**co**

**najmniej**

**dziewięcioletnia. To znaczy, że jej mama nie jest taka młoda, na jaką wygląda - nie mniej niż dwudziestka piątka. Ale Dillonowi to nie przeszkadza. Za moment będzie obejmować całą monadę, ludzi wszystkich wieków, płci i kształtów.**

**- Muszę ci coś powiedzieć - odzywa się. - Jestem na multiplekserze.**

**Za sześć minut będę szczytował.**

**Kobieta przykłada rękę do ust.**

**- W takim razie nie mamy zbyt dużo czasu. W chwili klimaksu powinieneś już być we mnie.**

**- Właśnie tak to działa?**

**- Nie wiesz?**

**- Pierwszy raz biorę multiplekser - przyznaje Dillon. - Jakoś nie**

**mogłem się wcześniej przekonać.**

**- To tak, jak ja. Właściwie nie wierzyłam, że ktokolwiek go zażywa.**

**Ale słyszałam, czego się można po tym spodziewać.**

**Mówiąc to, rozbiera się. Ciężkie piersi z wielkimi, ciemnymi**

**obwódkami wokół brodawek. Nogi ma dziwnie chude; kiedy stoi**

**wyprostowana, wewnętrzne części ud znajdują się daleko od siebie. Jest**

**jakaś ludowa legenda o kobietach zbudowanych w ten sposób, ale Dillon**

**nie może jej sobie przypomnieć. On też zrzuca ubranie. Czuje już**

**działanie narkotyku - na parę minut przed spodziewanym czasem; ściany**

**migoczą, a światła zrobiły się rozmazane. Dziwne. Może powinien był**

**powiedzieć o swoim wcześniejszym podnieceniu na koncercie, aby**

**automat mógł uwzględnić to przy obliczaniu dawki. A może jego**

**metabolizm przyspieszył tylko pod wpływem światła i dźwięku. Nie**

**szkodzi, nic się nie stało. Dillon podchodzi do platformy sypialnej.**

**- Jak masz na imię? - pyta.**

**- Alma Clune.**

**- Alma... Podoba mi się.**

**Dziewczyna obejmuje go. Dillon obawia się, że dla niej nie będzie to**

**żadne szczególne erotyczne przeżycie. Jak już multiplekser weźmie go na**

**dobrze, raczej nie będzie w stanie skupić się na jej potrzebach, a teraz czas**

**nie pozwala na żadną grę wstępną. Ale Alma chyba rozumie. Na pewno**

**nie chce psuć mu odlotu.**

**- Włóż go - mówi Dillonowi - nic mi nie będzie. Szybko robię się**

**wilgotna.**

**Wchodzi w nią. Ich języki stykają się. Oplatają go jej mocne uda.**

**Dillon przykrywa ją całym ciałem.**

**- Już się zaczęło? - pyta dziewczyna.**

**Dillon milczy przez chwilę. Do środka i w tył, do środka i w tył.**

**- Chyba tak - odpowiada po chwili. - Jakbym miał dwie kobiety**

**naraz. Jakbym... odbierał echo.**

**Jest ostrożny. Nie chce wszystkiego popsuć, kończąc przed**

**szczytowym momentem odlotu. Z drugiej strony, jeśli ona należy do tych,**

**które szybko osiągają orgazm, cieszyłby się, gdyby zdążyła raz czy dwa**

**przed nim. Wszystko jedno: do multiplekserowego kopa i tak zostało już**

**nie więcej niż półtorej minuty. Całe to liczenie deprymuje go. I wtedy**

**przestaje cokolwiek liczyć.**

**- Zaczęło się - szepcze. - O rany, ale odjazd!**

**- Spokojnie - mruczy Alma. - Nie musisz się spieszyć. Wolno...**

**Powoli... Idzie nam bardzo dobrze. Chcemy, by to trwało. Nie przejmuj**

**się mną, po prostu daj się porwać.**

**Do środka i w tył. Do środka i w tył. Wreszcie multipleksowy**

**orgazm. Jego duch rozprzestrzenia się. Narkotyk czyni psychikę**

**nadwrażliwą, przelamuje chemiczne systemy ochronne, jakimi mózg**

**broni się przed zdolnością bezpośredniej telepatii; Dillon odbiera teraz**

**zmysłowe doznania wszystkich ludzi dookoła. Z każdą sekundą sięga**

**dalej i dalej. Podobno w najwyższym momencie szczytowania wzrok i**

**sluch innych stają się twoimi, odbierasz nieskończoną ilość sygnałów,**

**jesteś jednocześnie wszystkimi w budowlu. Czy to prawda? Czy obce**

umysły przesączają swoją treść przez jego umysł? Wygląda na to, że tak właśnie się dzieje. Dillon przygląda się, jak jego roztrzepotana, rozogniona dusza niczym płaszczem okrywa i pochłania Almę; leży jednocześnie i na niej, i pod sobą - z każdym pchnięciem w głąb jej rozgrzanej kobiecości, czuje jakby tępy miecz wdzierający się w jego własne wnętrze. Ale to dopiero początek. Jego umysł rozpościera się już na dzieci Almy. Nie rozkwitła jeszcze dziewięciolatka. Kwilące niemowlę. Dillon jest naraz matką i sześciorgiem dzieci. Jakie to proste! Jest także rodziną zza ściany: ósemką pociech, matką i lunatykiem z 495 piętra. Obejmuje swym zasięgiem następny górny poziom. I dolny. Przelatuje korytarze. W zwielokrotnionym, sennym widzie ogarnia cały miastowiec. Fale obrazów płyną przez niego. Nad głową pięćset pięter, czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć pod stopami; widzi je wszystkie jako kolumnę poziomych prążków, wysoki słup pełen drobnych nacięć. Z całym mnóstwem mrówek. A on jest jednocześnie nimi wszystkimi. Dlaczego nie próbował tego wcześniej? Stać się całą monadą! Czuje, że sięga już co najmniej dwudziestu pięter w obie strony. I wciąż się rozprzestrzenia. Rozgałęzienia jego umysłu docierają wszędzie. To się dopiero zaczyna. Cała jego istota miesza się i łączy z treścią miastowca. Z Almą, która kołysze się pod nim. Miednica trze o miednicę. Dillon jest ledwo świadom jej obecności, kiedy Alma zaczyna cicho jęczeć z rozkoszy. Jest nią zaprzątnięty nie więcej niż jeden atom jego istoty. Reszta wędruje korytarzami miast Monady 116, zagląda do wszystkich pokoi. Fragment Dillona jest na górze w Bostonie, inna część na dole w

**Londynie, jednocześnie całym sobą przebywa w Rzymie i Bombaju. Setki pokoi. Tysiące. Rój dwunożnych pszczoł. Dillon jest pięćdziesiątką wrzeszczących dzieci, tłoczących się w trzech pokojach w Londynie. Jest dwojgiem podskakujących Bostończyków, odbywających właśnie swoją pięciotysięczną erotyczną sesję. Jest gorąco krwistym trzynastolatkiem, lunatykującym na 483 piętrze. Sześciorgiem młodych ludzi, wymieniających się partnerami w londyńskim dormitorium. Jego zmysły rozciągają się jeszcze szerzej, sięgając w dół do San Francisco, w górę do Nairobi. Im dalej się rozprzestrzenia, tym wszystko staje się łatwiejsze. Ul. Gigantyczny ul. Obejmuje Tokio. Chicago. Bierze w objęcia Pragę. Dotyka Szanghaju, Wiednia, Warszawy. Ociera się o Toledo. Paryż! Reykjavik! Louisville! *Louis-ville!* W górę i w dół! Od podstaw po sam wierzchołek! Jest wszystkimi 881 tysiącami istnień na tysiącu poziomów. Jego dusza rozpostarła się na całą długość. Czaszka chce pęknąć. Przez ekran umysłu przesuwają się ruchome obrazy, sekwencje filmów o rzeczywistości; oleiste wstęgi dymu przywiewają twarze, oczy, palce, genitalia, uśmiechy, języki, łokcie, profile, dźwięki i kształty. Zazębiają się delikatnie, łączą i rozdzielają. Dillon jest naraz wszędzie i wszystkim. Szczęść boże! Pierwszy raz pojmuje naturę organizmu tak wrażliwego, jak społeczeństwo; dostrzega system kontroli i równowagi, ciche układy kompromisu, spajające wszystko w jedną całość. Całość, która jest cudownie piękna. Zgranie tego kolosalnego miasta miast jest jak zestrzajanie się kosmopakeli: wszystko musi ze sobą współbrzmieć, każde ogniwo przynależeć do całości. Poeta z San Francisco jest częścią**

usmolonego palacza z Reykjaviku. Rozsadzany przez ambicję smarkacz z Szanghaju stanowi część pogodzonego z losem, przegranego Rzymianina. Ile z tego, zastanawia się Dillon, będzie pamiętać, gdy wróci na ziemię? Jego duch wiruje, odurzony narkotykiem z tysięcy dusz naraz. Przeżycia erotyczne. Pod jego czaszką odbywa się sto tysięcy kopulacji. Rozwarte uda, uniesione pośladki, rozszerzone wargi. Traci dziewictwo, odbiera dziewictwo; oddaje się mężczyznom, kobietom, chłopcom i dziewczętom; dominuje i ulega; tryska rozkoszą, o włos mija go orgazm; triumfalnie się wbija, ze wstydem przeżywa brak erekcji; wpycha się, przyjmuje członki, czerpie i daje przyjemność, wzbrania się przed rozkoszą i opada tuż po niej.

Szybociąg umysłu unosi go w górę. Wyżej! 501,502,503,504, 505!

600! 700! 800! 900! Staje na lądowisku na dachu monady i wpatruje się w noc. Dokoła same wieże, 115,117,118, cała masa sąsiednich miastowców.

Przedtem czasami zastanawiał się, jak żyje się w innych budowlach

Chipitts. W tej chwili nic go to nie obchodzi. 116 kryje wystarczająco dużo cudów. Przeszło osiemset tysięcy krzyżujących się istnień. W San

Francisco słyszał raz, jak jeden z przyjaciół przekonywał, że to źle

zmieniać świat w taki sposób, upychać tysiące ludzi w jednej kolosalnej budowli, urządzając życie na wzór ula. Jak bardzo się mylił! Jak bardzo

mylą się wszyscy ci krytykanci! Gdyby tylko mogli się zwielokrotnić i

uzyskać właściwą perspektywę. Gdyby tylko popróbowali bogatej

złożoności tej strzelistej egzystencji. Zjazd w dół! 480, 479, 476, 475!

Miasto na mieście. Każde piętro kryje tysiące pudełek z niespodziankami



**czystej radości. Siemacie, jestem Dillon Chrimes, mogę pobyć z wami**

**przez chwilę? I z wami? Wami? Tobą? Jesteście szczęśliwi? Nie?**

**Dlaczego? A widzieliście ten wspaniały świat, w którym żyjecie? Co?**

**Marzycie o większej mieszkalni? Chcielibyście podróżować? Nie podobają**

**się wam wasze dzieci? Nudzi praca? Wypełnia was mgliste, nieokreślone**

**zniechęcenie? Idioci. Zabierzcie się ze mną, latajcie od piętra do piętra,**

**zobaczcie! Zachwyćcie się, pokochajcie.**

**- Naprawdę aż tak dobrze? - pyta Alina. - Oczy tak ci błyszczą.**

**- Nie do opisania - mamrocze Dillon, który w tym czasie buja na**

**wysokościach i jednocześnie sunie w dół do rdzenia instalacyjnego, na**

**poziomy poniżej Reykjavíku, by po chwili na powrót wzbić się do**

**Louisville, przecinając naraz wszystkie punkty od podstawy po szczyt.**

**Ocean skwierczących umysłów. Hałas prychających tożsamości. Ciekawe,**

**ile czasu upłynęło. Narkotyk powinien działać pięć godzin. Fizycznie jest**

**wciąż złączony z Al-mą, więc chyba nie jest na haju więcej niż dziesięć,**

**piętnaście minut, choć nie można wykluczyć, że jednak dłużej. Rzeczy sta-**

**ją się teraz bardziej namacalne. Płynąc przez miastowiec dotyka ścian,**

**podłóg, ekranów, twarzy i tkanin. Odlot chyba się kończy.**

**Nie. Bynajmniej. Nadal dryfuje w przestworzach. Wrażenie**

**jednoczesności jeszcze potężnieje. Zalewa go fala doznań. Ludzie w**

**ruchu, we śnie, gadający, tańczący i parzący się; schylają się, sięgają,**

**czytają i jedzą. Jestem wami wszystkimi, a wy jesteście częstkami mnie.**

**Wyostrza zmysły na konkretne osobowości. Elektra... a tam Nat,**

**spektralny**

jeździec...

Mamelon

Kluver...

pozbawiony

polotu

socjokomputator nazwiskiem Charles Mattern... zarządca z Louisville...

warszawski robot... Tu, tam, my, ja. Cała szczęśliwa monada.

Cudowne miejsce, kocham tu żyć. Ale czadowo... ooch!

Wróciwszy do rzeczywistości, Dillon widzi pogrążoną we śnie,

ciemnowłosą kobietę, zwiniętą w rogu platformy sypialnej. Nie pamięta,

jak ma na imię. Dotyka jej uda. Dziewczyna momentalnie się budzi,

mrugając oczami.

- Cześć - mówi do Dillona. - Witaj z powrotem. Jak się nazywasz?

- Alma. Alma Clune. Masz bardzo zaczerwienione oczy.

Dillon potakująco kiwa głową. Czuje na sobie ciężar całego

miastowca: pięćset pięter przygniata mu głowę, a czterysta

dziewięćdziesiąt dziewięć napiera na niego od dołu. Miejsce, w którym

ścierają się te dwie siły, jest gdzieś w okolicy trzustki. Jeżeli prędko stąd

nie odejdzie, jego wewnętrzne organy pękną. Z zespolenia zostały tylko

strzępy. W mózgu opadają bezładnie rozproszone serpentyny

zrujnowanych wizji. Widzi jeszcze zamazane kolumny mrówek,

wędrujące przed jego oczami z poziomu na poziom.

Alma przysuwa się, chcąc go uspokoić. Dillon odtrąca ją i sięga po

ubranie. Przykrył go stożek ciszy. Za chwilę wróci do Elektry i opowie,

gdzie był i co przeżył, potem być może popłacze sobie i wtedy poczuje się lepiej. Wychodzi, nawet nie dziękując Almie za gościnność. Rozgląda się za szybociągiem, który kursuje na dół. Zamiast niego znajduje inny, jadący do góry. Niby przypadkiem, od niechcenia, wysiada na 530 piętrze. Idzie do rzymskiego ośrodka fonicznego. Ciemno. Instrumenty stoją jeszcze na estradzie. Cicho wślizguje się za wibrastar i włącza go. Oczy mu wilgotnieją. Próbuje złowić cienie uczuć swojej podróży. Twarze, tysiąc pięter. Ekstaza. Piękne miejsce. Kocham tu żyć. Ale czadowo... ooch! Naprawdę czuł to wszystko. To było wtedy. Teraz został tylko gorzki posmak zwątpienia. Pyta sam siebie: czy rzeczywiście tak miało być? To wszystko, na co nas stać? Ten kolos? Monstrualny ul? Jego dłonie pieczęcią projektrony, rozgrzane, klujące w dotyku. Przyciska je po omacku i z instrumentu zaczynają sączyć się nieczyste kolory. Włącza dźwięk, wydobywając tony, które kojarzą mu się z grzechotaniem starych kości w sflaczałym worku ciała. Co poszło nie tak? Można było się spodziewać. Najpierw lecisz w górę, na niebotyczne wyżyny, a później spadasz na samo dno. Tylko czy ono musi być aż takie denne? Granie staje się nieznośne. Dziesięć minut po przyjściu Dillon włącza wibrastar i wychodzi. Wróci do San Francisco na piechotę. Sto sześćdziesiąt pięter w dół. Nie tak dużo - przed świtem będzie w domu.

#### IV

Mieszkalnia Jasona Quevedo znajduje się na 761 piętrze, czyli jeszcze w Szanghaju; gdyby przeniósł się o jeden tylko poziom w dół, mieszkałby już w Chicago, które nie jest miastem odpowiednim dla

uczonego. Żona regularnie suszy mu głowę, powtarzając, że ich niski status w Szanghaju jest wiernym odbiciem wartości, jaką ma jego praca. Micaela należy do tych żon, które często mówią mężom takie rzeczy. Większość czasu pracy Jason spędza w Pittsburghu, gdzie mieści się archiwum. Jest historykiem, musi więc wertować dokumenty i kroniki opisujące dawne życie. Prowadzi swoje badania w wilgotnym i zimnym pokoiku na 185 piętrze, prawie w samym środku Pittsburgha. Tak naprawdę wcale nie musi tam pracować - wszystko, co przechowuje się w archiwum, mógłby z łatwością uzyskać przez terminal danych we własnej mieszkalni. Jednak posiadanie gabinetu, gdzie może studiować, układać i segregować materiały źródłowe, jest dla Jasona źródłem swoistej zawodowej dumy. Podobnie argumentował, gdy starał t się o przyznanie mu tego pomieszczenia: "Odtwarzanie dawnych epok to trudne i delikatne zadanie, do którego powinno się stworzyć jak najlepsze warunki, inaczej..."

Prawda jest taka, że gdyby co dzień nie uciekał od Micaeli i szóstki dzieci, skończyłby jako nonszalant; po prostu frustracja i upokorzenia doprowadziłyby go do popełnienia czynów antyspołecznych, może nawet aktów przemocy. Jason zdaje sobie sprawę, że w monadzie nie ma miejsca dla osobników aspołecznych. Gdyby stracił nad sobą kontrolę i zrobił coś naprawdę niebłogosławiennego, zwyczajnie wrzuciliby go do zsuwni, zamieniając jego ciało w energię. Dlatego musi być ostrożny. Jest niskim mężczyzną, o miękkim głosie, łagodnych, zielonych oczach i rzędnych, piaskowożółtych włosach. "Twój niepozorny wygląd

jest zwodniczy" - powiedziała mu swym gardłowym głosem śliczna

Mamelon Kluver na przyjęciu zeszłego lata. - "Tacy jak ty są jak drzemiący wulkan, który raptem wybucha, dziko i nieoczekiwanie". Jason przypuszcza, że mogła mieć rację. Sam boi się tkwiących w nim możliwości.

Od jakichś trzech lat beznadziejnie kocha się w Mamelon Kluver.

Nigdy nie odważył się jej dotknąć. Mężem Mamelon jest fetowany

Siegmund Kluver, w którym, mimo że nie skończył jeszcze piętnastu lat,

powszechnie widzi się jednego z przyszłych przywódców miastowca.

Jason nie obawia się jego sprzeciwu. Wiadomo, że w monadzie miejskiej

żaden mąż nie ma prawa bronić dostępu do swej żony innemu,

pragnącemu jej, mężczyźnie. Nie boi się też tego, co powiedziałyby

Micaela. Zna swoje przywileje. On po prostu obawia się Mamelon, a być

może również samego siebie.

*Not. do użytku wewn. Obyczaje seksualne w miastowcu. Powsz.*

*dostępność seks. Oznaki zaniku małżeństwa opartego na wyłączności.*

*Zanik pojęcia zdrady. Lunatycy: kiedy po raz pierwszy zaakceptowani*

*społecznie? Dopuszczalna granica frustracji: jak określana? Seks jako*

*panaceum. Seks jako kompensacjaubożonej wartości życia w*

*warunkach monadalnych. Pytanie: czy tryumf systemu monadalnego*

*naprawdęubożyłwartość życia? (Ostrożnie - strzeż się zsuwni!)*

*Oddzielenie seksu od prokreacji. Znaczenie maksymalnej wymiany*

*partnerów w środowisku gęstego zaludnienia. Problem: czy istnieją*

*jeszcze rzeczy zakazane (cokolwiek?). Zbadać tabu lunatykowania poza*

*obrębem rodzinnego miasta. Jak bardzo silne? Częstotliwość występowania? Przeanalizować wpływ powsz. permissywności na współcz. literat. Zanik napięcia dramatycznego? Brak materiału do budowania narracyjnego konfliktu? Pytanie: czy moralność monadalna jest amoralna, postmoralna, wszech-, anti-?*

Dyktuje podobne notatki, niezależnie od tego kiedy i gdzie przychodzi mu do głowy jakaś nowa teoria. Akurat lunatykuje na 155 piętrze w Tokio. Jest z młodą, przysadzistą brunetką imieniem Gretl, pieści ją już od paru minut, gdy nawiedza go seria świeżych spostrzeżeń. Dziewczyna dyszy gotowa, pompując biodrami; jej oczy zwięzły się w zamglone szparki.

- Przepraszam - mówi Jason, sięgając po komputerowe pióro nad jej ciężkimi, trzęsącymi się piersiami. - Muszę coś zapisać.

Włącza ścieżkę pamięciową terminalu i wciska klawisz, aby przesłać wydruk ostatniego zapisu na biurko w swoim pittsburskim gabinecie. Następnie, z nachmurzoną miną i zaciśniętymi ustami, zaczyna notować.

Jason często lunatykuje, lecz nigdy w rodzinnym Szanghaju. To jeden z jego zuchwałych zwyczajów: bezczelnie kpi z tradycji każącej ograniczać nocne wycieczki do własnego środowiska. Nikt nie ukarze go za to niekonwencjonalne zachowanie, bo przecież łamie tylko ogólnie przyjętą normę, a nie prawo. Nikt nawet go za to wprost nie skrytykuje.

Mimo to wyprawy te przyprawiają naukowca o leciutki dreszczyk, jaki daje świadomość postępowania wbrew ogólnym zasadom. Tłumaczy się z

**tego nawyku, wmawiając sobie, iż spanie z kobietami z innych miast wzbogaca jego kulturoznawczą wiedzę. W rzeczywistości jednak podejrzewa, że zadając się z kobietami, które zna, czułby się niezręcznie.**

**Na przykład z Mamelon Kluver. Zwłaszcza z Mamelon Kluver.**

**Tak więc, lunatyku jąc nocą, jeździ szybociągiem daleko w dół, na same niziny wieży, do miast takich jak Pittsburgh lub Tokio, czy nawet nędzna Praga, albo smoluchowaty Reykjavik.**

**Otwiera nieznane drzwi, przepisowo nigdy nie zamykane na klucz, i ładuje się na platformy sypialne obcych kobiet, które czuć egzotycznymi warzywami jadanymi przez niższe klasy. Wszystkie praworządnie mu się oddają.**

**- Jestem z Szanghaju - mówi im, a one wydają z siebie zdumione "ooooch!".**

**Potem dosiada ich wściekle i pogardliwie, napęczniały od swojej społecznej rangi.**

**Piersiasta Gretl cierpliwie czeka, aż Jason zapisze ostatnie spostrzeżenia i z powrotem skupi się na niej. Jej mąż, nawalony chyba jakimś miejscowym odpowiednikiem dygotu czy ćmagi, leży do góry brzuchem w odległym rogu platformy, nie zwracając na nich uwagi. Duże i ciemne oczy Gretl błyszczą podziwem.**

**- Wy, szanghajczycy, to macie głowy - mówi, kiedy Jason wskakuje na nią i wbija się jednym brutalnym pchnięciem.**

**Po wszystkim wraca na 761 piętro. Mrocznymi korytarzami przemykają widmowe postacie: inni szanghajczycy także wracają z**

lunatykowania. Jason wchodzi do własnej mieszkalni o powierzchni czterdziestu pięciu metrów kwadratowych. To nie za wiele jak na kogoś z żoną i pięciorgiem dzieci, ale historyk nie narzeka. Szczęść boże, trzeba brać to, co dają: innym trafia się jeszcze mniej. Micaela śpi albo tylko udaje. Ma dwadzieścia trzy lata, długie nogi i śniadą cerę; jest wciąż atrakcyjna, mimo zmarszczek, które zaczynają pojawiać się na jej twarzy.

Zbyt często robi niezadowolone miny. Leży na wpeł odkryta, z połyskującymi czernią, długimi włosami, rozrzuconymi bezładnie wokół niej. Ma małe, za to perfekcyjnie kształtne piersi; Jason porównuje, jak wspaniale wyglądają przy wymionach tokijki Gretl. On i Micaela są małżeństwem od dziewięciu lat. Kiedyś, nim odkrył na dnie jej duszy zgrzytliwy osad zawziętej kłótności, bardzo ją kochał.

Micaela uśmiecha się i wierci przez sen, odgarniając sprzed oczu włosy. Wygląda jak kobieta, która właśnie doznała całkowitego seksualnego spełnienia. Jason nie umie rozpoznać, czy tego wieczoru, kiedy on był u Gretl, odwiedził ją jakiś lunatyk; oczywiście nie może spytać jej wprost. (Szukać śladów? Plam na platformie sypialnej? Lepkości na jej udach? Nie bądź dzikusiem!) Podejrzewa, że nawet gdyby dziś nikt jej nie odwiedził, to i tak postarałaby się, by myślał, że było inaczej; a jeśli był u niej facet, który dał jej choćby skromniutką przyjemność, uśmiechałaby się przed Jasonem w sposób dający do zrozumienia, że była w objęciach samego Zeusa. Już on zna jej charakterek.

Dzieci wydają się spokojne. Ich najmłodsze ma dwa latka, a



najstarsze osiem. Niedługo będą musieli pomyśleć o następnym. Piątka to przyzwoita ilość na jedną rodzinę, ale Jason rozumie swój obowiązek służenia życiu poprzez tworzenie nowego. Kto nie rośnie, umiera - ta prawda dotyczy nie tylko jednostek, ale i całych społeczeństw monad miejskich, konstelacji, kontynentów: całego świata. Bóg to życie, a życie to bóg.

Jason kładzie się obok żony.

Zasypia.

Śni mu się Micaela, skazana na zsuwnię za antyspołeczne zachowanie.

Do zsuwni z nią! Mamelon Kluver łączy się, by złożyć mu kondolencje.

- Biedny Jason - szepcze.

Jej blada skóra dotyka go i chłodzi. Ten jej piżmowy zapach, wytworny wygląd, spojrzenie, zdradzające całkowite panowanie nad sobą. Nie ma jeszcze siedemnastu lat - jak śmie być już tak władczo kompletna?

- Pomóż mi pozbyć się Siegmunda, a będziemy należeli do siebie - mówi Mamelon.

Jasne, zwodnicze oczy prowokują, by stał się jej marionetką.

- Jasonie - szepcze. - Jasonie, Jasonie, Jasonie.

Jej głos jest jak pieśczość. Mamelon dotyka ręką jego męskości.

Jason budzi się roztrzęsiony, zlany potem i przerażony - w pół drogi do mokrej ekstazy. Siada i zaczyna przepowiadać jedną z oracji w intencji

przebaczenia za nieczyste myśli. Szczęść boże - powtarza w duchu -  
szczęść boże, szczęść boże, szczęść boże. Wcale nie chciałem tego  
pomyśleć. To mój umysł. Mój potworny umysł, zerwany z łańcucha.

Kończy ćwiczenie duchowe i kładzie się z powrotem. Zapada w sen, tym  
razem śniąc już mniej niebezpieczne sny.

Rano dzieciarnia pędzi jak szalona do szkoły, a Jason przygotowuje  
się do wyjścia do swego gabinetu. Micaela odzywa się zaskakująco:

- Czy to nie zastanawiające, że ty jeździsz do pracy sześćset pięter w  
dół, a taki Siegmund Kluver wjeżdża na samą górę Louisville?

- Co, na boga, chcesz przez to powiedzieć?

- Dla mnie to trochę symboliczne.

- Dęta symbolika. Siegmund pracuje w administracji miastowca i  
jeździ tam, gdzie są administratorzy. Moja działka to historia i zjeżdżam  
na dół, tam gdzie mogę ją badać. Więc w czym rzecz?

- Nie chciałbyś pewnego dnia przenieść się do Louisville? -Nie.

- Czemu ty nie masz za grosz ambicji?

- Naprawdę uważasz, że życie tutaj jest aż tak godne pożałowania? -  
pyta Jason, trzymając nerwy na uwięzi.

- Dlaczego Siegmund mógł zająć tak wysoko, mając zaledwie  
czternaście czy piętnaście lat, a ty ze swoimi dwudziestoma sześcioma  
tkwisz tutaj i dalej przekładasz swoje materiały?

- Siegmund jest ambitny - odpowiada pogodnie Jason - a ja jestem  
tylko marnym oportunistą. Wcale temu nie przeczę. Pewnie mam coś w  
genach. Siegmund wysiła się i wszystko mu się udaje. Jednak większość

**ludzi żyje inaczej. Wysilek sterylizuje, Micaelo. Wysilek jest prymitywny.**

**Szczęście boże, co ci się nie podoba w mojej karierze? Co ci się nie podoba w Szanghaju?**

**- Piętro niżej i mieszkalibyśmy w...**

**- ... Chicago - dopowiada Jason - wiem. Ale nie mieszkamy. Mogę już iść do pracy?**

**Wychodzi. Zastanawia się, czy nie powinien wysłać jej na wizytę do pocieszyciela, aby skorygował stosunek jego żony do rzeczywistości.**

**Ostatnimi czasy jej próg akceptacji niepomyślnych zdarzeń alarmująco**

**się obniżył, a poziom oczekiwań równie niepokojąco podniósł. Jason**

**dobrze wie, że takie sprawy najlepiej załatwiać od ręki, zanim wymkną się**

**spod kontroli, prowadząc prosto do antyspołecznych zachowań, za które**

**czeka zsuwnia. Niewykluczone, że Micaela będzie musiała iść do inży-**

**nierów moralnych. Na razie jednak Jason rezygnuje z zamiaru**

**powiadomienia pocieszyciela. Po prostu, tłumaczy sobie pobożnie, nie**

**podoba mi się pomysł, by ktokolwiek miał manipulować umysłem mojej**

**żony, ale wewnętrzny głos podpowiada kpiąco, że tak naprawdę nie**

**podejmuje żadnych kroków, bo w głębi duszy chętnie zobaczyłby, jak**

**postępowanie Micaeli robi się na tyle aspołeczne, że skazują ją na**

**zsuwnię.**

**Wchodzi do szybociągu i programuje jazdę na 185 piętro. Szybociąg**

**rusza do Pittsburgha. Wolny od inercji, Jason sunie w dół mijając miasta**

**Monady 116. Przejeżdża przez Chicago i Edynburg, mija Nairobi i**

**Kolombo.**

**Zjeżdżając coraz niżej, wyczuwa otaczającą go, dającą poczucie bezpieczeństwa, masywność budowli. Monada to jego świat. Nigdy w życiu nie był na zewnątrz miastowca. Po co miałby wychodzić? Tu ma rodzinę, przyjaciół - tu upływa całe jego życie. Jego miastowiec ma dosyć teatrów, stadionów, szkół, szpitali i świątyń. Dzięki terminalowi danych Jason ma dostęp do każdego dzieła sztuki, które uznano za błogosławienne i godne obcowania. Żadna ze znanych mu osób też nigdy nie opuściła budowli, z wyjątkiem ludzi wylosowanych parę miesięcy temu, którzy zasiedlą nowo otwartą Monadę 158, a ci, rzecz oczywista, już nigdy nie wrócą. Krążą plotki, że administratorzy miastowca czasami podróżują służbowo do innych wież, ale Jason nie jest przekonany, czy to prawda; nie widzi powodów, dla których takie podróże miałyby być konieczne czy potrzebne. Czyż nie mają systemów natychmiastowej komunikacji między wieżami, zdolnych przesyłać wszystkie niezbędne informacje?**

**Co za doskonały układ; jako historyk, posiadający przywilej studiowania kronik przedmonadalnego świata, wie lepiej niż większość ludzi, jak bardzo jest perfekcyjny. Jason zna i rozumie przeraźliwy chaos przeszłości, napawające przerażeniem swobody, niosące ukrytą konieczność dokonywania wyboru. Niepewność. Zamęt. Brak koncepcji. Nieokreśloność realiów.**

**Dojeżdża na 185 piętro i idzie śpiącymi jeszcze korytarzami Pittsburga do swego gabinetu. Skromna, ale ukochana pracownia. Połyskujące ściany. Nad biurkiem wilgotne malowidło ściennie.**

Niezbędne ekrany i terminale.

Na blacie leży pięć błyszczących sześciianików, z których każdy zawiera wiedzę równą pojemności kilku bibliotek. Quevedo już od dwóch lat studiuje ich zawartość. Tematem jego pracy jest *Monada miejska jako przykład ewolucji społecznej: stałe wartości duchowe warunkowane strukturą społeczeństwa*. Stara się wykazać, że przejście do społeczności monadalnej spowodowało fundamentalną przemianę ludzkiego ducha, przynajmniej ducha zachodniej cywilizacji. Orientalizacja całego Zachodu sprawiła, że ludzie dawniej agresywni zaakceptowali ograniczenia nowego środowiska. Bardziej ugodowy i elastyczny sposób reagowania na wydarzenia, odejście od starej, ekspansjonistycznej i indywidualistycznej filozofii, z jej terytorialnymi ambicjami, mentalnością konkwistadorów i pionierskim pojmowaniem życia, w stronę ekspansji społecznej, zorientowanej na uporządkowany i nieograniczony przyrost ludzkości. Bez wątplenia - rodzaj ewolucji psychologicznej, polegającej na przestawieniu się na dobrowolną aprobatę życia na wzór uła. Ustrój, który pozbył się malkontentów wiele pokoleń temu. My, co nie skończyliśmy w zsuwni, umiemy godzić się z rzeczami nieuchronnymi. Tak, właśnie tak. Jason wierzy, iż podjął bardzo ważny temat. Kiedy zaprezentował go Micaeli, od razu go zgasiła:

- Chcesz powiedzieć, że będziesz pisać całą książkę o tym, że ludzie żyjący w różnych miastach różnią się? Że ci z miastowców myślą inaczej od dzikusów z dżungli? Też mi uczony. Mogę dowieść prawdziwości twojej tezy w sześciu zdaniach.

**Mniej więcej tyle samo entuzjazmu wzbudziło to zagadnienie, gdy**

**Jason przedstawił je na zebraniu pracowników naukowych, ale**

**ostatecznie udało mu się to przepchnąć. W dotychczasowych badaniach**

**wykorzystywał metodę polegającą na osobistym wtapianiu się w obrazy z**

**przeszłości,**

**przeobrażeniu,**

**na**

**ile**

**to**

**możliwe,**

**w**

**członka**

**przedmonadalnej społeczności. Dzięki temu ma nadzieję uzyskać**

**kluczową paralaksę, perspektywiczny punkt widzenia własnego**

**społeczeństwa, niezbędny, kiedy zacznie pisać swoją rozprawę.**

**Spodziewa się zacząć już za dwa, trzy lata.**

**Przegląda ostatnią notatkę, wybiera kostkę i wkłada ją do otworu**

**odtworzenia. Ekran rozjaśnia się.**

**Gdy materializują się sceny ze starożytnego świata, splywa na niego**

**dziwna ekstaza. Pochyla się nisko nad mikrofonem do wprowadzania**

**danych i zaczyna dyktować. Gorączkowo radosny, oszalały, Jason**

**Quevedo notuje swoje uwagi o tym, jak to kiedyś bywało.**

***Ulice i domy. Poziomy świat. Mieszkalnie-schroniska poje-***

***dynczych rodzin: mój dom - moja twierdza. Niebywałe! Troje ludzi,***

*zajmujących powierzchnię około tysiąca metrów kwadratowych.*

*Jezdnie-pojęcie, które trudno nam dziś zrozumieć. Jak podłogi*

*korytarzy, ciągnące się hen przed siebie. Pojazdy osobowe. Dokąd oni*

*wszyscy jadą ? Po co tak szybko ? Nie lepiej zostać w domu? Zderzenie!*

*Krew. Głowa przebijająca szkło. Znowu wypadek! Uderzenie z tyłu.*

*Ciemna, łatwopalna ciecz rozlewa się po drodze. Środek dnia, wiosna,*

*duże miasto. Scena uliczna. Co to za miasto? Chicago, Nowy Jork,*

*Stambuł,*

*Kair.*

*Ludzie*

*przemieszczający*

*się*

*NA*

*OTWARTEJ*

*PRZESTRZENI. Brukowane ulice. Część dla pieszych, część dla*

*pojazdów. Brud. Odczyt ruchu na skrzyżowaniu: 10 tysięcy pieszych*

*tylko w jednym sektorze, pasie długim na osiemdziesiąt i szerokim na*

*osiem metrów. Czy to prawdziwa liczba? Sprawdzić. Łokieć przy łokciu.*

*I nasz świat miałby się wydać komuś przeludniony? Przynajmniej nie*

*wpadamy na siebie, jak ci tutaj. Umiemy zachować dystans w ramach*

*ogólnej struktury życia w monadzie. Pojazdy gnają przed siebie*

*środkiem ulicy. Stary dobry chaos. Główne zajęcie: kupowanie*

*towarów. Prywatna konsumpcja. Kostka HAb8 pokazuje wektor*

*wewnętrzny sklepu. Wymiana pieniędzy na towary. To akurat nie różni*

*się tak bardzo, z wyjątkiem przypadkowego charakteru transakcji.*

*Naprawdę potrzebne im to, co kupują? Gdzie oni to wszystko*

**TRZYMAJĄ?**

Ten sześcian nie pokazał mu nic nowego. Jason wielokrotnie oglądał podobne obrazki z życia miasta, jednak za każdym razem czuje nie malejącą fascynację. Cały spięty i ociekający potem, wytężył mózg, próbując zrozumieć świat, w którym ludzie mieszkali tam, gdzie chcieli, podróżowali pieszo lub w pojazdach na wolnej przestrzeni; bez planowania, ładu i umiaru. Musi zmusić wyobraźnię do podwójnego wysiłku: najpierw musi zobaczyć ten miniony świat od wewnątrz, jak gdyby był jego mieszkańcem, a potem postarać się spojrzeć na społeczeństwo miastowca oczami przybysza, rzuconego tu z dwudziestego wieku. Ogrom zadania napawa go przerażeniem. Wyobraża sobie mniej więcej, co sądziłby o Monadzie 116 zafotografic ze starożytnego świata: powiedziałby, że to piekło, gdzie ludzie wiodą szkaradnie ciasny i brutalny żywot, a każda cywilizowana filozofia jest postawiona na głowie; gdzie zachęca się do koszmarnego, niepohamowanego rozrodu, służąc jakiejś nieprawdopodobnej idei boskości, nieustannie spragnionej nowych wyznawców; gdzie sprzeciw jest bezlitośnie tłumiony, a odszczepieńcy ostatecznie niszczeni. Jason zna nawet odpowiednie zwroty, jakimi posłużyłby się wykształcony liberal z takiego, powiedzmy, 1958 roku. Jednak brakuje mu wewnętrznego przekonania. Próbuje spojrzeć na swój świat jak na koszmarne miejsce, ale nie potrafi. Dla niego miastowiec nie ma w sobie nic z piekła. Jason jest racjonalistą i wie,



**dłaczego społeczeństwo horyzontalne musiało przekształcić się w wertykalne, a eliminacja wszystkich tych, którzy nie mogą albo nie chcą wrosnąć w nową społeczną tkankę - najlepiej nim jeszcze będą zdolni się rozmnożyć - stała się koniecznością. Jak można pozwolić wicherzycielom na pozostawanie w obrębie tak zwartej, tak intymnej i starannie zrównoważonej struktury, jaką jest miastowiec? Jason zdaje sobie sprawę, iż prawdopodobnie przez parę wieków wrzucania nonszalanów do zsuwni dobór naturalny doprowadził do powstania istoty ludzkiej nowego rodzaju. Czy miano *homo urbmonensis* nie byłoby dobre dla tego przystosowanego, w pełni ładowolonego i łagodnego nowego człowieka? Właśnie takie Jason pragnie dogłębnie zbadać, pisząc swoją książkę jak trudno, niemożliwie trudno, jest pojąć je z punktu widzenia mieszkańca archaicznego świata!**

**Quevedo sili się, by zrozumieć całą tę wrzawę wokół przeludnienia, podnoszoną przez starożytnych. Powyciągał z archiwum dziesiątki rozpraw skierowanych przeciwko nie kontrolowanemu masowemu rozmnażaniu - nasyconych złością polemik napisanych w czasach, gdy świat zamieszkiwały niecałe cztery miliardy. Jasne, że ludzie mogliby szybko zadławić całą planetę, gdyby jak dawniej rozprzestrzeniali się horyzontalnie, ale dlaczego w tamtych czasach aż tak bardzo zamartwiano się o przyszłość? Tak łatwo można było przewidzieć korzyści i uroki rozbudowy pionowej!**

**Nie. W tym właśnie rzecz, że nie - mówi do siebie zmartwiony.**

**Niczego takiego *nie przewidzieli*. Woleli debatować nad kontrolą**

urodzin, nawet jeśli zaszłaby taka konieczność - przy pomocy odgórnego, narzuconego przez rządy, prawodawstwa. Jason wzdryga się.

- Nie rozumiecie - pyta swoje kostki - że tylko totalitarny reżim mógłby wprowadzić takie ograniczenia? Twierdzicie, że to *my* stworzyliśmy społeczeństwo represyjne, ale do jakiej cywilizacji doszlibyście wy, gdyby nie powstały monady?

W odpowiedzi słyszy głos starożytnego:

- Wolalbym już zaryzykować kontrolę urodzin, dając w zamian absolutną wolność w każdej innej sferze. Wy przyjęliście wolność rozmnażania się za cenę wszystkich innych swobód. Nie widzicie, że...?

- To ty nie widzisz - wyrywa się Jason. - Robiąc użytek z boskiego daru płodności, społeczeństwo rozwija się. Znaleźliśmy sposób, by zapewnić miejsce wszystkim ludziom na Ziemi i utrzymać populację dziesięć, dwadzieścia razy większą niż ta, którą wyobrażaliście sobie jako nieprzekraczalne maksimum. Wydaje ci się, że jesteśmy autorytarni i zlikwidowaliśmy swobody, ale co powiesz na miliardy istnień, którym w waszym ustroju nie było nigdy dane się narodzić? Czy to nie najradykałniejsze ograniczenie wolności - zabronić ludziom istnienia?

- Ale po co pozwalać im żyć, skoro szczytem ich nadziei ma być klatka w klatce trochę większej klatki? Jaką wartość ma takie życie?

- Nie widzę, żeby jakość naszego życia miała jakieś skazy.

Realizujemy się przez liczne kombinacje wzajemnych stosunków. Po co miałbym szukać przyjemności w Chinach czy Afryce, skoro mogę znaleźć je wszystkie w jednej budowli? Czy cały ten przymus włóczęgi po świecie

nie był oznaką jakiegoś psychicznego zwichnięcia? Wiem, że w twoich czasach podróżowali wszyscy, podczas kiedy w moich - nikt. Więc które społeczeństwo jest bardziej stabilne? Które jest szczęśliwsze?

- A które jest bardziej ludzkie? Które pełniej wykorzystuje możliwości człowieka? Czy poszukiwanie, walka, sięganie dalej, na zewnątrz nie leżą przypadkiem w naszej naturze?

- Czemuż to nie szukać wewnątrz? Nie zagłębić się w życie duchowe?

- Nie widzisz, że...?

- Nie widzisz, że...?

- Gdybyś tylko chciał pojąć...

- Gdybyś ty chciał pojąć...

Jason nie rozumie orędownika archaicznego porządku. Starożytny nie rozumie Jasona. *Żaden* z nich nie słucha drugiego. Kompletny brak porozumienia. Historyk zmarnował kolejny ponury dzień, biorąc się za bary z tym wymykającym się analizie materiałem. Już ma opuścić gabinet, gdy przypomina sobie notatkę, którą spisał wczoraj wieczorem. Spróbuje jeszcze raz wejrzeć w tę przebrzmiałą cywilizację, studiując jej seksualne zwyczaje. Wystukuje na terminalu żądanie odpowiednich archiwaliów. Kiedy jutro wróci do gabinetu, znajdzie na biurku nowe kostki.

Wraca do domu w Szanghaju, do domu i Micaeli.

\* \* \*

Tego wieczoru Quevedowie mają na kolacji gości: Michaela,

bliźniaczego brata Micaeli, i jego żonę Stacion. Michael jest konserwatorem komputerowym; razem ze Stacion mieszkają na 704 piętrze w Edynburgu. Jason uważa towarzystwo brata Micaeli za przyjemne i inspirujące, chociaż fizyczne podobieństwo pary bliźniaków, które kiedyś wydawało mu się zabawne, dziś przeszkadza mu i budzi różne obawy. Michael nosi długie do ramion włosy i ma najwyżej centymetr więcej wzrostu niż jego wysoka, smukła siostra. Oczywiście są tylko bliźniętami dwu-jajowymi, ale i tak mają prawie identyczne rysy twarzy. Wypracowali nawet zestaw takich samych, napiętych i zręczliwych uśmiezków i min. Z tyłu, dopóki nie staną jedno przy drugim, Jasonowi trudno jest ich odróżnić; stoją w tej samej pozycji -wziąwszy się pod boki, z głowami odchylonymi w tył. Ponieważ Micaela ma małe piersi, można ich pomylić również z profilu; czasami też zdarzało się Jasonowi patrzeć na któreś z przodu, nie wiedząc w pierwszej chwili, czy widzi ją, czy jej brata. Żeby chociaż Michael zapuścił brodę! Na nieszczęście jego policzki są idealnie gładkie.

Od czasu do czasu Jason czuje, że szwagier pociąga go seksualnie. Dość naturalne, zważywszy fizyczne pożądanie, jakie zawsze budziła w nim Micaela. Kiedy tak patrzy na nią przez cały pokój, odwróconą bokiem, z widocznymi gładkimi, nagimi plecami i drobną kulą piersi wychylającą się spod ramienia, gdy pochyla się nad terminalem danych, ma wielką chęć podejść i obsypać ją pieszczotami. A gdyby okazało się, że to Michael? Gdyby tak położył rękę na jej podbrzuszu i poczuł, że jest twarde i płaskie? I gdyby osunęli się razem na ziemię, splątani

podnieceniem? Jego dłoń sięga do ud Micaeli, by zamiast gorącej, schowanej szparki *znaleźć* dyndającą męskość. Gdyby odwrócił ją na brzuch? A może jego? Rozsunął blade i umięśnione pośladki? Gwałtowne pchnięcie w nieznanne. Dość tego. Jason przegania fantazję ze swoich myśli. Zgiń, przepadnij. Od wczesnych lat niezdarnego chłopięctwa nie zdarzyły mu się żadne przygody seksualne z własną płcią. Teraz też na to nie pozwoli. Choć, naturalnie, takie rzeczy nie są w miastowcu karalne: wszyscy dorośli, bez wyjątku, są wzajemnie dostępni. Wielu mężczyzn to robi. Jeśli prawdą jest to, co słyszał, między innymi sam Michael. Jeśli Jason go pożąda, wystarczy poprosić. To grzech odmawiać. Ale nie poprosi. Walczy z pokusą. To nieuczciwe, że jakiś facet wygląda jak moja żona. Diabelskie sidła. Właściwie dlaczego tak się przed tym wzbraniam? Skoro pragnę go, czemu tego nie zrobić? Mimo wszystko nie. Tak naprawdę wcale go nie chcę. To tylko dziwaczna zachcianka, odprysk pożądania, jakie czuje wobec Micaeli. Lecz fantazja powraca. On i Michael, leżący odwrotnie, z dyszącymi, wypełnionymi ustami. Wizja jest tak wyraźna, że Jason zrywa się gwałtownie, cały napięty, przewracając butelkę z winem, którą przyniosła Stacion. Żona Michaela nurkuje, aby ją złapać, a Jason przechodzi przez pokój, zdumiony wzwozem, wypychającym mocno jego zlocisto-zielone szorty. Podchodzi do Micaeli i przykrywa dłonią jej pierś. Miękką brodawka. Przytula się do żony i delikatnie gryzie ją w kark. Micaela przyjmuje jego czułości bez zainteresowania, nie przerywając programowania potraw na kolację; ale kiedy rozochocony wsuwa lewą rękę w otwór jej sarongu i przesuwa nią po brzuchu aż do

**krocza, z niezadowoleniem odsuwa się do tyłu, szepcząc opryskliwe:**

**- *Przestań! Nie przy ludziach!***

**Jason rozgląda się nerwowo za dymkiem i po chwili częstuje gości.**

**Stacion odmawia z powodu ciąży. Pulchny i niebrzydki rudzielec, jest zadowolona z siebie i beztroska. Jakoś nie na miejscu w tej atmosferze skondensowanego, podwyższonego napięcia. Jason zaciąga się głęboko oparami czując, jak w środku rozluźniają się węzły podniecenia. Może już spojrzeć na Michaela, nie oddając się w niewolę nienormalnych chuci.**

**Nie przestaje jednak snuć swoich rozważań. Czy Michael coś podejrzewa?**

**Wyśmiałyby mnie, gdybym mu powiedział? Obrazilby się? Byłby zły, że go pragnąłem? A może zły, że nie spróbowałem? Przypuśćmy, że to on chciałby mnie, co wtedy bym zrobił? Jason bierze jeszcze jeden dymek i rój brzęczących pytań opuszcza jego głowę.**

**- Kiedy rozwiązanie? - pyta z fałszywym zainteresowaniem.**

**- Szczęść boże, za trzy i pół miesiąca - odpowiada Michael. - To będzie nasze piąte. Tym razem dziewczynka.**

**- Damy jej na imię Celesta - włącza się do rozmowy Stacion, głaszcząc się po brzuchu.**

**Jej ciążowy strój to krótkie, żółte bolerko i luźna brązowa szarfa, owinięta wokół talii. Zaokrąglony brzuch pozostaje nie osłonięty.**

**Wklęśnięty pępek przypomina szypułkę pękatego owocu. Pod rozpiętym kostiumem na przemian pokazują się i chowają rozkołysane, nabrzmiałe od mleka piersi.**

**- Zastanawiamy się, czy w przyszłym roku nie poprosić o bliźniaki -**

**dodaje Stacion - chłopca i dziewczynkę. Michael stale mi opowiada, jak dobrze było chować się razem z Micaela. Świat bliźniąt jest całkiem inny. Jej uwaga spada na Jasona znieca, pogrążając go na nowo w gorączkowej wizji. Nogi Micaeli, rozpostarte i wystające spod szczupłego, skaczącego na niej ciała Michaela; jej dziecinna twarzyczka wykrzywiona w ekstazie, widoczna nad jego ruchliwym ramieniem. Jak dobrze było chować się razem. Pewnie był jej pierwszym. Kiedy mieli dziewięć, dziesięć lat? Może jeszcze wcześniej? Niezdarne zabawy w doktora. Teraz ja będę na górze, Michael. Oo, w tej pozycji wchodzi głębiej. Może robimy coś nie tak? Nie, głupotko, czy nie sypiamy ze sobą już od okrągłych dziewięciu miesięcy? Połóż tu rękę. Jeszcze trochę ustami. Tak. Urażasz mnie w piersi, Michael. Oo, ooch, tak jest przyjemnie. Zaczekaj, jeszcze tylko chwilę. Jak dobrze było chować się razem.**

**- Co z tobą, Jason? - słyszy głos Michaela. - Jesteś taki spięty.**

**Quevedo czyni wysilek, aby wziąć wyobraźnię w karby. Drżą mu ręce. Jeszcze jeden opar. Nieczęsto zdarza mu się wziąć trzy przed kolacją.**

**Stacion odchodzi, by pomóc Micaeli wyjąć jedzenie z wylotu dostawczego. Michael zwraca się do Jasona:**

**- Podobno zacząłeś pracę nad nowym projektem badawczym. Jaki jest główny temat?**

**Miło z jego strony. Wyczuwa, że nie mogę się rozluźnić i odciąga mnie od tych zboczonych rojeń. Co za chore myśli.**

**- Staram się udowodnić - odpowiada - że życie w monadach**

stworzyło nowy gatunek człowieka, łatwo przystosowujący się do relatywnie niewielkiej przestrzeni życiowej i o znikomej potrzebie prywatności.

- Masz na myśli genetyczną mutację? - pyta Michael, marszcząc brwi. - Dosłownie: dziedziczenie cech społecznych?

- Tak uważani.

- Ale czy to w ogóle możliwe? Jeżeli ludzie dobrowolnie wybierają zespolenie się w społeczeństwo takie jak nasze, czy można od razu mówić o transformacji genetycznej?

- Dobrowolnie?

- A nie?

Jason uśmiecha się.

- Wątpię, czy kiedykolwiek tak było. Na początku to była kwestia konieczności, wywołana przez cały ten światowy chaos. Zamknąć się w monadach albo paść ofiarą złodziei żywności - mówię o latach powszechnego głodu. Potem, jak już się ustabilizowało - jesteś pewien, że wszystko było takie dobrowolne? Czy mamy jakiś wpływ na to, gdzie żyjemy?

- Przypuszczam, że gdybyśmy naprawdę chcieli, nikt nie zabroniłby nam wyjść - mówi Michael - i mieszkać w czymkolwiek tam, na zewnątrz.

- Ale nie chcemy. Właśnie dlatego, że zdajemy sobie sprawę z nienormalności takiego pomysłu. Czy nam się podoba, czy nie - żyjemy tutaj. A ci, którym się nie podoba, którzy w jakimś momencie nie mogą znieść takiego życia... cóż, wiesz, gdzie kończą.



- Ale...

- **Zaczekaj. Dwieście lat doboru naturalnego, Michael. Zsuwnia dla nonszalantów. Oczywiście pewna redukcja ludności, spowodowana emigracją z budowli, przynajmniej na początku. Ci, którzy zostali, przystosowują się do warunków. *Lubią* życie w monadzie. Koniec końców zaczyna wydawać im się normalne.**

- **Mimo wszystko czy można mówić o zmianach genetycznych? Nie wystarczy nazwać tego po prostu psychologicznym uwarunkowaniem? Przecież w krajach azjatyckich ludzie od zawsze żyli stłoczeni razem, tak jak my tutaj, i to w znacznie gorszych warunkach: bez prawa, bez urzędzeń sanitarnych, i też przyjmowali to jako naturalną kolej rzeczy.**

- **Oczywiście - odpowiada Jason. - Ponieważ bunt przeciw naturalnemu porządkowi został z nich wykorzeniony już tysiące lat temu. Ci, którzy przetrwali i płodzili dzieci, to właśnie ci, którzy zaakceptowali rzeczy takimi, jakie są. Tak samo jest z nami.**

**Michael powątpiewa:**

- **Jak wyznaczyć granicę między uwarunkowaniem psychologicznym a długotrwałym działaniem doboru naturalnego? Skąd wiesz, które cechy czemu przypisać?**

- **Tej kwestii jeszcze nie rozwiązałem - przyznaje Jason.**

- **Może powinieneś prowadzić badania wspólnie z genetykiem?**

- **Możliwe, że na późniejszym etapie tak zrobię. Jak już ustalę parametry badań. Szczerze mówiąc, nie jestem jeszcze przygotowany, żeby obronić swoją tezę. Na razie zbieram materiały, by przekonać się,**

**czy w ogóle da się ją udowodnić. To naukowa metoda. Nie robimy założeń**

**a priori, rozglądając się później za dowodami na ich poparcie; na odwrót**

**- wpieryw badamy ewentualne dowody, a potem...**

**- Jasne, jasne, wiem. Ale tak między nami - naprawdę wierzysz w tę**

**teorię? O gatunku monadalnym?**

**- Owszem, wierzę. Dwa wieki doboru naturalnego, bezlitosnej**

**selekcji, i dziś wszyscy jesteśmy dobrze przystosowani do tego stylu życia.**

**- No tak, rzeczywiście wszyscy jesteśmy świetnie przystosowani.**

**- Z paroma wyjątkami - mówi Jason, czując od razu, że trochę się**

**zagalopował.**

**Mężczyźni wymieniają czujne spojrzenia. Jason zastanawia się,**

**jakie myśli ukrywa szwagier pod osłoną tego chłodnego spojrzenia.**

**- Jak by nie patrzeć, powszechna akceptacja jest faktem -odzywa**

**się. - Gdzie się podziała stara ekspansjonistyczna filozofia Zachodu?**

**Mówię ci: została wypleniona z naszej rasy. A żądza władzy? Umiłowanie**

**podbojów? Chciwość ziemi i majątku? Wyplenione, wykorzenione na**

**zawsze. Nie wierzę, że to tylko proces uwarunkowania. Przypuszczam, że**

**to eliminacja z gatunku niektórych genów doprowadziła do...**

**- Kolacja, profesorku - woła Micaela.**

**Wystawny posiłek. Białkopochodne steki, sałatka korzenna,**

**babkowy pudding, zupa rybna, przystawki. Żadnych przetworów, prawie**

**wszystko naturalne. Najbliższe dwa tygodnie, póki nie nadrobiją**

**przekroczonego przydziału na luksusową żywność, będą musieli przeżyć z**

**Micaelą na racjach oszczędnościowych. Jason stara się ukryć**

rozdrażnienie. Michael zawsze obficie je, kiedy do nich przychodzi; ciekawe, że Micaelą nie jest nawet w połowie tak troskliwa wobec pozostałej siódemki swojego rodzeństwa. Od wielkiego dzwonu zaprasza dwoje lub troje z nich. Za to Michael bywa u Quevedów co najmniej pięć razy w roku i zawsze czeka na niego ucztą. Podejrzenia ożywają. Jaka chora więź łączy tych dwoje? Czyżby dziecięce namiętności jeszcze się tliły? Może to nic złego dla bliźniaczej pary dwunastolatków, ale czy wolno im robić to nadal, kiedy mają dwadzieścia trzy lata i własne rodziny? Michael lunatykujący w moim domu? Jason jest zły na siebie. Nie dość, że nęka go ta idiotyczna homoseksualna fantazja na temat Michaela, to jeszcze teraz sam torturuje się podejrzeniem kazirodczego romansu za jego plecami, zatruwając sobie godziny relaksu. A nawet jeśli to prawda? Ze społecznego punktu widzenia nie ma w tym nic nieprzyzwoitego. Czerpmy przyjemność, skąd tylko się da. Skoro tak nas to bierze, nawet ze szparki rodzonej siostry. Wszyscy mężczyźni w Monadzie 116 mogą użyć sobie z Micaelą Quevedo, tylko jeden biedny Michael nie? Ma być dla niego nieosiągalna tylko dlatego, że rósł z nią w jednym łonie? Bądź realistą - nakazuje sobie Jason. Tabu kazirodztwa jest racjonalne tylko wtedy, gdy w grę wchodzi rozmnażanie. Poza tym, prawdopodobnie i tak wcale tego nie robią ani nigdy nie robili. Zastanawia się, jak to możliwe, żeby w jego duszy wykielkowało ostatnio tyle szkaradziejstw, i dochodzi do wniosku, że wszystkiemu winne są tarcia z Micaelą.

To

**jej**

**oziębłość**

**wywołuje**

**u**

**niego**

**całą**

**gameę**

**niebłogosławiennych zachowań. Dziwka. Jak nie przestanie mnie**

**provokować...**

**To co? Odbije jej Michaela? Wybuchą śmiechem na zawilosc**

**wlasnych kombinacji.**

**- Co cię tak śmieszy? - pyta Micaela. - Powiedz nam, Jasonie.**

**Jason patrzy bezradnie w sufit. Co ma powiedziec?**

**- Taka głupiutka myśl - improwizuje. - O tobie i Michaelu, o tym, jak**

**bardzo jesteście podobni. Wyobraziłem sobie, jak któregoś wieczoru**

**zamieniacie się pokojami, później przychodzi do ciebie lunatyk i kiedy**

**wchodzi pod koldrę, odkrywa, że leży z facetem, no i... - dociera do niego**

**totalna głupota tego wyvodu i rejteruje w niezręczną ciszę.**

**- Co za dziwaczne wyobrazenie - odzywa się Micaela.**

**- A nawet jakby, to co? - pyta Stacion. - W pierwsze j chwili byłby**

**może lekko zdziwiony, ale potem zrobilby swoje z Michaelem, prawda?**

**Nie byłoby o co robić zamieszania i nie chciałoby mu się iść gdzie indziej.**

**Naprawdę nie wiem, co w tym śmiesznego.**

**- Nie ma o czym mówić - mamrocze Jason. - Mówilem wam, że to**

głupie. Micaela uparła się, bym powiedział, co mi przyszło do głowy, więc to zrobiłem. Nie mogę odpowiadać za to, że nie ma w tym za grosz sensu, prawda?

Łapie butelkę z winem i nalewa sobie prawie całą zawartość.

- Całkiem niezłe - mruczy.

Po kolacji zażywają razem odprężacza, wszyscy oprócz Stacion.

Przez parę godzin milczą, pogrążeni w narkotycznych doznaniach.

Krótko przed północą Michael i Stacion wychodzą. Jason nie patrzy, gdy jego żona i szwagier obejmują się na pożegnanie.

Zaraz po wyjściu gości Micaela zdejmuje sarong i rzuca Jasonowi ogniste, dzikie spojrzenia, niemal wyzywając go, by ją posiadł. Chociaż zdaje sobie sprawę, jakie to niegrzeczne zignorować jej nieme zaproszenie, Jason jest tak przybity dzisiejszymi matactwami własnej psychiki, że czuje tylko nieodpartą chęć ucieczki.

- Przepraszam - mówi - ale jestem zdenerwowany.

Jej twarz zmienia wyraz: pożądanie ustępuje miejsca zdumieniu, a to z kolei wściekłości. Jason nie czeka, co będzie dalej i w pośpiechu wychodzi. Pędzi do szybociągu i ląduje w Warszawie, na 59 piętrze.

Wchodzi do pierwszej z brzegu mieszkalni i trafia na kobietę w okolicy trzydziestki. Kędzierzawe, jasne włosy i miękkie, mięsiste ciało. Śpi samotnie na rozmemłanej platformie sypialnej. W upchanych po rogach mieszkalni łóżeczkach drzemie co najmniej ośmioro szkrabów. Jason budzi ich mamę.

- Jason Quevedo - przedstawia się. - Jestem z Szanghaju. Kobieta

**mruga, starając się pozbyć senności.**

**- Z Szanghaju? Wypada, byś lunatykował w Warszawie?**

**- A gdzie jest powiedziane, że nie wolno? Warszawianka przetrawia jego słowa.**

**- No... nigdzie, ale tu nigdy nie przyjeżdża nikt z Szanghaju.**

**Poważnie, jesteś stamtąd?**

**- Mam okazać plakietkę identyfikacyjną? - pyta Jason opryskliwie.**

**Jego znamionujący wykształcenie sposób wyrażania przelamuje jej opór. Zaczyna się ogarniać: układa włosy, sięga po jakiś kosmetyczny spray do twarzy. Jason tymczasem pozbywa się ubrania i wchodzi na platformę. Kobieta przyciąga kolana prawie do samych piersi, pokazując mu się w całej okazałości. Jason bierze ją niecierpliwie, niedelikatnie.**

**Michael, powtarza w myślach. Micaela. Michael, Micaela. Stękając, zalewa ją nasieniem.**

**Rano w swoim gabinecie zaczyna nowy kierunek badań, 1 żądając materiałów o obyczajach seksualnych starożytnych. Jak zawsze koncentruje się na dwudziestym wieku, który uważa za swoiste apogeum dawnej ery i, z tego powodu, za najbardziej reprezentatywny okres, ukazujący całą gamę poglądów i zachowań, które dominowały w przedmonadalnej, przemysłowej epoce. Dwudziesty pierwszy mniej nadaje się do jego celów, będąc, jak każdy okres przejściowy, chaotyczny i pozbawiony typowości; a wiek dwudziesty drugi to już czasy nowożytne, początek ery monadalnej. Właśnie dlatego dwudzieste stulecie to ulubiony obszar studiów Jasona. Zarodki krachu, zwiastuny zagłady**

znaczą ten czas jak sfuszerowane ściegi w psychodelicznym arrasie.

Quevedo pilnuje się, by nie paść ofiarą grożącego historykom  
zbytniego zawężenia perspektywy. Chociaż dwudzieste stulecie, widziane  
z dystansu, robi wrażenie jednolitej i pozbawionej szwów struktury,  
uczony dobrze wie, że to typowy błąd w ocenie, spowodowany nazbyt  
prostym uogólnieniem. Może i są jakieś widoczne wzory, biegnące jedną,  
nie załamaną linią przez całe stulecie, lecz Jason zdaje sobie sprawę, że  
jakieś jakościowe przemiany społeczne, powodujące zaburzenia ciągłości  
historycznej między poszczególnymi dekadami, także musiały mieć  
miejsce. Jedno z takich zaburzeń spowodowane było wyzwoleniem  
energii jądrowej, inne - rozwojem szybkich międzykontynentalnych  
środków transportu. W sferze moralności dostępność prostych i  
skutecznych metod antykoncepcji zaowocowała fundamentalną zmianą  
zachowań seksualnych -rewolucją, której nie sposób przypisać wyłącznie  
obyczajowej buntowniczości. Nadejście ery psychodelicznej, z jej  
specyficznymi problemami i radościami, znaczy kolejną wielką zmianę  
odgradzającą kawał dwudziestego wieku od wszystkiego, co było  
wcześniej. Tak więc lata 1910,1950,1970 i 1990 stanowią pojedyncze  
wierzchołki w niepełnym wizerunku stulecia; przy każdej próbie  
wniknięcia w charakter epoki Jason czerpie wzorce z tych właśnie  
okresów.

Ma do dyspozycji mnóstwo materiału. Mimo zamętu spo-  
wodowanego dziejową katastrofą zachowała się ogromna ilość wiedzy na  
temat epok przedmonadalnych, zmagazynowana w jakimś podziemnym

**schronie - Jason nie wie dokładnie, gdzie. Oczywiście centralnego banku danych (jeśli rzeczywiście istnieje tylko jeden, a nie wiele, rozproszonych po całym świecie) nie ma w Miastowcu 116, ani nawet w konstelacji Chipitts, ale to bez znaczenia. Z tej przepastnej składnicy danych Jason może zażądać każdej potrzebnej informacji, która natychmiast zostanie przekazana. Cała sztuka w tym, by wiedzieć, o co prosić.**

**Historyk jest już na tyle zaznajomiony z dostępnymi materiałami źródłowymi, że umie wybierać najwartościowsze dane. Naciska klawisze i pojawiają się nowe kostki. Powieści. Filmy. Audycje telewizyjne. Ulotki. Broszury. Jason wie, że przez ponad półwiecze poglądy na temat seksu były rejestrowane zarówno w legalny, jak i nielegalny sposób: zwykle filmy i współczesna beletrystyka, obok których płynęła podziemna rzeka sekretnej, "zakazanej" twórczości erotycznej. Jason korzysta z obu tych źródeł. Musi porównywać odchylenia w prezentacji tematów seksualnych przez nurt erotyczny z analogicznymi zniekształceniami w materiałach legalnego obiegu. Tylko dzięki temu newtonowskiemu wzajemnemu oddziaływaniu sił może dokopać się do obiektywnej prawdy. Studiuje również kodeksy prawne, poświęcając szczególną uwagę prawom, o których dowiedzieć się można było wyłącznie w przypadku ich naruszenia. Jak na przykład to z prawodawstwa stanu Nowy Jork: "Osoba rozmyślnie obnażająca swoje ciało lub jego intymne części w celach lubieżnych w miejscach publicznych bądź jakichkolwiek innych miejscach w obecności innych osób, lub też namawiająca do obnażenia, winna jest..." W stanie Georgia, czyta Jason, każdy pasażer wagonu sypialnego, przebywający w**



**przedziale innym niż własny, popełnia wykroczenie podlegające karze grzywny do jednego tysiąca dolarów z możliwością zamiany na dwanaście miesięcy więzienia. Z kodeksu stanu Michigan uczony dowiaduje się, że:**

**“Osoba podejmująca się medycznego leczenia osoby płci żeńskiej i w ramach prowadzonej terapii zalecająca jej, jako konieczne lub korzystne dla stanu zdrowia, odbycie stosunku płciowego z mężczyzną nie będącym jej małżonkiem bądź z osobą tej samej płci, lub na podstawie tego zalecenia sama odbywająca stosunek z pacjentką, popełnia przestępstwo podlegające karze do dziesięciu lat więzienia”. Dziwaczne. A to - jeszcze dziwniejsze: “Osoba obcująca cieleśnie lub odbywająca stosunek płciowy we wszelkiej formie ze zwierzęciem bądź ptakiem, winna jest sodomii...” Nic dziwnego, że wszystkie gatunki wyginęły! A to? “Ktokolwiek odbywa stosunek płciowy z mężczyzną lub kobietą poprzez odbyty (rectum) bądź obcuje cieleśnie używając ust albo języka, lub też usiłuje odbyć stosunek płciowy ze zwłokami... 2000 dolarów grzywny lub pięć lat więzienia...” A to? Najbardziej przerażające ze wszystkiego: w stanie Connecticut zabrania się używania środków antykoncepcyjnych pod karą minimum 50 dolarów grzywny lub 60 dni do jednego roku aresztu, a w Massachusetts “osoba sprzedająca, użyczająca, darująca bądź prezentująca (oferująca) jakiegokolwiek narzędzie, lekarstwo, narkotyku lub jakiegokolwiek innego środka zapobiegającego poczęciu podlega karze do pięciu lat więzienia lub grzywnie do wysokości 1000 dolarów”. Co? Co takiego? Posyłali facetka za kratki na kilkadziesiąt lat za wylizanie sromu własnej żony, przewidując tak śmiesznie niskie kary dla**

propagatorów antykoncepcji? A w ogóle - gdzie były te Connecticut i Massachusetts? Chociaż jest historykiem, nie bardzo się orientuje. Szczęść boże, myśli, sami dobrze zapracowali na własną zagładę. Co za osobliwa rasa, tak łagodnie obchodząca się z rzecznikami kontroli urodzin!

Przerzuca parę powieści i przegląda kilka filmów. Choć to dopiero pierwszy dzień jego badań, Jason od razu wychwytuje pewną prawidłowość: nierównomierne rozluźnianie się tabu w ciągu całego stulecia, przybierające znacznie na sile w latach 1920-1930 i ponownie po roku 1960. W metaforycznym skrócie: nieśmiałe próby odsłaniania kostek zakończone kompletnie gołymi biustami. Osobliwe zjawisko prostytucji zanika wraz z coraz większą powszechnością obyczajowych swobód. Giną tabu dotyczące potocznego słownictwa erotycznego. Jason ledwo wierzy poznawanym faktom. Jak zniewolone były ich dusze! Jak stłamszone ich potrzeby! I dlaczego? Dlaczego? Oczywiście z czasem zrobili się bardziej tolerancyjni. Jednak koszmarne ograniczenia ciężą nad całym tym ciemnym wiekiem, wyjąwszy sam jego schyłek, kiedy katastrofa była już blisko i pękły wszelkie granice. Ale nawet wtedy ich obyczajowe wyzwolenie było w jakiś sposób wynaturzone. Jason widzi, jak rodzi się, wymuszony i nieśmiały, amoralny styl życia. Wstydlivi nudyści. Orgiaści, zżerani przez poczucie winy. Szukający usprawiedliwień cudzołźnicy. Dziwne, dziwne. Kuriozalne. Jego zdziwienia dwudziestowiecznymi koncepcjami seksualnymi nie mają końca. Żona własnością męża. Nagradzane dziewictwo - wygląda na to, że oni się tego

pozbywali! Państwo próbujące dyktować, jakie pozycje są dopuszczalne przy stosunku, i zakazywać niektórych dodatkowych aktów. Restrykcje obejmujące nawet słowa! Zdanie wyjęte z przypuszczalnie poważnego krytycznego dzieła o stosunkach społecznych w XX wieku: "Pośród najbardziej znaczących osiągnięć naszego dziesięciolecia jawi się wywalczenie nareszcie prawa odpowiedzialnego pisarza do używania wyrazów »pieprzyć« i »pizda«, gdziekolwiek uzna to za konieczne w swojej twórczości". Naprawdę mogło tak być? Tyle uwagi poświęcanej zwykłemu słowom? Wypowiada na głos te anachroniczne wyrazy w ciszy swojego gabinetu.

- Pieprzyć, pizda. Pieprzyć, pizda. Pieprzyć.

Brzmiały tak przestarzałe. I zupełnie nieszkodliwie. Porównuje je ze współczesnymi odpowiednikami:

- Pokryć, szpara. Pokryć, szpara. Pokryć.

Zupełnie go to nie rusza. W jaki sposób słowa te mogły kiedykolwiek mieć tak zapalną treść, że poważny uczyony uznał za godne swojej uwagi roztrząsanie swobody używania ich publicznie? Mając do czynienia z takimi zagadnieniami, Jason uświadamia sobie własne ograniczenia jako historyka. Najzwyczajniej nie jest w stanie pojąć dwudziestowiecznej obsesji na punkcie słów. Żeby upierać się przy pisaniu "Bóg" z dużej litery, jak gdyby On naprawdę mógł być niezadowolony z nazywaniem go "bogiem"! Wywierać presję, aby niektóre wyrazy drukowano w książkach jako p...a, p...ć czy g...o!

Pod koniec dnia pracy Quevedo bardziej niż kiedykolwiek

**przekonany jest o słuszności swojej tezy. Ostatnie trzysta lat przyniosło kolosalne zmiany w moralności seksualnej, i nie sposób wytłumaczyć ich wyłącznie przeobrażeniami kulturowymi. Jesteśmy inni, mówi do siebie.**

**Zmieniliśmy się, i to na poziomie komórkowym; przeszliśmy transformację nie tylko ducha, ale i ciała. Starożytni nigdy by nie zaakceptowali, nie mówiąc już o możliwości stworzenia, naszego modelu społeczeństwa, opartego na totalnej wzajemnej dostępności. Nasze lunatykowanie, nagość, uwolnienie od tabu i irracjonalnej zazdrości - wszystko to wydawałoby się im zupełnie obce, amoralne i wstrętne. Nawet ci z nich, a była taka grupka, którzy żyli w sposób trochę podobny do naszego, czynili tak z dziwnych pobudek. Ich styl życia nie był odzwierciedleniem na pozytywny wymóg społeczny, tylko reakcją na istniejący system represji. Jesteśmy inni. Różnice są fundamentalne.**

**Znużony, ale zadowolony z tego, co odkrył, historyk wychodzi z gabinetu na godzinę przed czasem. Wróciwszy do mieszkalni, przekonuje się, że Micaela gdzieś wyszła.**

**Intrygująco. O tej porze zawsze siedzi w domu. Dzieci, zostawione samym sobie, bawią się zabawkami. Prawda, dziś wrócił trochę wcześniej, ale niedużo. Wyszła na pogaduszki? W takim razie czemu nie zostawiła żadnej wiadomości?**

**- Gdzie mama? - pyta najstarszego syna.**

**- Wyszła.**

**- Dokąd?**

**Chłopiec wzrusza ramionami.**

- W odwiedziny.

- Jak dawno temu?

- Godzinę, może dwie.

Już jakaś wskazówka. Wzburzony i niecierpliwy, obdzwania kilka

przyjaciółek Micaeli z tego samego piętra, okazuje

się jednak, że żadna z nich jej nie widziała. Synek patrzy na niego i

mówi rezolutnie:

- Poszła na spotkanie z mężczyzną. Jason rzuca mu surowe

spojrzenie.

- Z mężczyzną? Tak powiedziała? Z kim?

Chłopiec nic więcej nie wie. Targany podejrzeniem, że mogła pójść

na randkę z Michaeliem, Jason zastanawia się, czy nie zadzwonić do

Edynburga. Po prostu dla sprawdzenia, czy jej tam nie ma. Długo walczy

ze sobą. Przez głowę przelatują mu dzikie obrazy. Micaela i jej brat

rozpaleni do białości, spleceni ze sobą w jedno tak mocno, aż nie do

odróżnienia, zamknięci w kręgu kazirodczej żądz. Może robią to każdego

popołudnia. Od jak dawna? Później wraca do mnie na kolację, rozgrzana i

mokra od *niego*. Jason łączy się z Edynburgiem i na ekranie pokazuje się

Stacion. Jak zawsze spokojna, z tym swoim brzuchem.

- Micaela? Nie, nie ma jej tutaj. A miała być?

- Myślałem, że może wpadła... przechodząc... - Nie widziałam jej od

tamtego wieczoru u was.

Jason waha się. Kiedy Stacion robi już ruch, aby przerwać

połączenie, wyrzuca z siebie:

**- A może wiesz, gdzie teraz jest Michael?**

**- Michael? W pracy. Dziewiąta Brygada Obsługi Interfejsu.**

**- Jesteś pewna?**

**Stacion patrzy na niego z oczywistym zdziwieniem.**

**- Naturalnie. A gdzie miałby być? Jego brygada kończy dopiero o pół do szóstej.**

**Parska śmiechem.**

**- Chyba nie chodzi ci po głowie, że Michael i Micaela...?**

**- Oczywiście, że nie. Masz mnie za takiego głupca? Zastanawiałem się tylko, czy może... jeżeli... - Jason całkiem się gubi. - Dajmy temu spokój, Stacion. Kiedy Michael wróci, pozdrów go ode mnie.**

**Rozłącza się i spuszcza głowę. Przed oczami parada nieproszonych wizji. Długie palce Michaela obrysowują piersi rodzonej siostry.**

**Sterczące różane brodawki. Bliskość dwu twarzy podobnych jak lustrzane odbicia. Stykające się koniuszki dwóch języków. Niemożliwe. W takim razie dokąd ona poszła? Kusi go, aby poszukać Michaela w jego Brygadzie Interfejsu i dowiedzieć się, czy rzeczywiście jest w pracy, czy też może w jakimś ustronnym miejscu pokrywa własną siostrę. Jason rzuca się twarzą w dół na platformę sypialną, by przemyśleć swoje położenie. Wmawia sobie, że nie obchodzi go, czy Micaela pozwala pokrywać się bratu. Nic a nic. Nie da się złapać w sidła staroświeckich, dwudziestowiecznych postaw moralnych. Z drugiej strony, jeżeli jego żona wczesnym popołudniem wychodzi z domu kochać się, to jest to poważne pogwałcenie ogólnie przyjętej normy. Skoro pragnie Michaela, powinna**

**poczekać, aż przyjdzie do niej po północy jak przyzwoity lunatyk. Po co to całe krycie się i podchody? Wydaje jej się, że wpadłbym w szok, gdyby powiedziała, kto jest jej kochankiem? Naprawdę musi ukrywać to przede mną w taki sposób? Przecież to sto razy gorsze niż wyznanie prawdy. Takie zachowanie zakrawa na oszustwo. Staromodna zdrada z tajnymi schadzkami - jakie to plugawe! Powiem jej, jak...**

**Drzwi otwierają się i wchodzi Micaela. Jest naga pod prześwitującą pelerynką i ma zmęczony, zaspokojony wygląd. Posyła mężowi afektowany uśmiech, pod którym Jason zauważa odrazę.**

**- No więc? - pyta żonę.**

**- Co "no więc"?**

**- Zaskoczyło mnie, kiedy wróciłem, a ciebie nie było. Nie tracąc zimnej krwi, Micaela rozbiera się i wchodzi pod**

**splukiwacz. Sposób, w jaki się szoruje, nie pozostawia żadnych wątpliwości, że właśnie ktoś ją pokrył. Po chwili zwraca się do Jasona:**

**- Spóźniłam się trochę, prawda? Przepraszam.**

**- Gdzie byłaś?**

**- U Siegmunda Klwrrera.**

**Jason czuje jednocześnie ulgę i zdumienie. Jak to nazwać?**

***Lunatykowaniem dziennym? I żeby jeszcze kobieta przejmowała seksualną inicjatywę? Cóż, przynajmniej nie była z Michaelem.***

**Przynajmniej nie z nim. Jeśli wierzyć jej słowom.**

**- U Siegmunda? - pyta. - Co to ma znaczyć?**

**- Złożyłam mu wizytę. Dzieci ci nie powiedziały? Akurat miał wolną**

chwile, więc poszłam do niego. Nic niebłogosławiennego, przecież to wytrawny pokrywacz. Rzecz jasna, nie był to mój pierwszy raz z nim, za to jak dotąd bezspornie najlepszy.

Wychodzi spod splukiwacza i bierze dwójkę małych. Rozebrawszy je, wpycha do popołudniowej kąpieli. Na Jasona prawie nie zwraca uwagi.

Historyk z konsternacją przygląda się jej nagiemu, gibkiemu ciału. Aż ciśnie mu się na usta wykład o etyce seksualnej w monadzie, ale zaciska szczęki, zbity z tropu i gotujący się z nadmiaru wrażeń. Pogodzenie się z myślą o jej kazirodczym romansie, który uważał za nie do przyjęcia, kosztowało go tyle wysiłku, że teraz nie umie już tak łatwo przelknąć tej sprawy z Siegmundem. Latała za nim? W biały dzień? *Dzienne*

*lunatykowanie*. Czy ona nie ma wstydu? Dlaczego to zrobiła? Z czystej złości, odpowiada sam sobie. Żeby ze mnie zakpić. I rozzłościć. Aby pokazać, jak mało ja obchodzę. Użyła seksu jako broni przeciwko mnie. I jeszcze obnosi się z tą swoją bezecną godziną z Siegmundem. Mimo wszystko po Siegmundzie można by się spodziewać więcej rozumu.

Mężczyzna z jego ambicjami, pozwalający sobie na nieprzestrzeganie zwyczaju? Musiała go omotać. Już ona to potrafi. Nawet Siegmunda. Suka!

Dziwka! Jason czuje na sobie wzrok żony: jej oczy miotają ogień, a usta wykrzywiają się w nieprzyjaznym uśmiechu. Prowokuje go do kłótni.

Prawie prosi, by spróbował wszcząć awanturę. Nic z tego, Micaelo, nie zagramy w twoją grę.

- Co zaprogramujesz dziś na kolację? - pyta całkiem spokojnie kąpiącą dzieci żonę.



Nazajutrz w pracy odtwarza z kostki film z 1969 roku, który jego zdaniem wygląda na komedię, o dwóch małżeństwach z Kalifornii, które postanawiają na jedną noc wymienić się partnerami, ostatecznie jednak braknie im odwagi, by doprowadzić całą rzecz do końca. Stary film pochłonął go bez reszty: oczarowały go nie tylko kadry z prywatnymi domami i otwartą przestrzenią, ale przede wszystkim całkowicie mu obca psychologia postaci, z ich pozornym wyzwoleniem, głęboką udręką wywołaną kwestią tak trywialną jak ta, kto co komu włoży, i końcowym tchórzostwem. Już łatwiej przychodzi mu zrozumieć nerwową wesołość, z jaką eksperymentują z, jak mu się wydaje, haszyszem. W końcu oglądany przez historyka starość pochodzi z początku ery psychodelicznej. Za to ich zachowania seksualne są naprawdę niewiarygodnie groteskowe. Jason puszcza film dwa razy, robiąc obszerne notatki. Skąd u nich takie zahamowania? Strach przed niechcianą *ciążą*? Chorobą społeczną? Nie, przecież, o ile mu wiadomo, rok produkcji wskazuje na czasy po epoce chorób wenerycznych. A może boją się samej przyjemności? Plemiennej kary za pogwałcenie monopolistycznej koncepcji dwudziestowiecznego małżeństwa? Nawet gdyby ich grzech nie miał nigdy zostać odkryty? To musi być to - dochodzi do wniosku historyk. Przeróżają ich prawa zabraniające pozamałżeńskich stosunków. Łamanie kołem i miażdżenie palców, dyby, topielnica i tym podobne kary. Oczy śledzące z ukrycia. Wstydliva prawda, której przeznaczeniem jest wyjść na jaw. Więc rejterują, tkwiąc dalej w zamkniętych celach swych opartych na wyłączności małżeństw.

Oglądając tę staroświecczyznę, Jason widzi nagle Micaelę w kontekście dwudziestowiecznej mieszczańskiej moralności. Oczywiście nie taką, jak ta strachliwa czwórka w filmie, ale bezczelną i wyzywającą - która przechwala się odwiedzinami u Siegmunda i używa seksu, aby upokorzyć męża. Bardzo dwudziestowieczne postępowanie, jakże dalekie od łatwej akceptacji charakterystycznej dla ludzi z miastowców. Tylko ktoś, przez kogo seks jest w swej naturze nieodmiennie postrzegany jako towar, mógł zachować się tak jak Micaela. Udało jej się wskrzesić pojęcie zdrady w świecie, gdzie nic ono już nie znaczy! Wzbiera w nim złość.

Czemu spośród 800 tysięcy mieszkańców Monady 116 właśnie jemu musiała trafić się zбочzona żona? Flirtuje z własnym bratem nie dlatego, że go pożąda, tylko by *zagrać* mi na nerwach. Leci do Siegmunda zamiast czekać, aż on przyjdzie do niej. Puszczalska barbarzynka! Już ja jej pokażę. Też umiem grać w tę jej kretyńską, sadystyczną grę!

W południe, po niecałych pięciu godzinach pracy, Jason opuszcza gabinet. Szybociąg wwozi go na 787 piętro. Stojąc przed mieszkaniem Siegmunda i Mamelon Kluverów, odczuwa nagle zawroty głowy, tak silne, że prawie upada. Udaje mu się odzyskać równowagę, ale jego strach jest wciąż wielki. Kusi go, aby odejść. Walczy ze sobą, próbując pokonać własną bojaźliwość. Myśli o bohaterach filmu. Czemu on miałby się bać?

Mamelon to przecież tylko jeszcze jedna szparka. Miał ze sto równie atrakcyjnych. Ale ona jest inteligentna. Umiałaby poniżyć mnie paroma krótkimi żartami. Mimo wszystko pragnę jej. Aż do tej pory odmawiałem jej sobie, podczas gdy taka Micaela beztrąsko wychodzi po południu do

**Siegmunda. Dziwka. Suka. Dlaczego mam cierpieć? W monadzie nikt nie powinien być narażony na frustrację. No więc, chcę Mamelon.**

**Pchnięciem otwiera drzwi.**

**Mieszkalnia Kluverów jest pusta. Poza niemowlakiem w kojcu ochronnym nie ma żywej duszy.**

**- Mamelon? - rzuca Jason prawie załamującym się głosem. Ekran rozjaśnia się, pokazując zaprogramowany wcześniej**

**obraz pani domu. Jaka piękna, myśli Jason. Taka promienna i uśmiechnięta. Ekranowa Mamelon mówi:**

**- "Cześć. Wyszłam na popołudniowe zajęcia polirytmiki i wrócę o**

**trzeciej. Pilną wiadomość można przekazać do Hali Fizycznego**

**Spełnienia w Szanghaju albo do mojego męża w Louisville, hasło dostępu**

**»Neksus«. Dziękuję".**

**Obraz znika.**

**O trzeciej. Prawie dwie godziny czekania. Ma zrezygnować?**

**Chce jeszcze raz popodziwiać jej urodę.**

**- Mamelon?**

**Ekran ponownie wyświetla jej postać. Jason bada ją wzrokiem.**

**Aryokratyczne rysy; ciemne, tajemnicze oczy. Kobieta, która w pełni nad sobą panuje, której nie dręczą żadne demony. Spokojna, świadoma**

**własnych racji, nie to, co Micaela - niepewna, neurotyczna osobowość, miotana psychicznymi wichurami.**

**- "Cześć. Wyszłam na popołudniowe zajęcia polirytmiki i wrócę o**

**trzeciej. Pilną wiadomość można przekazać do..."**

**Decyduje się zaczekać.**

**Chociaż widzi ją nie po raz pierwszy, mieszkalnia Kluverów na nowo robi na nim wrażenie swoją szykownością. Draperie i zasłony z drogich materiałów, wypolerowane dzieła sztuki - znamiona statusu; nie ulega wątpliwości, że Siegmund wkrótce przeniesie się do Louisville - wszystkie te rzeczy, będące przecież prywatną własnością, zwiastują jego rychłe dołączenie do kasty rządzącej. Zabijając czas, Jason bawi się ściennymi kasetonami, ogląda meble i programuje wszystkie szczeliny zapachowe. Bacznie przygląda się dziecku, gaworzącemu w ochronnym kojcu. Odmierza krokami mieszkalnię. Starsze Kluverów musi mieć już ze dwa latka. Może zaraz wróci ze żłobka? Nie bardzo uśmiecha mu się niańczyć dziecko przez całe popołudnie podczas tego upokarzającego czekania na Mamelon.**

**Włącza ekran i ogląda jedną z popołudniowych abstrakcji.**

**Strumień barwnych form pozwala mu wypełnić drugą niecierpliwą godzinę. Mamelon powinna zaraz nadejść.**

**Za dziesięć trzecia. Wchodzi, prowadząc za rękę dziecko. Jason wstaje z walącym sercem i wyschniętym gardłem. Mamelon jest ubrana z prostotą i bez przepychu: w długiej do kolan, opadającej kaskadą niebieskiej tunice sprawia wrażenie niemal zaniedbanej. Co w tym dziwnego? Spędziła popołudnie, gimnastykując się - nie można oczekiwać, że będzie tą nieskazitelną Mamelon z przyjęcia, roztaczającą wszędzie swój czar.**

**- Jason? Czy coś się stało? Skąd...?**

- Wpadłem w odwiedzinę - tłumaczy się, ledwo poznając brzmienie własnego głosu.

- Wyglądasz jak nonszalan! Jesteś chory? Może coś ci podać?

Zrzuca z siebie tunikę i zmiętą ciska pod splukiwacz. Teraz ma na sobie jedynie przezrzystą koszulkę. Jason odwraca wzrok od jej oślepiającej nagości. Jednak kąciaki oczu mimowolnie rejestrują, jak Mamelon ściąga także koszulkę, myje się i wkłada lekką podomkę. Po tym wszystkim odwraca się do niego i mówi:

- Zachowujesz się bardzo dziwnie. Kawa na ławę i będzie po bólu.

- Chciałbym cię pokryć, Mamelon! Zaskoczona, parska śmiechem.

- Teraz? W środku dnia?

- To takie straszne?

- Niezwykłe - odpowiada. - Zwłaszcza ze strony mężczyzny, który nigdy przedtem nawet u mnie nie lunatykował. Ale chyba nie ma w tym nic złego. Zgoda, zrobmy to.

Tak po prostu. Zdejmuje podomkę i nadmuchuje platformę sypialną. Jasne: nie chce sprawić mu zawodu - to by było niebłogosławienne. Wprawdzie pora jest trochę nietypowa, ale Mamelon rozumie kardynalne zasady, na jakich opiera się ich życie i pozwoli mu na to drobne odstępstwo. Jest jego. Biała cera, wysoko osadzone, pełne piersi. Głęboko ukryty pępek. Gęsta kępka czarnych, splątanych włosów wiję się nad sklepieniem ud. Z uśmiechem przywołuje go do siebie, pocierając udami, aby prędzej się przygotować. Jason rozbiera się i starannie składa ubranie. Kładzie się obok niej i nerwowo bierze w dłoń

**jedną z piersi dziewczyny. Leciutko szczypie koniuszek jej ucha.**

**Tak rozpaczliwie pragnie powiedzieć, że ją kocha. Ale to byłoby o niebo poważniejszym złamaniem obyczaju niż całe jego dotychczasowe zachowanie. W pewnym sensie, nie tym dwudziestowiecznym, ona należy do Siegmunda; Jasonowi wolno ładować między nich stojącego kutasa, ale nie ma prawa zakłócać ich stadła swoimi uczuciami. Szybko, w napięciu, wskakuje na nią. Jak zwykle panika każe mu się spieszyć.**

**Wchodzi w nią i oboje zaczynają podrygiwać. Pokrywam Mamelon Kluver. Naprawdę. Nareszcie. Odzyskuje panowanie nad sobą i zwalnia tempo. Odważa się otworzyć oczy i widzi z zadowoleniem, że jej są zamknięte. Rozszerzone nozdrza, otwarte usta. Ma takie doskonałe, białe zęby. Wydaje się, że mruży. Jason zaczyna poruszać się trochę szybciej. Obejmuje ją ciasno ramionami; wzniesienie jej piersi rozplaszczają się o jego ciało. Nagle, nieoczekiwanie, bucha z niej niezwykła napiętość - krzyczy i pompuje biodrami; drapie go paznokciami, wydając ochryple, zwierzęce jęki. Jest tak zdumiony dzikością jej szczytowania, że nie zauważa swojego własnego. No i po wszystkim. Wyczerpany, przywiera do niej jeszcze na chwilę, a Mamelon głaszcze go po spoconym karku. Już po fakcie, analizując wszystko na zimno, Quevedo uświadamia sobie, że ten raz nie różnił się wiele od innych, które przeżył do tej pory. Może trochę bardziej napiętny niż na co dzień. Poza tym - cała, dobrze mu znana rutyna. Nawet z Mamelon Kluver, obiektem jego trzyletnich, palących rojeń, byli tylko starym, pocziwym zwierzakiem o dwóch grzbietach. Ja pcham, ona pcha - i cała robota. Właśnie tyle w tym romantyzmu. Dawne,**

dwudziestowieczne przysłowie: "W nocy wszystkie koty są szare". Więc zaliczyłem ją. Jason wysuwa się z dziewczyny i idą razem pod splukiwacz.

- Ulżyło ci? - pyta Mamelon.

- Chyba tak.

- Kiedy weszłam, byłeś okropnie spięty.

- Przepraszam.

- Poczęstować cię czymś?

- Nie, dziękuję.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie, nie.

Znów odwraca oczy od jej ciała. Rozgląda się za swoimi rzeczami.

Mamelon nie uważa za stosowne się ubrać.

- Pójdę już - mówi Quevedo.

- Zajrzyj jeszcze kiedyś, ale lepiej w porze normalnego

lunatykowania. To nie znaczy, że mam coś przeciwko twoim od-

wiedzinom za dnia, ale może w nocy bylibyśmy bardziej odprężeni.

Słuchasz mnie, Jasonie?

Jest tak przerażająco zdawkowa. Nie wie, że pierwszy raz krył

kobietę z rodzinnego miasta? A gdyby powiedział jej, że wszystkie jego

przygody miały miejsce w Warszawie, Reykjaviku, Pradze czy innych

miastach smoluchów? Dziwi się, czego tak się bał. Przyjdzie jeszcze do

niej, to pewne. Teraz ulatnia się, prezentując całą gamę uśmiezków,

mrugnięć i kiwnięć głową, wśród których przemyca ukradkowe

spojrzenia wprost na nią. Mamelon posyła mu całusa.

**Wreszcie na korytarzu. Nadal jest wczesne popołudnie - jeśli wróci do domu na czas, cała ta eskapada straci swój sens. Zjeżdża szybociągiem do gabinetu i przez dwie godziny zbija bąki. Jeszcze za wcześnie.**

**Wracając do Szanghaju, trochę po szóstej, wstępuje do Hali Fizycznego Spełnienia, gdzie aplikuje sobie zmysłolażnię. Ciepłe, falujące prądy koją, ale Jason źle reaguje na rozchodzące się z dołu psychodeliczne wibracje i jego umysł wypełnia się wizjami zburzonych, ciemnych miastowców, z których zostały tylko sterczące dźwigary i przechylone kawały betonu.**

**Kiedy dociera w końcu do domu, jest dwadzieścia po siódmej. Ekran w przebieralni reaguje na jego bioprądy:**

**- Jasonie Quevedo, szuka cię twoja żona.**

**Spóźnił się na kolację. Świetnie. Niech się ta dziwka skręca. Kiwa głową ekranowi i ponownie wychodzi. Przez niecałą godzinę włóczy się po korytarzach między 770 a 792 piętrem, aż w końcu wysiada na swoim własnym i idzie do domu. Korytarzowy ekran blisko rdzenia instalacyjnego jeszcze raz informuje, że szukały go poszukiwacze.**

**- Idę już, idę - mruczy z irytacją.**

**Micaela sprawia wrażenie zmartwionej aż miło.**

**- Gdzieś ty był? - rzuca, gdy tylko Jason się pokazuje.**

**- Och, łaziłem po okolicy.**

**- Nie było cię w gabinecie. Sprawdzalam. Zawiadomilam poszukiwacze.**

**- Zupełnie jakbym był zgubionym chłopcem.**

**- To do ciebie niepodobne. Nigdy tak po prostu nie znikalesz po**



**południu.**

**- Jadłaś już kolację?**

**- Czekalam - odpowiada kwaśno.**

**- No to siadajmy. Umieram z głodu.**

**- Żadnych wyjaśnień?**

**- Później - Jason bardzo się stara być tajemniczy. Ledwo zauważa potrawy. Po posiłku jak zwykle bawi się z dziećmi, póki nie nadchodzi pora ich snu. Układając w głowie, co powiedzieć żonie, próbuje coraz to innych słów. Stara się również przećwiczyć uśmiezek samozadowolenia. Nareszcie choć raz to on zagra rolę dręczyciela. Wreszcie on zrani ją.**

**Micaela z zainteresowaniem zajęła się oglądaniem ekranowej audycji. Wygląda na to, że jej wcześniejsze zaniepokojenie jego zniknięciem minęło. W końcu Jason musi sam zacząć:**

**- Chcesz wiedzieć, co dziś robiłem? Micaela podnosi wzrok.**

**- Co takiego? Aa: po południu - sprawia wrażenie, jakby już nie była ciekawa. - No więc?**

**- Pojechałem do Mamelon Kluver.**

**- Lunatyku jesz w dzień? Ty? -Ja-**

**- Dobra była?**

**- Cudowna - odpowiada, zaintrygowany jej brakiem zainteresowania. - Dokładnie taka, jak sobie wyobrażałem.**

**Micaela wybucha śmiechem.**

**- To takie zabawne? - pyta Jason.**

**- Nie to. Ty.**

- **Może wytłumaczysz mi, dlaczego?**

- **Lata całe wzbranasz się przed lunatykowaniem w Szanghaju, jeżdżąc na poziomy roboli, a teraz, z najgłupszego powodu, jaki można sobie wyobrazić, decydujesz się na Mamelon...**

- **Wiedziałaś, że nie lunatykuje w Szanghaju?**

- **Oczywiście. Kobiety rozmawiają ze sobą. Pytałam przyjaciółki.**

**Żadnej z nich nie kryłeś, więc zaczęłam się zastanawiać i trochę cię sprawdzać. Warszawa, Praga. Czemu musiałeś zjeżdżać aż tam, Jasonie?**

- **To nie ma teraz nic do rzeczy.**

- **A co ma?**

- **Fakt, że spędziłem popołudnie na platformie sypialnej z Mamelon.**

- **Idiota.**

- **Dziwka.**

- **Impotent!**

- **Bezpłodna!**

- **Smoluch!**

- **Dosyć - przerywa Jason. - Zaczekaj. Czemu poszłaś do Siegmunda?**

- **Żeby zrobić ci na złość - przyznaje Micaela. - Bo on wie, jak zatroszczyć się o karierę, a ty nie. Chciałam wytrącić cię z równowagi, poruszyć.**

- **I dlatego pogwałciłaś zwyczaj, lunatykując bezczelnie w biały dzień i sama wybierając faceta. Nieladnie, Micaelo. Mógłbym dodać: zupełnie nie po kobiecemu.**

- **No to jest po równo: męska żona i zniewieściały mąż.**

- Łatwo ci przychodzi obrażać, prawda?

- A czemu ty poszedłeś do Mamelon?

- Żeby cię rozzłościć i odplacić za Siegmunda. Nie chodzi o to, że pozwoliłaś mu się pokryć. Takie rzeczy są czymś naturalnym. Ale twoje *motywy*. Użyłaś seksu jak broni. Celowo złamałaś zwyczaj. Chciałaś mnie dotknąć. To było podle, Micaelo.

- A *twoje* motywy? Seks jako narzędzie zemsty? Lunatykowanie ma niwelować napięcia, a nie je stwarzać. Pora dnia nie ma tu nic do rzeczy. Chcesz Mamelon, rozumiem - to śliczna dziewczyna. Ale przyjść do domu i chępić się tym, jakbyś myślał, że obchodzi mnie, w którą szparę wkładasz...

- Nie musisz być wulgarna, Micaelo.

- No proszę! Słuchajcie! Moralista się znalazł! Purytanin! Dzieci zaczynają popłakiwać. Pierwszy raz słyszą, jak ktoś krzyczy. Nie odwracając się, Micaela uspokaja je gestem.

- Ja przynajmniej *mam* jakąś moralność - mówi Jason. -Może opowiesz mi o sobie i twoim braciszku Michaelu?

- A to co znowu?

- Zaprzeczasz, że cię pokrywał?

- W dzieciństwie owszem, parę razy - odpowiada, rumieniąc się. -1  
co z tego? Ty nigdy nie wkładałeś go siostrze?

- Nie chodzi o dzieciństwo. Robicie to do dzisiaj.

- Chyba zwariowałeś, Jasonie.

- Więc zaprzeczasz?

- Ostatni raz dotknął mnie z dziesięć lat temu. Osobiście nie widziałabym w tym nic złego, tyle że - nic takiego nie robimy. Och, Jasonie, Jasonie. Tyle czasu nurzałeś się w tych antycznych szpargałach, aż zrobiłeś się kompletnie dwudziestowieczny. Jesteś zazdrosny.

Uprzedzony do kazirodztwa. Gryzie cię, czy przestrzegam zasady zostawiania inicjatywy mężczyznom. A ty sam, z twoim lunatykowaniem w Warszawie? Czy nie mamy też zwyczaju, by poprzestać na swoim mieście? Stosujesz podwójne reguły? Ty robisz, co chcesz, a ja mam przestrzegać zwyczajów, tak? To zamartwianie się Siegmundem, Michaeliem... Jesteś zazdrosny, Jasonie. *Zazdrosny*. Odczuwasz coś, co wypleniliśmy półtora wieku temu!

- A ty jesteś karierowiczką. Niedoszłą intrygantką. Szanghaj to dla ciebie za mało, chcesz do Louisville. Cóż, Micaelo ambicja jest tak samo staroświecka. Poza tym to ty rozpętałaś tę całą szopkę z seksem jako argumentem, który ma dać przewagę w dyskusji. Ty pierwsza poleciałaś do Siegmunda i nie omieszkałaś mi o tym powiedzieć. Nazywasz mnie purytaninem? To ty jesteś zacofana. Pełno w tobie przedmonadalnej moralności, Micaelo.

- Nawet jeśli to prawda, to nauczyłam się jej od ciebie -krzyczy.

- Na odwrót: to ja zaraziłam się od ciebie. To ty roznosisz truciznę!

Ty...

Otwierają się drzwi i do środka zagląda mężczyzna. Charles Mattern z siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego. Gładki, wygadany socjokomputator. Jason współpracował z nim przy paru naukowych

projektach. Najwyraźniej słyszał ich niebłogosławienną burdę, bo stoi z niezadowoloną i pełną zakłopotania miną.

- Szczęść boże - odzywa się miękko. - Lunatykuję i pomyślałem sobie...

- Nie - wrzeszczy Micaela. - Nie teraz! Wyjdź! Mattern demonstruje, jak bardzo jest wstrząśnięty. Chce coś powiedzieć, ale w końcu potrząsa tylko głową i wycofuje się za drzwi, mamrocząc przeprosiny za najście nie w porę.

Jason jest przerażony. Odprawiała prawowitego lunatyka?

Wyrzuciła go z mieszkalni?

- Ty dzikusko! - krzyczy i uderza ją w twarz. - Jak mogłaś zrobić coś takiego?

Micaela odskakuje do tyłu, trąc policzek.

- Dzikuska? Ja? To ja biję? Mogłabym posłać cię do zsuwni za...

- Nie, to ja mógłbym kazać wrzucić tam ciebie za... Nie kończy zdania. Oboje milkną.

- Nie powinnaś była tak wypraszać Matterna - mówi spokojnie

Jason trochę później.

- A ty nie powinienesz był mnie uderzyć.

- Zupełnie wyszedłem z nerwów. Łamanie zwyczajów ma swoje granice. Jeżeli on to zgłosi...

- Nie zrobi tego. Słyszał, jak się kłóciliśmy, i widział, że po prostu nie byłam wtedy w stanie mu się oddać.

- Sprzeczką sprzeczką - ciągnie Jason - ale żeby tak się wydzierać. I

to oboje. W najlepszym razie mogliby nas za to wysłać do inżynierów moralnych.

- Załagodzę sprawę z Matternem. Zdaj się na mnie. Ściągnę go tu z powrotem i wszystko wytłumaczę, a potem będzie miał krycie swojego życia. - Śmieje się ciepło. -Ty durny nonszalancie.

W jej głosie słycać czulość.

- Nasze wrzaski wysterylizowały pewnie pół piętra. I po co to było, Jasonie?

- Chciałem tylko, abyś zrozumiała parę rzeczy o samej sobie. Ta twoja kompletnie archaiczna natura, Micaelo. Gdybyś tylko umiała spojrzeć na siebie obiektywnie, zobaczyłabyś, jakie niskie pobudki kierowały tobą ostatnio - nie chcę zaczynać nowej awantury, próbuję tylko wyjaśnić ci kilka spraw...

- A twoje pobudki, Jasonie? Jesteś tak samo staroświecki jak ja.

Para zacofańców. Mamy głowy pełne odruchów prymitywnej moralności.

Źle mówię? Nie widzisz tego?

Jason odchodzi od żony. Stojąc tyłem do niej, wymacuje palcami wbudowany w ścianę przy splukiwaczu pocieracz i pozwala, by spłynął do niego nadmiar jego własnego napięcia.

- Masz rację. Z wierzchu warstewka monadalnej oglady, ale pod spodem - zazdrość, zawiść, zaborczość...

- Właśnie.

- Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza dla mojej pracy? -Stać go już na krótki chichot. - Dla mojej teorii, że dobór naturalny stworzył w

miastowcach nowy gatunek człowieka? Jeśli to prawda, to *ja* do niego nie należę. Ani *ty*. *Inni* może tak, przynajmniej niektórzy. Ale ilu? Ilu, tak naprawdę?

Micaela podchodzi i opiera się o niego. Jason czuje na plecach jej sutki, twarde i łaskoczące.

- Pewnie większość - odpowiada mu żona. - Twoja teoria nie musi wcale być niesłuszna. To my jesteśmy źli. Niedzisiejsi.

- Otóż to.

- Wyrzutki z gorszej epoki.

- Właśnie.

- Więc przestańmy się nawzajem zadręczać, Jasonie. Musimy się lepiej maskować. Zgadzasz się ze mną?

-

Tak.

Inaczej

oboje

skończymy

w

zsuwni.

Jesteśmy

niebłogosławienni do szpiku kości, Micaelo.

- Oboje.

- Zgadza się.

Odwraca się i obejmuje ją ramionami. Mruga do niej, a ona

odmrukuje.

- Mściwy barbarzyńca - mówi Micaela z czułością.

- Zawzięta dzikuska - szepcze Jason i całuje ją w koniec ucha.

Osuwają się na platformę sypialną. Lunatycy będą musieli poczekać.

Jason nigdy nie kochał jej mocniej niż w tej chwili.

V

Siegmund Kluver wciąż jeszcze czuje się w Louisville jak mały chłopiec. Trudno mu przekonać samego siebie, że naprawdę ma tam czego szukać. Obcy, grasujący na cudzym terenie. Nielegalny intruz.

Jadąc na górę, do miasta panów monady, czuje, jak ogarnia go dziwne, chłopięce onieśmienie; musi wkładać wiele wysiłku w ukrywanie go.

Wiecznie przyłapuje się na przemożnej chęci zerkania nerwowo na boki w poszukiwaniu patrolu, który będzie chciał go zatrzymać. Sroga i krzepka postać, zagrządzająca przestronny korytarz. Czego to szukasz, synu? Tu nie wolno włóczyć się ot tak sobie. Louisville jest dla administratorów, nie wiesz o tym? A Siegmund, zaczerwieniony jak burak, wymamle jakieś przeprosiny i rzuci się pędem do szybociągu, aby zjechać na dół.

Bardzo się stara, by to głupie uczucie zażenowania nie wyszło na jaw. Wie, jak bardzo nie pasuje ono do jego publicznego wizerunku.

Siegmund równy gość. Siegmund dziecko szczęścia, któremu już od urodzenia było pisane Louisville. Siegmund zawołany jebur, którego żądę zaspokajają najpiękniejsze mieszkanki Miastowca 116.



Gdyby tylko się domyślali, jaki bezbronny chłopczyk kryje się pod tym wszystkim. Słaby, nieśmiały Siegmundzik, przerażony, że wspina się zbyt szybko; przepraszający samego siebie za swój sukces. Siegmund pokorny. Siegmund niepewny.

A może to też tylko poza? Czasem myśli, że ten schowany, prywatny Siegmund to też jedynie fasada, którą wznosił, by móc polubić siebie, a ta powłoka nieśmiałości gdzieś w głębi, pod sobą, kryje prawdziwego

Siegmunda,

w

każdym

calu

tak

twardego,

zarozumiałego

i

przeskakującego szczeble kariery, jak ten, którego zna świat.

Ostatnio już prawie co rano jeździ do Louisville. Wzywają go jako konsultanta. Niektóre grube ryby upatrzyły go sobie nawet na ulubieńca -

Lewis Holston, Nissim Shawke, Kipling Freehouse, wszyscy z

najwyższych kręgów władzy. Siegmund wie, że wysługują się nim,

zrzucając na niego najgorsze, najnudniejsze prace, którymi nie mają

ochoty zająć się osobiście. Grają na jego ambicjach. Siegmundzie, trzeba

napisać sprawozdanie o statystyce mobilności klasy robotniczej.

Siegmundzie, ulóż tabelę równowagi hormonalnej w środkowych mia-

stach. Siegmundzie, jaki współczynnik utylizacji odpadów mamy w tym miesiącu? Siegmundzie to, Siegmundzie tamto. Ale on też ich wykorzystuje. W miarę jak zaczynają przyzwyczajać się, że wyręcza ich w myśleniu, Siegmund szybko robi się niezastąpiony. Nie ulega wątpliwości: jeszcze rok, dwa i będą musieli poprosić go, by przeprowadził się na wyższy poziom. Być może przeniosą go najpierw do Toledo albo Paryża, lecz najprawdopodobniej, gdy tylko zwolni się jakieś miejsce, wezmą go prosto do Louisville. Louisville przed dwudziestką!

Czy ktoś przed nim tego dokonał?

Być może do tego czasu będzie już czuł się swobodnie , wśród członków klasy rządzącej.

Czuje, jak śmieją się z niego w duchu. Są na szczycie od tak dawna, że zapomnieli już, iż inni nadal z wysiłkiem pną się w górę. Taki Siegmund musi wydawać im się komiczny: gorliwy, namolny karierowicz, którego aż skręca, aby się wspiąć do ich poziomu. Tolerują go, bo jest zdolny - kto wie, czy nie bardziej aniżeli większość z nich - lecz go nie szanują. Mają go za głupca, skoro tak mocno pożąda tego, czym oni zdążyli się już znudzić.

Taki Nissim Shawke, na przykład. Jedna z dwu czy trzech najważniejszych figur w miastowcu. (Kto jest *najważniejszy* -tego nawet Siegmund nie wie. Na samych wyżynach władza staje się nieuchwytną abstrakcją; w pewnym sensie każdy w Louisville włada niepodzielnie całą budowlą, z drugiej strony, wydaje się, że nie włada nią nikt.) Zdaniem Siegmunda, Shawke musi mieć około sześćdziesiątki, ale wygląda

znacznie młodziej. Szczupły, atletyczny mężczyzna o oliwkowej cerze i chłodnych oczach, emanujący fizyczną siłą. Przezorny, czujny - ma wielką moc oddziaływania. Sprawia wrażenie niezwykle dynamicznego, o niewyczerpanych zasobach energii. Jednak, o ile Siegmund się orientuje, tak naprawdę nie kiwa nawet palcem. Wszystkie sprawy rządowe przekazuje podwładnym, przemykając przez swoje liczne gabinety na czubku miastowca, jak gdyby problemy budowli były zwykłą iluzją. Po co ma się wysilać? On zdobył już szczyt. Może nabierać wszystkich - wszystkich oprócz Siegmunda. Shawke nie musi już *działać*, wystarczy, że *jest*. Teraz on odmierza czas i korzysta z uroków swojej pozycji. Rozsiadł się niczym renesansowy książę, a jedno jego słowo może wrzucić do zsuwni niemal każdego. Jedna notatka skreślona jego ręką jest w stanie odmienić wiele najtrwalszych tendencji w prowadzonej w monadzie polityce. Mimo to Shawke nie wymyśla nowych programów, nie utracą żadnych propozycji, nie wychodzi naprzeciw żadnym wyzwaniom. Mieć taką władzę i nie korzystać z niej - dla Siegmunda to jak kpina z samej idei rządzenia.

Bierność, jaką przejawia Shawke, jest jak zamierzona pogarda dla wartości,

które

Siegmund

wyznaje.

Sardoniczny

uśmieszek

administratora szydzi z wszelkiej ambicji. Kwestionuje, że służba

społeczeństwu to jakakolwiek zasługa. Jestem tu, wydaje się mówić  
każdym gestem, i to mi wystarcza; niech miastowiec sam troszczy się o  
siebie; tylko idiota może z własnej woli brać na siebie brzemię  
obowiązków. Siegmund, rwący się do władzy, czuje, jak pod wpływem  
postawy *zarządcy* jego duszę zaczyna toczyć robak niepewności. A jeżeli  
Shawke ma rację? Jeśli zajmując jego miejsce za jakieś piętnaście lat,  
przekonam się, że to wszystko nie było warte zachodu? Nie, to  
niemożliwe. Shawke jest po prostu chory. Jego dusza jest pusta. Życie  
musi mieć sens, a służba społeczeństwu właśnie mu go nadaje. Mam  
zdolności, by *rządzić* moimi rodakami; zdradziłbym ludzkość i siebie,  
gdybym wykręcał się od tego, co jest moim powołaniem. Nissim Shawke  
myli się i żal mi go.

Tylko czemu tak się kurczę, kiedy patrzę mu w oczy?

Shawke ma córkę, Rheę, która mieszka w Toledo, na 900 piętrze, i  
jest żoną Paola - syna Kiplinga Freehouse'a. Członkowie rodów z  
Louisville bardzo często żenią się między sobą. Dzieci administratorów  
zazwyczaj nie mieszkają w Louisville - to miasto jest zarezerwowane dla  
tych, którzy naprawdę rządzą. Ich latorośle, o ile same nie zostaną  
zarządcami, przeważnie osiedlają się w Paryżu lub Toledo, położonych  
bezpośrednio pod Louisville. Jako potomstwo możnych tworzą tam  
uprzywilejowaną kastę. Siegmund bardzo często lunatykuje właśnie w  
tych dwu miastach, a Rhea Shawke to jedna z jego ulubienic.

Jest od niego o dziesięć lat starsza. Po ojcu odziedziczyła prężne i  
muskularne ciało: smukła, trochę męska sylwetka, nieduże piersi i

**plaskie pośladki - wszystko solidnie umięśnione. Ma ciemną cerę, ostry, lecz kształtny nos i oczy błyszczące wewnętrznym rozbawieniem. Jest matką zaledwie trójki dzieci. Siegmund nie wie, czemu jej rodzina jest tak nieliczna. Bystra i rozumna - Rhea jest zawsze dobrze poinformowana.**

**Ma też najbardziej biseksualne skłonności ze wszystkich jego znajomych.**

**Jak Siegmund wie, z mężczyznami jest namiętna jak dzika kotka, ale opowiadała mu również o przyjemności, jaką daje jej kochanie się z kobietami. Wśród jej podbojów jest żona Siegmunda, Mamelon, która, jego zdaniem, jest pod wieloma względami młodszą wersją Rhei. Może właśnie dlatego córka Shawke'a tak go pociąga - łącząc w sobie wszystko to, co najciekawsze w jej ojcu i w Mamelon.**

**Siegmund bardzo wcześnie osiągnął seksualną dojrzałość. Swoje pierwsze erotyczne eksperymenty robił już jako siedmiolatek - dwa lata wcześniej niż wynosi średnia w miastowcu. Nim skończył dziewięć lat, był już dobrze obeznany z techniką stosunku i tradycyjnie dostawał najwyższe oceny na zajęciach z kontaktów fizycznych - przedmiotu, który szedł mu tak dobrze, iż pozwolono mu przeskoczyć do klasy jedenastolatków. Zaczął dojrzewać płciowo, gdy miał dziesięć lat; skończywszy dwanaście, ożenił się z ponad rok od niego starszą Mamelon. Szybko uczynił ją ciężarną i Kluverowie mogli wyprowadzić się z chicagowskiego dormitorium dla nowożeńców do własnej mieszkalni w Szanghaju. Seks zawsze był dla niego przyjemnością samą w sobie, ale dopiero niedawno zaczął uświadamiać sobie jego rolę w kształtowaniu charakteru.**

Siegmund bardzo aktywnie lunatykuje. Młode kobiety nudzą go - zdecydowanie woli te po dwudziestce, takie jak Principessa Mattern i Micaela Quevedo z Szanghaju. Albo Rhea Freehouse. Doświadczone kochanki są w łóżku znacznie lepsze niż większość podlotków, ale nie to jest dla niego najważniejsze. Koniec końców wszystkie szparki są dość podobne i uganianie się za nimi dla samej nowości już dawno przestało go interesować. W tym względzie Mamelon w zupełności zaspokaja wszystkie jego potrzeby. Chodzi o to, że czuje, jak wiele starsze partnerki uczą go o świecie, w jakiś tajemniczy sposób dzieląc się z nim własnym doświadczeniem. To dzięki nim wnika delikatnie w meandry dorosłego życia, z jego kryzysami, konfliktami i radościami, poznając głębię ludzkiej osobowości. Siegmund uwielbia się uczyć. Jest przekonany, iż jego własna dojrzałość bierze się z rozległych erotycznych kontaktów, jakie łączą go ze starszymi od niego kobietami.

Mamelon powiedziała mu, iż większość ludzi w monadzie jest przekonana, że Siegmund lunatykuje już w samym Louisville. Szczerze mówiąc, prawda wygląda inaczej. Jeszcze nigdy się na to nie ośmielił. Są tam, na szczycie, kobiety, które go pociągają - trzydziestki, czterdziestki, a nawet parę młodszych - na przykład druga żona Nissima Shawke'a, niedużo starsza od Rhei. Ale pewność siebie, dzięki której wydaje się taki nieprzystępny tym, które nie przewyższają go statusem, znika na samą myśl, że mógłby pokryć żonę administratora. Według niego wystarczająco śmiało poczyną sobie, zapuszczając się z Szanghaju do mieszkańek Toledo czy Paryża. Ale do Louisville? Załóżmy, że idzie do łóżka z taką

żoną Shawke'a i na to wchodzi we własnej osobie *zarządca*: uśmiecha się zimno, pozdrawia go i częstuje czarką z odlotyną - witaj, Siegmundzie, mam nadzieję, że dobrze się bawisz. Nie. Może za jakieś pięć lat, kiedy już sam będzie mieszkał w Louisville, ale teraz jeszcze na to za wcześnie. I tak ma przecież Rheę Shawke Freehouse i jeszcze parę innych o podobnej pozycji. Nieźle, jak na początek.

Zbytkownie urządzony gabinet Nissima Shawke'a. W Louisville

mogą

pozwoić

sobie

na

niezagospodarowaną

przeźnię.

W

pomieszczeniu nie ma biurka: administrator pracuje, jeśli akurat ma coś do roboty, spoczywając w antygravitacyjnej sieci rozpostartej na kształt hamaka przy szerokim, błyszczącym oknie. Jest środek poranka i słońce stoi już wysoko na niebie. Z gabinetu roztacza się oszalamiający widok na sąsiednie miastowce. Siegmund wchodzi właśnie, otrzymawszy przed pięcioma minutami wezwanie od Shawke'a. Od razu czuje się niezręcznie, napotyka chłodne spojrzenie zarządcy. Stara się nie wyglądać zbyt pokornie i służalczo, ani tym bardziej - nazbyt defensywnie i wrogo.

- Bliżej - nakazuje Shawke.

Jego stały rytuał. Siegmund musi przejść przez ogromny pokój i

stanać praktycznie twarzą w twarz z administratorem. Kpina z prawdziwej zażyłości: zamiast kazać Siegmundowi zachować dystans, jaki przystoi podwładnym, zmusza go do podejścia tak blisko, że chłopak nie ma szans wytrzymać spojrzenia Shawke'a. Obraz rozplywa się od bolesnego napięcia galek ocznych. Wzrok Siegmunda traci ostrość i rysy starszego mężczyzny ulegają zniekształceniu. Od niechcienia, ledwo słyszalnym głosem, Shawke zwraca się do niego, rzucając mu kostkę z danymi:

- Zajmij się tym, dobrze?

Wyjaśnia, że to petycja komitetu obywatelskiego z Chicago, który prosi o złagodzenie restrykcji dotyczących proporcji płci w monadzie.

- Chcą większej swobody wyboru płci swoich dzieci - mówi Shawke.

- Twierdzą, że aktualne przepisy bez racjonalnej potrzeby ograniczają wolność jednostki i są ogólnie niebłogosławienne. Później odtworzysz to sobie ze szczegółami. Co ty na to, Siegmundzie?

Młodzieniec przelatuje w pamięci teoretyczne wiadomości, jakie ma na temat proporcji płci. Nie za dużo tego. Zda się na intuicję. Jakiego typu rady oczekuje od niego Shawke? Zwykle lubi słyszeć, aby zostawić sprawy takimi, jakie są. Już się robi. Ale *zaraz*, jeśli tak szybko oceni zasady regulacji płci, administrator może posądzić go o umyślone lenistwo.

Siegmund improwizuje naprędce. Ma duży talent do pojmowania w lot logiki zarządzania miastowcem.

- Moim zdaniem - odzywa się - powinniśmy odrzucić tę prośbę.

- Dobrze. A dlaczego?



- Główny kierunek rozwoju monady ma prowadzić do stabilności i przewidywalności, eliminując wszelką przypadkowość. Miastowca nie stać na fizyczną ekspansję; dysponujemy zbyt mało elastycznymi środkami, aby poradzić sobie z niekontrolowaną nadwyżką ludności.

Dlatego program uporządkowanej ewolucji to sprawa najważniejsza.

Shawke lodowato patrzy na niego z ukosa i mówi:

- Wybacz nieprzyzwoitość, ale dla mnie brzmisz dokładnie jak agitator ograniczania urodzin.

- Nie! - wyrzuca z siebie Siegmund. - Szczęść boże, bynajmniej!

Oczywiście musimy bronić powszechnej prokreacji!

Shawke znów śmieje się z niego bezgłośnie. Zarzuca przynętę, prowokuje. Dostarczanie pożywki tkwiącej w nim iskrze sadyzmu to jego główna życiowa uciecha.

- Chodziło mi o to - ciągnie uparcie Siegmund - że nawet w społeczeństwie, które propaguje nieskrępowaną rozrodczość, musimy narzucić jakiś system kontroli i regulacji, by zapobiegać destabilizującym i niszczycielskim procesom. Jeżeli pozwolimy rodzicom na własną rękę wybierać płeć dziecka, możemy, przykładowo, doprowadzić do przyjścia na świat pokolenia, składającego się w sześćdziesięciu pięciu procentach z mężczyzn i w trzydziestu pięciu z kobiet; albo odwrotnie - w *zależności* od kaprysu i zachcianek ludności. Gdyby dopuścić do czegoś takiego, jak rozwiązalibyśmy problem nadwyżki, dla której nie ma partnerów? Dokąd byśmy ich wysłali? Powiedzmy: jakieś piętnaście tysięcy mężczyzn w tym samym wieku, bez szans na stałą towarzyszkę. Z jakimi potwornie

**niebłogosławiennymi tarciami społecznymi mielibyśmy do czynienia -  
proszę wyobrazić sobie tę epidemię gwałtów! - nie mówiąc już o tym, że  
bezpowrotnie zmarnowałby się potencjał genetyczny tych wszystkich  
ludzi. Powstałoby zjawisko niezdrowej rywalizacji. Mogłoby dojść do  
wskrzeszenia  
archaicznych  
zwyczajów,  
takich  
jak  
prostyucja,  
powstałych, aby zaspokajać seksualne potrzeby samotnych. Oczywiście  
konsekwencje niezrównoważonej proporcji płci w przyszłym pokoleniu  
są tak poważne, że...**

**- Z pewnością - mówi, przeciągając zgłoski, Shawke, który nie  
próbuje nawet zamaskować znużenia.**

**Lecz Siegmunda, rozpędzonego w snuciu hipotez, nie tak łatwo jest  
zatrzymać:**

**- Dlatego swoboda wyboru płci dziecka byłaby nawet gorsza niż  
brak systemu regulacji płci w ogóle. W czasach średniowiecza  
wskaźnikiem proporcji płci rządziły przypadkowe czynniki biologiczne, a  
i tak w naturalny sposób utrzymywał się w okolicy równego podziału pól  
na pól, z wyjątkiem ingerencji czynników nietypowych, takich jak wojna  
czy emigracja, które w żadnym razie nas nie dotyczą. Jednak skoro  
*potrafimy już kontrolować proporcje płci w naszym społeczeństwie, to w***

żadnym razie nie powinniśmy pozwolić obywatelom na samowolne, całkowite zniszczenie tej równowagi. Nie stać nas na podjęcie ryzyka, by w danym roku całemu miastu zachciało się rodzić, powiedzmy, same dziewczynki - a znane są przypadki o wiele dziwniejjszych zbiorowych fanaberii. Co innego, jeżeli kierując się współczuciem udzielimy zgody jakiemuś pojedynczemu małżeństwu, które prosi na przykład, by ich następną pociecha była dziewczynką, ale każde takie zezwolenie musi być zrekompensowane gdzie indziej w mieście, tak aby średni stosunek płci utrzymywał się zawsze na pożądanym przez nas poziomie pięćdziesiąt do pięćdziesięciu, nawet za cenę drobnej niewygody i zmartwienia niektórych obywateli. Toteż zalecałbym kontynuowanie naszej obecnej polityki luźnej kontroli proporcji płci, zachowując ustalone parametry wolnego wyboru, lecz nade wszystko działając zgodnie z naszym nadrzędnym założeniem, iż dobro monady jako całości musi być zawsze...

- Szczęść boże, Siegmundzie, wystarczy.

- Słucham?

- Przedstawiłeś już swój punkt widzenia. Trajkoczesz jak nakręcony. Chciałem usłyszeć twoje zdanie, a nie traktat naukowy.

Siegmund czuje się starty na miazgę. Postępuje w tył, niezdolny z tak bliska znieść kamiennego, pogardliwego spojrzenia zarządcy.

- Tak, sir - mamrocze. - Wobec tego, co mam zrobić z kostką?

- Zredaguj odpowiedź w moim imieniu. Mniej więcej tej samej treści, co twoja pogadanka, tylko trochę podszlifowaną - dodaj kilka ozdobników,

**podeprzyj**

**się**

**paroma**

**naukowymi**

**autorytetami.**

**Porozmawiaj z socjokomputatorem, niech da ci z tuzin przekonywających**

**argumentów, że swobodny wybór płci może zakłócić równowagę. Złap też**

**jakiegoś historyka i poproś o dane ilustrujące, co stało się ze**

**społeczeństwem ostatnim razem, gdy pozwolono na swobodne**

**kształtowanie się wskaźnika proporcji płci. Całość ubierz w formę apelu**

**do ich obywatelskiej lojalności wobec wyższej potrzeby. Wszystko jasne?**

**- Tak, sir.**

**- I daj im do zrozumienia, tylko bez dosłownych sformułowań, że**

**ich petycja została odrzucona.**

**- Napiszę, że przekazaliśmy ją do rozpatrzenia wysokiej radzie.**

**- Świetnie - chwali Shawke. - Hę czasu ci to zajmie?**

**- Powiniennem zdążyć do jutra po południu.**

**- Powiedzmy: trzy dni. Nie ma pośpiechu. Administrator odprawia**

**go gestem. Kiedy Siegmund wychodzi, Shawke mruga do niego z**

**okrucieństwem i mówi:**

**- Ucałowania od Rhei.**

**- Nie rozumiem, czemu on mnie tak traktuje - odzywa się Siegmund,**

**starając się, by jego głos nie brzmiał płaczliwie. -Dla każdego jest taki?**

**Leży obok Rhei Freehouse. Oboje są nadzy, ale tego wieczoru**

jeszcze się nie kochali. W górze wije się, przybierając coraz to inne kształty, świetlny wzór - nowa rzeźba Rhei, kupiona tego samego dnia od jakiegoś artysty z San Francisco. Siegmund trzyma rękę na lewej piersi dziewczyny. Twardy, drobny wznórek ciała - sam mięsień piersiowy i tkanka sutkowa, praktycznie żadnego tłuszczu. Dotyka kciukiem brodawki.

- Tata ma o tobie bardzo wysokie mniemanie.

- Okazuje to w dziwny sposób. Bawi się mną, prawie kpi w żywe oczy. Uważa, że jestem bardzo śmieszny.

- Ubzdurałeś to sobie, Siegmundzie.

- Nie, tak jest naprawdę. Cóż, chyba nawet nie można mieć mu tego za złe. Jemu rzeczywiście muszę wydawać się zabawny. Biorę na serio problemy życia w miastowcu. Wygłaszam przydługie teoretyczne wykłady. Jego to wszystko już mało obchodzi. Nie oczekuję, że sześćdziesięciolatek będzie tak samo oddany swojej pracy, jak wtedy, gdy był o połowę młodszy. Jednak przez to jego zachowanie czuję się jak skończony osioł, kiedy sam się tak angażuję. Jak gdyby w każdym, kto naprawdę przejmuje się sprawami rządzenia, było coś dziecinnie głupiego.

- Nie przypuszczałam, że tak nisko go oceniasz - mówi Rhea.

- Tylko dlatego, że tak mało wykorzystuje swoje zdolności. Mógłby być naprawdę wielkim przywódcą. Zamiast tego siedzi sobie i kpi ze wszystkiego.

Rhea odwraca się do niego z poważnym wyrazem twarzy.

- Mylisz się co do niego, Siegmundzie. Dobro społeczeństwa leży mu na sercu tak samo jak tobie. Jego sposób bycia zwiódł cię tak bardzo, że nie zauważasz, jak pracowitym jest administratorem.

- Podaj mi chociaż jeden przykład jego...

- Bardzo często - ciągnie wątek Rhea - przypisujemy innym ludziom nasze własne ukryte i stłumione poglądy. Jeżeli sami jesteśmy w głębi duszy przekonani, że coś jest trywialne czy bezwartościowe, z oburzeniem zarzucamy taką postawę innym. Jeśli sami mamy wątpliwości, czy rzeczywiście podchodzimy do naszych obowiązków z taką sumiennością i oddaniem, jak to głośno przedstawiamy, narzekamy, jacy to próżniacy z innych. W twoim gorliwym poświęceniu sprawom zarządzania, Siegmundzie, może być więcej z żądzы przeskakiwania kolejnych szczebli kariery niż prawdziwej troski o innych. Twoje poczucie winy z powodu wybujałych ambicji jest tak duże, że wydaje ci się, iż inni myślą o tobie w takich samych kategoriach, jak ty sam.

- Dosyć! Kategorycznie zaprzeczam tym...

- Daj spokój, Siegmundzie. Nie mówię tego, aby cię poniżyć. Próbuję tylko podsunąć ci ewentualne wytłumaczenie twoich kłopotów w Louisville. Jeżeli wolisz, bym przestała...

- Nie. Mów dalej.

- Powiem tylko jeszcze jedno, choć potem być może znienawidzisz mnie za to. Jak na pozycję, jaką zajmujesz, Siegmundzie, jesteś straszliwie młody. Wszyscy wiedzą, że jesteś piekielnie zdolny i w pełni *zasługujesz* na to, aby prędko znaleźć się w Louisville, ale na razie sam

**jesteś zakłopotany szybkością, z jaką wspinasz się na szczyt. Próbujesz to ukryć, ale mnie nie oszukasz. Boisz się, że ludzi może oburzać twój sukces - czasami myślisz, że nawet niektórzy z tych, którzy wciąż jeszcze stoją wyżej od ciebie, mogą czuć się dotknięci. Więc jesteś zakłopotany.**

**Reagujesz nadwrażliwością. Niewinne ludzkie reakcje interpretujesz jako najgorsze, największe zło.**

**Na  
twoim  
miejscu,  
Siegmondzie,**

**wyluzowałabym się i postarała przyjemniej spędzać czas. Nie przejmuj się tym, co ludzie o tobie myślą, albo wydaje ci się, że myślą. Nie obwiniaj się za to, że robisz karierę - twoim przeznaczeniem jest osiągnąć szczyt, to ci nie ucieknie, więc wolno ci trochę poproznować, a nie tylko stale łamać sobie głowę nad teoriami zarządzania monadą. Spróbuj być bardziej na luzie. Mniej służbowy i nie tak nachalnie przejęty własną karierą.**

**Przyjaźnij się więcej z rówieśnikami - ceń ludzi dla nich samych, a nie tylko za to, jak daleko mogą pomóc ci zajść. Chłoń ludzką naturę, pracuj nad tym, by samemu stać się bardziej ludzki. Pokręć się trochę po całym miastowcu, wybierz się czasem polunatykować w Pradze albo w Warszawie. To nietypowe, ale nie zakazane, i powinno wytrząsnąć z ciebie przynajmniej trochę tej sztywności. Zobacz, o ile prościej żyją inni**

**ludzie. Zgadzasz się chociaż trochę z tym, co powiedziałam?**

**Siegmund milczy.**

**- Trochę - odzywa się w końcu. - Bardziej niż trochę.**

**- To dobrze.**

**- Jestem poruszony. Nigdy przedtem nikt tak do mnie nie mówił.**

**- Gniewasz się na mnie?**

**- Nie. Skądże.**

**Rhea delikatnie wodzi opuszkami palców wzdłuż krawędzi jego**

**brody.**

**- Więc może zechciałbyś mnie wreszcie pokryć? Niezbyt odpowiada**

**mi rola inżyniera moralnego, kiedy leżę z kimś na platformie.**

**Myśli Siegmunda krążą wokół jej słów. Czuje się upokorzony, ale**

**nie odbiera ich jako zniewagi, bo większość z tego, co powiedziała,**

**wygląda na prawdę. Pochłonięty analizą samego siebie, odwraca się do**

**niej mechanicznie i, pieszcząc jej piersi, mości się między rozwartymi**

**udami. Ich brzuchy przywierają do siebie. Siegmund próbuje zrobić**

**swoje, ale jego męskość jest całkiem bez życia; jest tak zajęty**

**roztrząsaniem konsekwencji wniknięcia Rhei w jego psychikę, że niemal**

**przegapia fakt, iż sam nie jest w stanie wniknąć w nią. W końcu dziew-**

**czyna sama uświadamia mu tę chwilową utratę wigoru, kołysząc figlarnie**

**jego zwisielcem.**

**- Nie zainteresowany? - pyta.**

**- Tylko zmęczony - kłamie Siegmund. - Szparkowanie bez kimania**

**robi z Siegmunda miękkiego w kroku.**



Rhea parska śmiechem. Bierze go do ust i członek od razu pęcznieje; to rozproszenie uwagi, nie żadne zmęczenie, zawiniło, że nie chciał mu stanąć. Podnieta, płynąca z dotyku jej ciepłych, wilgotnych warg, sprawia, iż wraca mu chęć, by bez reszty oddać się najwłaściwшему w tej chwili zajęciu. Jest gotów. Rhea otacza go swoimi giętkimi nogami. Szybkim pchnięciem nurkuje w jej szparkę. Tylko tak może odplacić przyjaciółce za jej mądrość. W tej chwili nie ma w niej już nic ze spostrzegawczej wyroczni, tak dojrzałe osądzającej ludzką naturę; Siegmund widzi normalną, leżącą pod nim kobietę. Rhea sapie i podryguje. Siegmund uczciwie ją wynagradza; pompuje niezmordowanie, doprowadzając ją do pełni rozkoszy. W oczekiwaniu na jej ekstazę, rozmyśla o tym, ile musi zmienić w swoim wizerunku publicznym. Nie będzie już pośmiewiskiem świątka Louisville. Ma dużo do zrobienia. Rhea drży właśnie u szczytu spełnienia; jeszcze jedno pchnięcie i Siegmund także kończy. Kiedy opada fala orgazmu, wysuwa się z niej, spocony i przygnębiony.

Z powrotem w domu. Dopiero niedawno minęła północ. Dwie głowy na platformie sypialnej: u Mamelon jest lunatyk. Nic w tym niezwykłego - Siegmund wie, że jego żona należy do najbardziej pożądanych kobiet w miastowcu. Całkiem zasłużenie. Stoi przy wejściu i leniwie przygląda się baraszkującym w pościeli ciałom. Mamelon wydaje namiętne westchnienia, ale dla Siegmunda jasne jest, że udaje, chcąc sprawić przyjemność niezbyt zręcznemu kochankowi. Mężczyzna stęka chrapliwie w szale końcowej rozkoszy. Siegmund czuje się jakoś mgliście urażony. Jak już

przyszedłeś do mojej żony, koleś, to chociaż zrób jej dobrze. Rozbiera się i myje pod splukiwaczem. Gdy wychodzi spod naddźwiękowego strumienia, para leży już bez ruchu skończywszy swój akt. Gość posapuje ciężko, za to oddech Mamelon jest prawie równy, co potwierdza przypuszczenie Siegmunda, że z jej strony było to tylko przedstawienie. Chrząka dyskretnie. Amator Mamelon podnosi wzrok, mrugając oczami. Jest czerwony na twarzy i wyraźnie spłoszony. Patrzcie, toż to ten nieszkodliwy facecik od Micaeli, Jason Quevedo, historyk. Mamelon nawet go lubi, choć Siegmund nie ma pojęcia, za co. Inna rzecz, której nie może pojąć, to jak Quevedo radzi sobie z taką nieposkromioną babką jak Micaela, ale to w końcu nie jego problem. Widok historyka przywodzi mu na myśl, że dobrze będzie niedługo znów wpaść do Micaeli. Poza tym, ma przecież zadanie dla Jasona.

- Czołem, Siegmundzie - wita się Quevedo, unikając jego wzroku.

Wstaje z platformy i zbiera porozrzucane części ubrania. Mamelon puszcza oczko do męża. Siegmund posyła jej całusa.

- Jedną chwilę, Jasonie - zagaja. -Miałem dzwonić do ciebie jutro, ale możemy załatwić to teraz. Chodzi o projekt - studium historyczne.

Quevedo robi wrażenie, jak gdyby marzył już tylko o opuszczeniu mieszkalni Kluverów, jednak Siegmund ciągnie dalej:

- Nissim Shawke przygotowuje odpowiedź na petycję z Chicago w sprawie ewentualnego anulowania norm ustalających współczynnik proporcji płci. Chce, bym zebrał trochę materiału, jak to wyglądało we wczesnych latach regulacji płci, kiedy rodzice sami wybierali płeć dziecka,

**nie oglądając się na resztę. Dwudziesty wiek to twoja specjalność,**

**pomyślałem więc, że może mógłbyś...**

**- Jasne, oczywiście. Zabiorę się do tego jutro w pierwszej kolejności. Skontaktuj się ze mną. - Quevedo przesuwając się chyłkiem w stronę drzwi, gotów do ucieczki.**

**- Będą potrzebne dość szczegółowe dane - mówi dalej Siegmund - wprawdzie o średniowieczu jako epoce przypadkowych narodzin, później o tym, jak kształtowały się proporcje płci, a w końcu o początkach ery regulacji. Jak już dostanę to od ciebie, chyba poproszę Matterna o prognozę socjopolitycznych następstw...**

**- Późno już, Siegmundzie - przerywa mu Mamelon. - Jason zgodził się przecież, byście porozmawiali o tym jutro rano.**

**Quevedo przytakuje skinieniem głowy. Najwyraźniej spieszo mu się ulotnić, ale obawia się wyjść, gdy Siegmund zwraca się do niego.**

**Młodzieniec uświadamia sobie, że znów zachował się jak nadgorliwiec.**

**Zmienić wizerunek. Musi zmienić wizerunek.**

**Praca nie zajac - nie ucieknie.**

**- Jasne - odzywa się. - Szczęść boże, Jasonie. Zadzwoń jutro.**

**Quevedo z wdzięcznością daje nogę. Siegmund kładzie się przy żonie.**

**- Nie widziałeś, że chciał już iść? - pyta Mamelon. - Jest tak okropnie nieśmiały.**

**- Biedny Jason - mówi Siegmund, pieszcząc jej gładki bok.**

**- U kogo byłeś dzisiaj?**

- Rhea.

- Ciekawy wieczór?

- Bardzo. I to w zupełnie nieoczekiwany sposób. Powiedziała mi, że za bardzo się staram i powinienem być bardziej na luzie.

- Mądra dziewczyna. I co ty na to?

- Chyba ma rację. - Przygasza światło. - Gdybym tylko nauczył się traktować blahostki jak blahostki, podchodzić do pracy mniej serio.

Spróbuję. Postaram się. To nie moja wina, że tak się angażuję we wszystko, co robię. Weźmy tę petycję z Chicago. Z całą pewnością nie możemy dopuścić do wolnego wyboru płci dzieci. Skutki byłyby...

- Siegmundzie - Mamelon bierze go za rękę i przeciąga nią do sklepienia swojego brzucha. - Wolałabym posłuchać tego kiedy indziej.

Pragnę cię. Mam nadzieję, że Rhea nie wycisnęła z ciebie wszystkich sił, bo tym razem Jason naprawdę nie spisał się zbyt dobrze.

- Cóż, podobno młodość nigdy nie traci krzepy.

Jasne, że da sobie radę. Całuje żonę i od razu w nią wchodzi.

- Kocham cię - mówi szeptem.

Moja żona. Jedyna, która się liczy. Żebym tylko nie zapomniał porozmawiać rano z Matternem. I z Quevedo. W każdym razie jutro po południu sprawozdanie znajdzie się na biurku zarządcy. Jak gdyby Shawke *miał* coś takiego jak biurko... Cytaty, statystyka, przypisy: układa w myślach wszystkie szczegóły raportu. Jednocześnie porusza się na Mamelon, doprowadzając ją do szybkiego i gwałtownego spełnienia. Siegmund wjeżdża na 975 piętro, gdzie mieszczą się gabinety

większości najważniejszych administratorów, takich jak

Shawke, Freehouse, Holston, Donnelly czy Stevis. Ma przy sobie

kostkę z petycją z Chicago i szkic odpowiedzi zredagowanej w imieniu

Shawke'a, w której aż roi się od cytatów i danych dostarczonych przez

Quevedo i Matterna. Przystaje na chwilę w korytarzu. Jak tu bogato. Jak

spokojnie: żadnych szkrabów płaczących się pod nogami, żadnych

tłumów zapracowanego pospólstwa. Któregoś dnia też tu zamieszkam.

Oczami wyobraźni widzi wspaniały apartament na którymś z poziomów

mieszkalnych w Louisyille: trzy, może nawet cztery pokoje, gdzie niczym

królowa bryluje jego Mamelon; Kipling Freehouse i Monroe Stevis

wpadają na kolację razem z żonami; od czasu do czasu jakiś onieśmielony

dawny przyjaciel wpada w odwiedziny z Chicago czy Szanghaju. Pemia

władzy i komfortu, odpowiedzialność i luksus - to jest to.

- Siegmund? - rozbrzmiewa z megafonu nad jego głową. -Jesteśmy

tutaj, u Kiplinga.

Głos Shawke'a. Musieli zobaczyć go na ekranach skanerów.

Natychmiast przybiera inny wyraz twarzy, zdając sobie sprawę, jak

marzycielsko i nieobecnie musiał wyglądać przed chwilą. Służbowy od

stóp do głów. Jest zły na siebie, że pozwolił sobie zapomnieć, iż mogą go

obserwować. Zwraca się w lewo i anonsuje przed gabinetem Kiplinga

Freehouse'a. Drzwi rozsuwają się.

Imponująca, owalna sala z wbudowanymi wokół oknami,

wychodzącymi na fronton Monady 117, która zwęża się ku końcowi

uwieńczonemu lądowiskiem. Siegmund jest zaskoczony ilością wysoko

postawionych urzędników zgromadzonych w pomieszczeniu. Ich władcze fizjonomie oślepiają go. Kipling Freehouse, szef urzędu projekcji danych - postawny mężczyzna z puciołowatymi policzkami i krzaczastymi brwiami. Nissim Shawke. Lodowato uprzejmy Lewis Holston, ubrany jak zwykle w krzykliwie elegancki kostium. Mały krzywulec Monroe Stevis. Donnelly. Kinsella. Yaughan. Same tuzy. Poza drobnymi wyjątkami wszyscy, którzy cokolwiek *znaczą* w monadzie. Jeden nonszalan z psychobombą, wpuszczony do tego pokoju, za jednym zamachem unieszkodliwiłby cały rząd miastowca. Co za okropny kryzys ściągnął tu wszystkich ich naraz? Skamieniały ze zgrozy Siegmund z najwyższym trudem postępuje do przodu. Cherubinek wśród archaniołów. Zabłąkany w miejscu, gdzie tworzy się historia. Może posłali po niego, bo chcą, by decyzja, jaką mają podjąć w jakiejś kluczowej kwestii, zyskała też poparcie przedstawiciela młodego pokolenia przywódców. Siegmund czuje się oszalamiająco pochlebiony taką interpretacją sytuacji. Będę w tym uczestniczył, cokolwiek to jest. Wzbierające w nim poczucie własnej ważności przygasza blask aury otaczającej zarządców; krok zbliżającego się do nich młodzieńca robi się niemal niedbale rozkołysany. W tej samej chwili Siegmund zauważa, że w gabinecie są jeszcze inne osoby, których obecność nijak nie pasuje do jego hipotezy rządowej narady na szczycie. Rhea Freehouse? Jej niemrawy mąż, Paolo? A te panienki, góra piętnasto-, szesnastoletnie, w cieniusieńkich jak pajęczyna tkaninach? Przecież to kochanki możnych -podręczne. Wszyscy wiedzą, że administratorzy z Louisville trzymają po parę dziewczyn ekstra. Tylko co

one robią tutaj? I teraz? Chichotki w przedpokoju historii? Nie ruszając się z miejsca, Nissim Shawke kiwa mu na powitanie i mówi:

- Witamy na przyjęciu. Powiedz tylko, jaki odurzacz, a na pewno się znajdzie. Dygot, ćmaga, milirozwlekacz, multiplekser - czego tylko dusza zapragnie.

Przyjęcie? Zwyczajne przyjęcie?

- Przyniosłem ten raport o proporcjach płci. Materiały historyczne, socjokomputacja...

- Do diabła z tym, Siegmundzie. Nie psuj zabawy. Zabawa?

Podchodzi do niego Rhea. Ma mętny wzrok i chwieje się na nogach - najwyraźniej pod wpływem odlotyny. Ale jej błyskotliwa inteligencja przebija nawet przez narkotyczne zamroczenie.

- Zapomniałeś, co ci mówiłam. Więcej luzu, Siegmundzie -szepcze, całując go w czubek nosa.

Odbiera od niego raport i kładzie go na biurku Freehouse'a.

Przeciąga dłońmi po policzkach młodzieńca. Ma wilgotne palce.

Siegmund nie zdziwiłby się, gdyby zostawiła mu na twarzy mokre plamy.

Wino. Krew. Albo jeszcze coś innego.

- Wszystkiego najlepszego w Dniu Fizycznego Spełnienia

- mówi do niego. - Właśnie świętujemy. Jeśli chcesz, możesz mieć mnie, którąś z dziewcząt, Paola - kogo tylko zapragniesz.

- Chichocze. - Nawet mojego ojca. Nigdy nie miałeś ochoty pokryć

Nissima Shawke'a? Rób, co ci się żywnie podoba, tylko przestań być takim ponurakiem.

- Przyszedłem oddać twojemu ojcu ważny dokument i...

- Och, wrzuć go do gniazda dostępu - mówi Rhea i zostawia go,  
wyraźnie zdegustowana.

Dzień Fizycznego Spełnienia. Zupełnie zapomniał. Za parę godzin  
rozpocznie się feta i powinien być wtedy z Mamelon. Ale jest tutaj.

Wypada mu wyjść? Patrzą na niego. Ukryć się gdzieś. Dać nura pod  
falujący, zmysłowały dywan. Nie psuj zabawy. Jego umysł wciąż jeszcze  
wypełnia treść sprawozdania, nad którym siedział rano.

*Należy wziąć pod uwagę, że losowe bądź czysto biologiczne*

*oznaczenie płci płodów prowadzi zwykle do statystycznie prze-*

*widywalnego podziału, dającego w efekcie stosunkowo prawidłowe*

*proporcje między... Wyeliminowanie czynnika przypadku rodzi*

*zagrożenie, iż... Historia dawnego miasta Tokio z okresu między 1987 a*

*1996 rokiem uczy, że odnotowany spadek liczby narodzin noworodków*

*płci żeńskiej, wywołany przez czynnik przypadkowości niemal...*

*Ryzyko zagrożenia nie znajduje przeciwwagi w... Dlatego też wskazane*

*jest, aby...*

Rozglądając się uważniej, Siegmund widzi, że cała ta feta to

właściwie orgia. Bywał już na takich imprezach, ale nigdy z udziałem tak

wysoko postawionych. Powietrze zgęstniałe od oparów. Golutki Monroe

Stavis. Przeplataniec bujnych dziewczęcych ciał.

- Nie stój tak - dudni głos Kiplinga Freehouse'a. - Baw się,

Siegmundzie. Wybierz sobie jakąś. Którą chcesz!

Śmiechy. Swawolny podłotek wciska mu w rękę kapsułkę.



Siegmund drży i pastylka spada na ziemię. Inna dziewczyna natychmiast łapie ją i połyka. Gości ciągle przybywa. Na każdym kolanie pełnego godności i elegancji Lewisa Holstona usadowiła się panienka; trzecia klęczy tuż przed nim.

- Naprawdę, Siegmundzie? - pyta Nissim Shawke. - Nie masz ochoty na nic? Biedaku. Jeśli chcesz mieszkać w Louisville, musisz umieć bawić się tak samo dobrze jak pracować.

Egzaminują go. Badają, czy będzie do nich pasował: nadaje się, aby dołączyć do elity, czy też ma zostać zwykłym wołem roboczym, urzędasem pośledniej klasy? Siegmund już widzi się na zsyłce w Rzymie. Ambicja bierze górę. Skoro umiejętność zabawy ma zapewnić mu miejsce wśród notabli, będzie się bawił. Szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Chętnie zażyję trochę dygotu - mówi.

Lepiej nie eksperymentować z czymś, czego nie zna.

- Dygot, już się robi!

Mówi się: trudno. Złotowłosa nimfetka podaje mu czarkę z dygotem. Siegmund pociąga łyk, szczypie ją i znowu pije. Musujący napój laskocze mu gardło. Trzeci haust. Nie żałuj sobie, to oni płacą! Zachęcają go okrzykami. Rhea kiwa głową z aprobatą. Po całym pokoju walają się porzucone części garderoby. Rozrywki panów. Musi tu być jakieś pół setki ludzi. Ktoś klepie go w plecy. Kipling Freehouse. Rozkrzyczany i hałaśliwie serdeczny.

- Dajesz sobie radę, chłopcze! A już się o ciebie martwiłem! Taki poważny, taki przejęty! Same zalety, ale to nie wystarczy. Pojmujesz, co

**mam na myśli? Trzeba jeszcze szczypty wesołego usposobienia. Co ty na to?**

**- Oczywiście, sir. Rozumiem to dobrze, sir.**

**Siegmund nurkuje w stos ciał. Piersi, uda, pośladki, języki.**

**Piżmowe kobiece zapachy. Fontanna doznań. Ktoś wkłada mu coś do ust.**

**Siegmund przelyka; chwilę później czuje, jak tył jego czaszki unosi się do góry. Śmiech. Ktoś go całuje. Napastniczka przypiera go do dywanu.**

**Siegmund sięga po omacku i trafia na drobne, twarde piersi. Rhea?**

**Zgadł. Jej mąż Paolo przysuwa się do niego z drugiej strony. Muzyka gra**

**ogłuszająco. W plątaniu ciał Siegmund zauważa, że pieści tę samą**

**dziewczynę, co Nissim Shawke. Zarządca mruga do niego chłodno i**

**krzywi twarz w lodowatym uśmiechu. Sprawdza, czy Siegmund potrafi**

**czерpać przyjemność. Wszyscy go obserwują, chcąc się przekonać, czy jest**

**dość dekadentki, by zasłużyć na przyjęcie do ich grona. Przestań się**

**hamować! Do diabła z ostrożnością!**

**Nagle czuje potrzebę, aby zaszaleć na całego. Tak dużo od tego**

**zależy. Pod nim są 974 wspaniałe piętra miastowca, lecz jeśli chce zostać**

**tu, na szczycie, musi pokazać, że umie się bawić. Jest rozczarowany, że**

**poznał administratorów od tej strony. Tacy wulgarni i pospolici - tani**

**hedonizm klasy rządzącej. Jak książęta Florencji, paryscy grandowie, ród**

**Borgiów albo pijani bojarzy. Nie mogą pogodzić się z takim ich**

**wizerunkiem, Siegmund tworzy iluzję: zaaranżowali tę hulankę wyłącznie**

**po to, by sprawdzić jego charakter, dowiedzieć się, czy rzeczywiście na-**

**daje się tylko na nędzne popychadło, czy też ma horyzonty dość szerokie,**

aby zostać rezydentem Louisville. Tylko dureń uwierzyłby, że zarządcy  
naprawdę marnują swój bezcenny czas na narkotyczne balangi i orgie.

Pokazują po prostu, że nie jest im obce nic, co ludzkie, że umieją cieszyć  
się życiem, oddając się z równym zapalem przyjemności, co pracy. Jeśli  
chce być jednym z nich, musi wykazać się taką samą werwą i  
wszechstronnością. Zrobi to. Udowodni im.

Jego uskrzydłony umysł wiruje, poddawany falom sprzecznych  
chemicznych impulsów.

- Zaśpiewajmy! - wrzeszczy rozpaczliwie. - Wszyscy śpiewają!

Wyrykuje słowa piosenki:

*Lunatykujesz u mnie nocą ciemną*

*Pręży się dumnie twoje berto*

*Kładziesz się chętny u mego boku*

*Chcesz, abym szybko czuła je w kroku...*

Śpiewają razem z nim. Siegmund nie słyszy własnego głosu. Za to  
widzi wpatrujące się w niego ciemne oczy.

- Szczęść boże - szemrze falująca postać wysokiej donny. - Uroczy  
jesteś. Słynny Siegmund Kluver.

Odbija jej się bąbelkami dygotu.

- Chyba już się gdzieś spotkaliśmy.

- Wydaje mi się, że tylko raz: w gabinecie Nissima. Scylla Shawke.

Żona wielkiego człowieka. Jej piękność go onieśmiela. Jest taka  
młoda. Naprawdę młoda. Nie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat. Plotka  
głosi, że pierwsza żona Shawke'a, matka Rhei, skończyła jako

**nonszalantka w zsuwni. Kiedyś pofatyguje się i sprawdzi, czy to prawda.**

**Scylla Shawke wciska się blisko niego. Jej miękkie krucze włosy są tuż nad jego twarzą. Siegmund jest prawie sparaliżowany strachem. Jakie mogą być konsekwencje? Czy wolno mu posunąć się tak daleko?**

**Lekkomyślnie przygarnia ją, nurkując dłonią pod tunikę. Kobieta wyraźnie współdziała. Pełne i ciepłe piersi. Miękkie, wilgotne wargi. Ma nie zdać egzaminu przez nadmiar rozpasania? Nieważne. Nie przejmuj się.**

**Wszystkiego najlepszego w Dniu Fizycznego Spełnienia! Ciało Scylli przywiera mocno do jego ciała i Siegmund ze zdumieniem uświadamia sobie, że mógłby pokryć ją tu i teraz, pośród falującej ciżby najwyższych dostojników, na podłodze ogromniastego gabinetu Kiplinga Freehouse'a.**

**Za dużo tego dobrego - i za szybko. Uwalnia się z jej objęć. W oczach kobiety widać krótki błysk wyrzutu i rozczarowania jego odwrotem.**

**Siegmund przekręca się w drugą stronę: Rhea.**

**- Czemu jej nie pokryłeś? - pyta go szeptem.**

**- Nie mogłem - ledwo *zdążyła* odpowiedzieć Siegmund. Jakaś**

**dziewczyna klęka tuż przed nim i, zmuszając go, by**

**usiadł, wlewa mu w gardło coś lepko-słodkiego. Wiruje mu pod czaszką.**

**- Popelnileś błąd - mówi znów Rhea. - Sami ci ją podsunęli.**

**Jej słowa pękają, a ich kawałki wylatują pod sufit na wszystkie**

**strony i dryfują w powietrzu po całym pokoju. Coś dziwnego stało się też**

**ze światłem: zrobiło się pryzmatyczne, a ze wszystkich równych**

**powierzchni sączy się niesamowity blask. Siegmund czolga się przez**

**zgiełkliwą czeredę w poszukiwaniu Scylli Shawke. Zamiast niej natyka się na Nissima.**

**- Pomówmy o chicagowskiej petycji - zwraca się do niego administrator.**

**Wiele godzin później, gdy w końcu dociera do domu, zastaje**

**Mamelon krążącą ponuro po pokoju.**

**- Gdzie się podziewałeś? - pyta stanowczo. - Dzień Fizycznego**

**Spełnienia już się prawie skończył. Szukałam cię przez gniazdo dostępu, rozesłałam poszukiwacze po całym miastowcu, dzwoniłam do...**

**- Byłem w Louisville - odpowiada Siegmund. - Na przyjęciu u**

**Kiplinga Freehouse'a.**

**Mijając żonę, potyka się i zwała twarzą w dół na platformę sypialną.**

**Wpierw słycać tylko szloch, potem pojawiają się łzy i nie zanosi się, by przestały płynąć przed końcem Dnia Fizycznego Spełnienia.**

**VI**

**Dziewiąta Brygada Obsługi Interfejsu pracuje w wąskim i wysokim**

**pasie mrocznej przestrzeni, ciągnącym się wzdłuż rdzenia instalacyjnego**

**Monady 116 między 700 a 730 piętrem. Mimo że działają na dość**

**znacznym obszarze, ich zasadnicze miejsce pracy ma głębokość niewiele**

**ponad pięć metrów: przyciasna koperta, przez którą filtry ssące wylapują**

**drobiny kurzu. Dziesięciu konserwatorów brygady tkwi w niej, upchnię-**

**tych między zewnętrzną warstwą sektorów mieszkalnych i handlowych**

**miastowca a jego ukrytym sercem - mieszczącym w sobie komputery**

**rdzeniem instalacyjnym, niczym nadzienie gigantycznej kanapki.**

**Konserwatorzy rzadko zaglądną do samego rdzenia. Pracują na jego obrzeżach, sprawując kontrolę nad pnącą się ku górze ścianą, która podtrzymuje węzły dostępu sieci głównego komputera budowli. Na każdym węźle migoczą słabo zielone i żółte lampki, nieprzerwanie przekazując informacje o sprawności niewidzialnych mechanizmów. Dziewiąta Brygada Obsługi Interfejsu jest ostateczną instancją wspierającą zespoły samoregulujących się urządzeń, które nadzorują pracę komputerów. Ilekroć przeładowanie sieci powoduje, że jakaś płytką w systemie kontrolnym obluźuje się, monterzy prędko mocują ją na miejscu, tak by mogła sprostać obciążeniu. Praca sama w sobie dość prosta, ale niezbędna dla prawidłowego funkcjonowania całego miejskiego kolosa.**

**Codziennie o pół do pierwszej, kiedy zaczyna się ich zmiana, Michael Statler razem z dziewięcioma pozostałymi członkami brygady wpełza przez luk przesłonowy na 700 piętrze w Edynburgu, przeciskając się przez wieczny mrok tunelu Interfejsu, by dojść na swoje konserwatorskie stanowisko. Następnie automatyczne fotele zawożą każdego z nich na wyznaczony poziom: Michael zaczyna zwykle od sprawdzenia węzłów między 709 a 712 piętrem. Przez resztę zmiany jeżdżą w górę i w dół Interfejsu, wszędzie tam, gdzie wystąpią usterki. Michael ma dwadzieścia trzy lata. Od jedenastu pracuje jako konserwator komputerowy w tej brygadzie i wszystkie prace, jakie wykonuje, są już dla niego czystą rutyną: stał się po prostu przedłużeniem całego systemu urządzeń. Sunąc w tę i z powrotem po złączu,**

podładowuje lub drenuje układy; zwiera, bocznikuje, rozdziela albo łączy, w zależności od potrzeb komputera, który obsługuje. Wszystkie czynności wykonuje z chłodną, bezmyślną precyzją, działając wyłącznie na zasadzie odruchów, i nie ma w tym nic karygodnego, bowiem od montera nie wymaga się myślenia - wystarczy prawidłowość działania. W piątym wieku techniki komputerowej mózg ludzki, z uwagi na swą wysoką pojemność informacyjną w przeliczeniu na centymetr sześcienny, wciąż jeszcze jest w cenie. Dobrze wyszkolona dziesięcioosobowa brygada obsługi interfejsu jest w praktyce dziesiątką takich organicznie wyhodowanych komputerowych cacek, przyłączonych do głównego zespołu. Tak więc, śledząc zmiany migoczących światełek, Michael mechanicznie reguluje wszystko, co potrzeba, a jego nie obciążone ośrodki mózgowe mogą zająć się całkiem innymi sprawami.

Podczas pracy spędza mnóstwo czasu na snuciu przeróżnych fantazji.

Marzy o wszystkich tych przedziwnych miejscach położonych na zewnątrz Monady Miejskiej 116, które zna tylko z ekranu. Oboje ze Stacion są prawdziwymi telemaniakami i prawie nigdy nie *zdarza* im się opuścić któregośkolwiek z programów podróźniczych. Wędrówki po dawnym, przedmonadalnym świecie; relikty historii, zasypane piachem ruiny. Jerozolima, Sтамбуł, Rzym. Tadź Mahal. Kikuty drapaczy chmur Nowego Jorku. Dachy londyńskich domów wystające ponad morskie fale. Te wszystkie nieznanne, dziwaczne i romantyczne zakątki, tak dalekie od szczelnych ścian miastowca. Krater Wezuwiusza. Gejzery parku

**Yellowstone. Afrykańskie równiny. Wysepki Południowego Pacyfiku.**

**Sahara. Biegun Północny. Wiedeń. Kopenhaga. Moskwa. Angkor Wat.**

**Piramida Cheopsa i Sfinks. Wielki Kanion. Chichen Itza. Amazońska  
dżungla. Wielki Mur Chiński.**

**Czy cokolwiek z tego jeszcze istnieje?**

**Michael nie ma pojęcia. Większość miejsc, które pokazują na  
ekranie, istniało przed stu laty albo jeszcze dawniej. Wie, że ekspansja  
cywilizacji monadalnej wymagała zburzenia znacznej części antycznego  
świata, zrównania z ziemią kulturowej przeszłości. Oczywiście wszystko  
zostało starannie, trójwymiarowo zarejestrowane. A potem starte na  
proch. Smużka siwego dymu, kurz kruszonego kamienia - wysuszający  
nozdrza, gorzki. I nie ma. Z pewnością zachowali słynne pomniki  
ludzkości. Nie było potrzeby rozłupywać Piramid, by zrobić miejsce paru  
nowym miastowcom. Lecz wszystkie te rozrośnięte kolosy - dawne miasta  
- musiały zostać uprzątnięte. Dziś ludzie żyją tu, w konstelacji Chipitts.**

**Michael pamięta, jak jego szwagier, Jason Quevedo, który jest  
historykiem, mówił kiedyś, że dawniej istniały dwa miasta wyznaczające  
północny i południowy kraniec konstelacji, Chicago i Pittsburgh,  
pomiędzy którymi ciągnęło się nieprzerwanie pasmo miejskich osiedli.**

**Co się z nimi stało? Michael wie, że nie został po nich ślad. Teraz wzdłuż  
tego samego pasa sterczy dumnie pięćdziesiąt jeden wież konstelacji Chi-  
pitts. Wszystko starannie zaplanowano. Pożeramy własną przeszłość,  
wydalając miastowce. Biedny Jason, pewnie tęskni trochę za starym  
światem. Podobnie jak ja. Dokładnie tak samo.**



**Michael marzy o wyprawie poza monadę. Dlaczego nie wyjść na zewnątrz? Ma spędzić resztę życia jeżdżąc na swoim krzeselku po złączu i polerując gniazda dostępu? Wyjść na zewnątrz. Pooddychać tym obcym, niefiltrowanym powietrzem, przesyconym wonią zielonych roślin.**

**Zobaczyć prawdziwą rzekę. Jakimś cudem wzbić się nad tę przystrzyżoną równo planetę w poszukiwaniu dziko zakrzaczonych przestrzeni. Wejść na szczyt Wielkiej Piramidy. Popływać w oceanie, w jakimkolwiek morzu!**

***Słona woda, jakie to dziwne.* Stanąc pod gołym niebem, wystawiając skórę na wrogie promieniowanie słońca; skąpać się w zimnym blasku księżyca. Ujrzeć pomarańczową poświatę Marsa. Mrugnąć o świcie do Wenus.**

**- Naprawdę, dałbym radę wyjść - tłumaczy żonie, pogodnej i pękatej Stacion, noszącej w brzuchu ich piąte dziecko - dziewczynkę, która przyjdzie na świat za parę miesięcy.**

**- Mógłbym z łatwością przeprogramować gniazdo tak, żeby dostać przepustkę wyjścia. Potem zjazd szybociągiem na sam dół miastowca i zanim ktokolwiek by się kapnął, byłbym już na zewnątrz i biegał po trawie. Wędrowałbym na przelaj polami. Poszedłbym na wschód, do Nowego Jorku - aż na brzeg morza. Jason mówi, że nie zburzyli Nowego Jorku, tylko obeszli go dookoła.**

**Miasto-pomnik ludzkiego bałaganu.**

**- Co byś tam jadł? - pyta Stacion, dziewczyna praktyczna.**

**- Wszystko, co daje sama natura. Dzikie nasiona, orzechy -to samo co dawni Indianie. Polowania! Całe stada bizonów. To takie wielkie i**

powolne brązowe bestie; zaszedłbym jednego od tyłu i wskoczył mu na grzbiet, prosto na ten cuchnący i tłusty garb, potem ścisnąłbym za gardło i *traach!* Nie wiedziałby nawet, co się dzieje. Dziś już nikt nie poluje.

Padłby martwy i miałbym mięso na wiele tygodni. Mógłbym nawet jeść je na surowo.

- Wiesz przecież, że nie ma bizonów, Michaelu. W ogóle żadnych dzikich zwierząt.

- Tylko żartowałem. Myślisz, że naprawdę byłbym zdolny zabić?

*Uśmiercić?* Szczęść boże, może jestem trochę narwany, ale nie szalony!

Co to, to nie. Albo posłuchaj tego: napadałbym na osiedla; zakradał się nocą i podwędzał warzywa, kawały białkopochodnego steku i co tylko się

da. Nikt nie pilnuje osad. *Nie spodziewają się*, by ludzie z monad mieli

chęć snuć się po okolicy. Na pewno nie umarłbym z głodu. I zobaczyłbym

Nowy Jork, Stacion! Może nawet żyje tam jakieś dzikie plemię. Jeśli mają

łódzie albo samoloty, mógłbym przepłynąć się za ocean. Do Jerozolimy!

Do Londynu! Do Afryki! Stacion parska śmiechem.

- Uwielbiam, kiedy zaczynasz udawać nonszalanta - mówi i

przyciąga go w dół do swojego brzucha.

Michael przykłada pulsującą od marzeń głowę do gładkiej, napiętej

krzywizny jej brzemiennego stanu.

- Czujesz naszą malutką? - pyta Stacion. - Słyszysz, jak śpiewa?

Szczęść boże, Michael, tak bardzo cię kocham.

Nie traktuje go poważnie, zresztą - każdy postąpiłby tak na jej

miejscu. Ale on i tak pójdzie. Wisząc na złączu, ustawiając przełączniki i

**mocując elektrody bocznikowe, wyobraża sobie, jak podróżuje po całym świecie. Cel: odwiedzić wszystkie istniejące miasta, od których wzięły nazwy osiedla miejskie Monady 116. Tyle, ile ich jeszcze zostało.**

**Warszawę, Reykjavik, Louisville, Kolombo, Boston, Rzym, Tokio, Toledo, Paryż, Szanghaj, Edynburg i Nairobi. Londyn, Madryt, San Francisco, Birmingham, Leningrad, Wiedeń, Seattle, Bombaj i Pragę. Nawet Chicago i Pittsburgh, jeżeli tylko jeszcze istnieją. I całą resztę. Wymieniłem już wszystkie? Próbuje wyliczanki, zaczynając od parteru: Warszawa, Reykjavik, Wiedeń, Kolombo. Gubi się. Mniejsza o to, i tak wyjdę. Nawet jeśli nie zdołam przewędrować całego świata. Może być większy niż sobie wyobrażam. Przynajmniej coś zobaczę. Poczuję krople deszczu na twarzy. Usłyszę, jak szumią przybrzeżne fale. Będę przebierał palcami u nóg w zimnym i mokrym piasku. I grzał się na słońcu! Słońce, słońce! Opalę sobie skórę!**

**Przypuszczalnie niektórzy uczeni nadal podróżują, zwiedzając starożytne miejscowości, ale Michael nie zna osobiście żadnego z nich. Jason, mimo swej specjalizacji, z pewnością nie należy do tego grona. A przecież przydałaby mu się taka wycieczka. Mógłby obejrzeć ruiny Nowego Jorku, zobaczyć na własne oczy, jak to wszystko wyglądało. Ale Jason to Jason - nie ruszyłby się nawet, gdyby mógł. Na jego miejscu pojechałbym od razu. Czy naprawdę zostaliśmy stworzeni, by przeżyć całe życie w jednej zamkniętej wieży? Oglądał kilka kostek Jasona z materiałem o dawnych czasach: ulice na otwartym terenie, pędzące auta, domy, w których mieszkały pojedyncze rodziny -góra trzy, cztery osoby.**

**Dziwne i niepojęte, ale i nieodparcie fascynujące. Jasna sprawa: to nie zdało egzaminu i tak poszatkwane społeczeństwo rozpadło się doszczętnie. Ludzkości potrzeba systemu zaplanowanego znacznie lepiej. Jednak Michael rozumie, dlaczego tamten styl życia mógł wydawać się atrakcyjny. Wyczuwa ten sam odśrodkowy pęd do wolności i pragnie choć trochę jej zasmakować. Nie trzeba wcale żyć jak oni, ale nie musimy też żyć tak jak teraz. Przynajmniej nie przez cały czas. Wyjdźmy na zewnątrz. Poznajmy, co to horyzontalność, a nie tylko bez przerwy góra - dół po naszym tysiącu pięter z naszymi Halami Fizycznego Spełnienia i ośrodkami fonicznymi, naszymi błogosławiennymi duchownymi, inżynierami moralnymi i pocieszycielami - naszym wszystkim. Musi być coś jeszcze. Jeden krótki wypad poza monadę: najważniejsze doświadczenie całego życia. Zrobi to. Kiedy tak zwisa wzdłuż Interfejsu i melancholijnie dostraja swoje gniazda do skali widma, reagując całkiem odruchowo na impulsy kontrolek programowania, przyrzeka sobie, że zanim umrze, na pewno spełni swoje marzenie. Pewnego dnia wyjdzie stąd.**

**Szwagier Michaela, Jason, zupełnie nieświadomie podsycy jeszcze płomień jego sekretnego pragnienia. Ta jego teoria, że monady zamieszkuje już inna rasa ludzka, teoria, którą rozwinął przed Stacion i Michaelem któregoś wieczoru spędzanego u Quevedów. Jak on to ujął?**

*Prowadzę badania nad hipotezą, że życie w miastowcach stworzyło nowy rodzaj człowieka. Gatunek łatwo przystosowujący się do stosunkowo małej życiowej przestrzeni, z niskim współczynnikiem*

*potrzeby prywatności. Michael miał wówczas wiele wątpliwości co do tej teorii. Nie wierzył, by fakt gnieźdzenia się w miastowcach świadczył od razu o przemianach na poziomie genetycznym. Prędzej już o psychologicznym uwarunkowaniu czy nawet o powszechnym pogodzeniu się z faktami. Jednak w miarę jak Jason perorował, jego pomysły nabierały w uszach Michaela coraz więcej sensu. Na przykład tłumaczenie, czemu nie opuszczamy miastowców, chociaż właściwie nie ma żadnego racjonalnego powodu, by tak postępować. *Zdajemy sobie sprawę z nienormalności takiego pomysłu i zostajemy wewnątrz, czy nam się podoba, czy nie. Ci, którzy mają obiekcje i w żadnym razie nie potrafią się dostosować - cóż, wiecie, gdzie trafiają. Michael wie. Nonszalanci do zsuwni. Reszta przystosowuje się do warunków. Dwieście lat dość bezpardonowo narzuconego selektywnego rozmnażania. I wszyscy dziś jesteśmy świetnie przystosowani do takiego stylu życia.**

Michael pamięta, jak przytaknął: *Prawda, wszyscy są tak dobrze przystosowani, nie będąc przekonany, czy aby naprawdę wszyscy.*

*Z paroma wyjątkami - dżentelmeńsko zgodził się z nim wtedy*

Jason.

Michael rozmyśla o tym, wisząc na złączu. Bez dwu zdań, dobór naturalny wiele tłumaczy. Powszechną akceptację mona-dalnego stylu życia. Prawie powszechną. Każdy zakłada z góry, że tak właśnie wygląda życie: osiemset osiemdziesiąt pięć tysięcy luda pod jednym dachem, tysiąc pięter, kupa dzieciaków, wszyscy lgną do wszystkich. I każdy godzi się z sytuacją. Z paroma wyjątkami. Niektórzy z nas wystają przy oknach,

**gapiąc się w dal, na szeroki świat, i coś ich skręca, kotłuje się w środku.**

**Chcemy wyjść na zewnątrz. Brakuje nam genu adaptacji?**

**Skoro Jason ma rację, skoro mieszkańcy monad rodzą się już z**

**radością życia, które przyszło im wieść - skąd w populacji ta garstka**

**odrzutów? Prawa genetyki. Nie można usunąć genu. Gdzieś go**

**zagrzebałeś, a tu w jakimś ósmym pokoleniu wyskakuje nagle, by cię**

**dreńczyć. Mnie. Jest we mnie. Noszę w sobie skazę. Dlatego cierpię.**

**Michael postanawia porozmawiać o tych sprawach z siostrą.**

**Zachodzi do niej któregoś ranka. Jest jedenasta - pora,**

**o której ma prawie stuprocentową pewność zastać ją w domu. No i**

**jest, zajęta dziećmi. Jego słodka bliźniacza siostrzyczka, w tej chwili**

**niestety trochę zagoniona. Ciemne włosy są nieuczesane. Jej jedyne**

**okrycie to przybrudzony ręcznik przewieszony przez ramię. Umorusany**

**policzek. Słyszając wchodzącego brata rozgląda się podejrzliwie.**

**- To ty...**

**Uśmiecha się do niego. Jak ślicznie wygląda, taka smukła**

**i szczupła. Piersi Stacion są nabrzmiale pokarmem; wielkie so-**

**czyste sakwy, rozkołysane i podskakujące. Michael woli jednak**

**szczuplejsze kobiety.**

**- Tak tylko wpadłem - mówi do Micaeli. - Mogę chwilę posiedzieć?**

**- Szczęść boże, ile tylko chcesz. Mną się nie przejmuj. Urwanie**

**głowy z tymi dziećmi.**

**- Może w czymś pomóc?**

**Micaela stanowczo zaprzecza, więc Michael siada, zakładając nogę**

na nogę, i przygląda się jej krzątaninie. Jeden szkrab łąduje pod splukiwaczem, drugi w ochronnym kojcu. Pozostałe dzieciaki Micaela wyprawia do szkoły. Dzięki bogu. Brat patrzy na jej długie, wysmukłe nogi i jędrne pośladki, nie pofalowane nadmiarem ciała. Niemal odczuwa chętkę, aby ją pokryć, tu, na miejscu, tylko że ona jest taka spięta od tej porannej bieganiny. Jakoś do tej pory nie robił z nią tego, przynajmniej od wspólnych dziecięcych prób. Wtedy, owszem, wkładał go jej - każdy kiedyś pokrywał siostrę. Zwłaszcza że są przecież bliźniakami: nic dziwnego, że dążyli do zespolenia. To bardzo szczególny rodzaj bliskości, jak posiadanie jeszcze jednego "ja", tyle że kobiecego. Wzajemne wypytywanie o różne sprawy. Micaela dotykająca go, gdy mieli może po dziewięć lat.

- Jak to jest: czuć, że coś ci rośnie między nogami? Taki dyndus. Czy to nie zawadza przy chodzeniu?

Michael próbujący jej wytłumaczyć. Później, kiedy urosły jej piersi, sam zadawał podobne pytania. Prawdę mówiąc, dojrzała wcześniej niż on. Miała włosy na szparce na długo przedtem, nim jemu wyrosły wokół dyndusa. Szybko też zaczęła miesiączkować. Przez jakiś czas wytworzyło to nawet między nimi rodzaj przepaści: ona już dorosła, a on jeszcze dzieciak, choć oboje wciąż związani mocno bliźniaczą nicią pochodzenia z jednego łona. Michael uśmiecha się.

- Chciałbym cię o coś spytać - mówi. - Obiecujesz, że nikomu nie powiesz? Nawet Jasonowi?

- Czy kiedykolwiek okazałam się papłą?

**- Przepraszani. Chciałem się tylko upewnić.**

**Micaela kończy robotę przy dzieciach i wyczerpana siada przy bracie, patrząc mu w twarz. Ręcznik zsuwa się bezładnie zakrywając jej uda. Skromnisia. Michael zastanawia się, jak by zareagowała, gdyby powiedział, że chce się z nią kochać. Jasne, Ugodziłaby się: nie miałyby wyboru, ale czy sama też by chciała? A może czułaby się niezręcznie, używając szparki bratu? Kiedyś było inaczej. Ale to było tak dawno temu.**

**- Nie miałaś nigdy ochoty opuścić miastowca, Micaelo? -pyta siostrę.**

**- Masz na myśli: przeprowadzić się do innego?**

**- Nie. Po prostu wyjść. Zobaczyć Wielki Kanion. Piramidy. Wyjść na zewnątrz. Nigdy nie czujesz się jakaś niespokojna, zamknięta w monadzie?**

**Jej ciemne oczy rozbłyskują.**

**- Szczęść boże, tak! Niespokojna. Nigdy nie myślałam akurat o Piramidach, ale są dni, kiedy czuję, jak mury kładą się na mnie niczym mnóstwo rąk i ściskają ze wszystkich stron.**

**- Więc ty też!**

**- O co chodzi, Michael?**

**- Ta teoria Jasona. Że z pokolenia na pokolenie ludzie rodzą się coraz lepiej przystosowani do życia w monadzie. Przyszło mi do głowy, że niektórzy z nas są inni. Jesteśmy cofnięci w rozwoju. Chore geny.**

**- Zacofańcy.**

**- Otóż to! Jakby nie z tej epoki. Powinniśmy byli przyjść na świat w innym czasie. Kiedy ludzie mogli swobodnie się przemieszczać.**



**Przynajmniej ja czuję w ten sposób. Chcę wyjść z budowli, Micaelo. Po prostu: powłóczyć się po okolicy.**

**- Nie mówisz poważnie.**

**- Owszem, mówię. Nie twierdzę, że na pewno to zrobię, ale czuję taką potrzebę. A to znaczy, że... cóż, jestem zacofańcem. Odstaję od spokojnego społeczeństwa, o jakim mówił Jason. Stacion za to pasuje doskonale. Kocha ten świat. Uważa go za idealny. Ja nie. I jeśli to sprawa genów, jeśli rzeczywiście jestem nieprzystosowany do tej cywilizacji, to ty musisz być taka sama. Mamy przecież te same geny. Więc wpadłem na pomysł, że porozmawiam z tobą o tym. Żeby lepiej zrozumieć siebie. Dowiedzieć się, na ile ty jesteś przystosowana.**

**- Nie jestem.**

**- Wiedziałem!**

**- Nie chodzi o to, że chce mi się wyjść z miastowca, raczej o inne rzeczy. Stany uczuciowe. Zazdrość, ambicje. Mam w głowie mnóstwo niebłogosławiennych myśli, Michaelu. Tak samo Jason. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu klóciliśmy się o to. -Chichocze. - Stało na tym, że oboje jesteśmy zacofańcami. Starożytnymi dzikusami. Szkoda czasu na szczegóły, ale myślę, że z grubsza masz słuszność: tak, ani ty ani ja nie jesteśmy w środku prawdziwymi ludźmi z miastowca. To tylko zewnętrzna otoczka. Udawanie.**

**- Właśnie! Otoczka! - Michael aż klaszcze w ręce. - Zgadza się. Tego chciałem się dowiedzieć.**

**- Ale nie wyjdiesz z miastowca, prawda?**

- Nawet jeśli tak, to tylko na trochę. Przekonać się, jak tam jest. W ogóle nie przejmuj się, że o tym wspomniałem.

Dostrzega w jej oczach troskę. Podchodzi do niej i przyciąga do siebie, otaczając ramionami.

- Nie utrudniaj mi tego, Micaelo - odzywa się. - Jeśli to zrobię, będzie to znaczyć, że *musiałem*. Znasz mnie i rozumiesz. Dlatego nie zamartwiaj się i czekaj, aż wrócę. Jeżeli w ogóle się zdecyduję.

Teraz ma już pewność, wyjąwszy parę ubocznych kwestii, na przykład pożegnanie. Ulotnić się, nie mówiąc ani słowa Stacion? Tak byłoby najlepiej; nigdy by go nie zrozumiała, a mogłaby wywołać komplikacje. No i Micaela. Kusi go, by odwiedzić ją jeszcze raz przed odejściem. Uroczyste pożegnanie. W całym miastowcu nie ma bliższej osoby. Przecież może się zdarzyć, że nie będzie mógł wrócić z tej zamiejskiej eskapady. Chciałby ją pokryć i wydaje mu się, że ona też go pragnie. Miłosne do widzenia, tak na wszelki wypadek. Tylko czy powinien tak ryzykować? Nie wolno mu za bardzo polegać na genetycznej więzi; gdyby dowiedziała się, że naprawdę planuje opuścić miastowiec, mogłaby kazać zatrzymać go i wysłać na kurację do inżynierów moralnych. Dla jego własnego dobra. Bez wątpienia uważa pomysł wyjścia z monady za godny nonszalanta. Zważywszy wszystkie za i przeciw, Michael postanawia nic jej nie mówić. Pokryje ją w wyobraźni. Jej usta na jego ustach, ruchliwy język. Pieści dłońmi sprężyste i mocne ciało swej siostry. Wchodzi w nią. Ich ciała współdrżą w doskonałej harmonii. Jesteśmy rozłączonymi połówkami jednej całości, teraz na

**nowo zespolonymi. Na krótką, ulotną chwilę. Widzi to tak dokładnie, że prawie gotów jest wycofać się z wcześniejszego postanowienia. Prawie. Ostatecznie wychodzi, nie mówiąc słowa nikomu.**

**Poszło dość łatwo. Wie, jak zmusić ten wielki mechanizm, by służył jego celowi. Tego dnia na swojej zmianie Michael w znacznie mniejszym stopniu oddaje się marzeniom, wykonując swoje obowiązki z trochę większym skupieniem.**

**Pracuje**

**przy**

**wyznaczonych**

**gniazdach,**

**sprawdzając powtórnie wszystkie impulsy, przebiegające przez kluczowe węzły monstrualnej budowli: zamówienia spożywcze, statystyki urodzin i zgonów, raporty o stanie atmosfery, poziom natężenia dźwięku w ośrodku fonicznym, uzupełnienie zapasów odlotyn w automatycznych dozownikach, wskaźniki obiegu moczu, połączenia telekomunikacyjne itede, itepe, itede. Usuwając typowe usterki, niby przypadkiem kładzie palce na klawiaturze gniazda i podłącza się do banku danych. Teraz ma bezpośredni kontakt z centralnym mózgiem - gigakomputerem. Maszyna wysyła mu sekwencję złocisto-metalicznych wiązek światła: sygnał gotowości do przeprogramowania. Świetnie. Michael poleca wydać przepustkę wyjścia dla Michaela Statlera, mieszkalnia numer 70411, do odebrania przez wymienionego wyżej obywatela w dowolnym terminalu i**

ważną do pierwszego użycia. Przychodzi mu do głowy, że mając zbyt dużo czasu, mógłby stchórzyć, i natychmiast koryguje polecenie: ważną dwanaście godzin od czasu wystawienia. Plus zezwolenie na powrót w dowolnym czasie. Maszyna wyświetla znak przyjęcia danych. Byczo. Teraz Michael nagrywa dwie wiadomości z instrukcją doręczenia piętnaście godzin po wydaniu przepustki. Pani Micaela Quevedo, mieszkalnia numer 76124. *Kochana siostrzyczko, zrobiłem to. Trzymaj za mnie kciuki. Przyniosę ci garść piasku znad morza.* Druga wiadomość dla pani Stacion Statler, mieszkalnia numer 70411; krótko i węzłowato wyjaśnia, dokąd i po co poszedł, prosząc, aby się nie martwiła, bo niebawem będzie z powrotem. Przynajmniej tyle jest winien siostrze i żonie. Na tym koniec pożegnań.

Kończy się jego zmiana. Jest wpół do szóstej. Nie ma sensu opuszczać miastowca na noc. Wraca do Stacion. Jedzą wspólnie kolację i Michael bawi się z dziećmi. Potem przez jakiś czas oglądają ekranowy program i kochają się. Być może ostatni raz. Stacion mówi:

- Jesteś jakiś nieobecny, Michaelu.

- Po prostu skonany. Miałem dziś mnóstwo napraw na ścianie.

Stacion zapada w drzemkę. Michael tuli ją w ramionach. Jaka miękka, ciepła - i taka duża, z każdą minutą większa. Komórki w jej brzuchu mnożą się. Cudowny podział. Szczęść boże! Myśl, że ją opuszcza, jest prawie nie do zniesienia. Lecz w tej samej chwili ekran rozbłyska obrazami dalekich lądów. Zachód słońca na wysepce Capri: szare morze, szare niebo, horyzont sięgający zenitu, drogi wijące się wzdłuż urwiska

bujnie zarośniętego soczystą zielenią. Willa cesarza Tyberiusza. Rolnicy i pasterze, żyjący tak samo jak przed dziesięcioma tysiącami lat, dalecy od zmian zachodzących na kontynencie. Żadnych monad. Kochankowie mogą *tarzać* się w trawie. Spódnica zadarta w górę. Śmiech: kolce jakichś rodzących jagody pnączy drapią różowe pośladki dziewczyny, kiedy porusza się pod tobą, ale ona zupełnie nie zwraca na to uwagi. Krzepka, wiejska dziewczucha z zawsze gorącą szparką. Okaz starożytnej dzikuski. Oboje brudzicie się, masz ziemię między palcami u nóg, w skórę na kolanach wrzynają się ziarenka piachu. Spójrz tam: mężczyźni w obdartych, brudnych łachach, siedzący w szczerym polu wśród winorośli; butelka złocistego wina krąży podawana z rąk do rąk. Ich cera jest taka ciemna! Jak wyprawiona skóra - jeśli tak właśnie wyglądała, w końcu skąd możesz wiedzieć? Ogorzali, krzepcy. Spaleni na prawdziwym słońcu. W dali, poniżej, łagodnie biją o brzeg morskie fale. Plaża pełna grot i fantastycznie rzeźbionych skał. Słońce schowało się już za chmurami, wybrzeże i niebo szarzeją coraz bardziej. Zaczyna mżyć przyjemny deszczyk. Noc. Ptaki wyśpiewują swoje hymny na nadejście ciemności. Kozy moszczą się do snu. Michael wędruje ścieżkami, starając się nie wdepnąć w dymiące i lśniące balasy łajna, przystając, by pomacać chropawą korę drzewa, skosztować słodczy dojrzałej jagody. Prawie czuje ciągnącą od morza woń słonej bryzy. Widzi siebie biegnącego z Micaelą wzdłuż brzegu o brzasku: oboje nadzy, w powietrzu unosi się jeszcze nocna mgła, pierwsze błyski słońca oblewają szkarłatem ich jasne ciała. Woda jest cała złota. Wskakują, kąpią się i pływają; słona woda

unoszą ich lekko na powierzchnię. Wiosłując ramionami, nurkują z otwartymi oczami, zapatrzeni z uwagą jedno na drugie. Włosy Micaeli płyną za nią czarną wstęgą. Jej stopy zostawiają ślad z wodnych pęcherzyków. Michael dogania ją i obejmuje, daleko od brzegu. Delfiny przyglądają im się przyjaźnie. Kochają się w przesławnym Morzu Śródziemnym, a z ich kazirodnych uścisków poczyna się dziecko. Pośród tych samych fal, w których Apollo igrał ze swoją siostrą. Choć może był to jakiś inny bóg. Wszystko wokół przesycę duch antyku. Krajobraz, smak; kąśliwy chłód porannej bryzy, która smaga ich, gdy wylegają się na plaży. Mokre ciała oblepione piaskiem, kawałek wodorostu zaplątany we włosach Micaeli. Podchodzi do nich chłopiec z koźlątkiem. *Vino? Vino?* Uśmiechając się, wyciąga rękę z gąsiorkiem. Micaela głaszcze koziolka. Chłopak patrzy z uwielbieniem na jej smukłe i nagie ciało. *Si - mówisz - vino -* lecz oczywiście nie masz żadnych pieniędzy i próbujesz mu to wytłumaczyć, ale chłopaka nic a nic to nie obchodzi. Wręcza ci bukłak. Pijesz duszkiem. Zimne, dojrzałe wino, od którego szumi w głowie. Pastuszek spogląda na Micaelę. *Un bacio?* Czemuż by nie, myślisz sobie. Co w tym złego? *Si, si, un bacio* - odpowiadasz i chłopiec zbliża się do Micaeli, wstydliwie całując ją w usta; robi ruch, jakby chciał dotknąć jej piersi, ale nie śmie i poprzestaje na pocałunku. Uśmiechnięty od ucha do ucha, odstępkuje, po czym podchodzi do ciebie, obdarza szybkim całusem i czmycha, razem z koziolkiem, zostawiwszy swój gąsiorek. Często stujesz winem Micaelę. Strużki napoju ściekają jej po brodzie, zostawiając

mieniające się złościście w coraz jaśniej świecącym słońcu kropelki. Po opróżnieniu bukłaczka, ciskasz go daleko w morze. Podarunek dla syren. Bierzesz Micaelę za rękę. Wspinacie się po urwisku pośród krzaków jeżyn i kamyków, obsuwających się pod bosymi stopami. Zabudowania, zmiany temperatury, dźwięki i zapachy. Ptaki. Śmiech. Przecudna wyspa Capri. Przed wami chłopak z koźlątkiem, macha do was z drugiej strony wąwozu: prędeej, prędeej - chodźcie, coś wam pokażę. Ekran gaśnie. Leżysz na platformie sypialnej obok swej rozespanej żony na 704 piętrze Monady Miejskiej 116.

Musi wyjść. Po prostu musi.

Wstaje z posiania. Stacion wierci się.

- Ciii... - uspokaja ją Michael. - Śpij.

- Idziesz lunatykować?

- Chyba tak - odpowiada.

Rozbiera się i wchodzi pod splukiwacz. Następnie wkłada czystą tunikę i sandały - najtrwalsze z jego ubrań. Co jeszcze powinien wziąć?

Przecież nic nie ma. Pójdzie tak, jak stoi.

Całuje Stacion. *Un bacio. Ancora un bacio.* Może ostatni raz. Na chwilę kładzie rękę na jej brzuchu. Rano dostanie jego wiadomość. Do widzenia, bywajcie - żegna śpiące dzieci i wychodzi. Wznosi oczy w górę, jak gdyby był w stanie przewiercić wzrokiem te pięćdziesiąt parę pięter, które zasłaniają mu widok. Do zobaczenia, Micaelo. Ściskam cię. Jest pół do trzeciej. Kawał czasu do świtu. Nie będzie się spieszył. Przystając, przygląda się otaczającym go murom. Ciemny, metaliczny plastik o ciepłe

**barwy połyskliwego spżżu. Mocna, solidnie zaprojektowana konstrukcja.**

**Wężowe sploty niewidocznych przewodów wijące się wewnątrz rdzenia instalacyjnego. I ten przeogromny, czuwający umysł - twór ludzki, który jednak tak łatwo było oszukać. Michael odnajduje w korytarzu terminal i podaje swoją tożsamość.**

**- Michael Statler, numer 70411. Proszę o przepustkę wyjścia.**

**- Oczywiście, sir. Pańska przepustka.**

**W otworze pojawia się lśniąca błękitna bransoleta. Michael wsuwa ją na przegub dłoni. Zjeżdża w dół szybociągiem. Wysiada na pięćset osiemdziesiątym, bez specjalnego powodu. Boli fcton. Ma trochę czasu do stracenia. Niczym turysta z Wenus spaceruje po korytarzu, od czasu do czasu natykając się na zaspanego lunatyka w drodze do własnego domu. Zgodnie z powszechnym przywilejem otwiera parę drzwi, popatrując na ludzi w środku. Niektórzy są przebudzeni, ale większość śpi. Jakaś dziewczyna zaprasza go na swoją platformę. Michael potrząsa głową.**

**- Tylko przechodziłem - mówi i wraca do szybociągu.**

**W dół na trzysta siedemdziesiąte piąte. San Francisco. Tu żyją artyści. Słyszeć muzykę. Michael zawsze zazdrościł mieszkańcom tego miasta. Ich życie ma sens. Mają swoją sztukę. Tutaj też zagląda do kilku mieszkań.**

**“Ruszcie się - chciałby im powiedzieć. - Mam przepustkę, wychodzę na dwór! Chodźcie ze mną, wszyscy!” Rzeźbiarze i poeci, muzycy i dramaturdzy. Będzie ich pstrym kobziarzem. Ale nie jest pewien, czy na jedną przepustkę może opuścić miasto-wiec więcej niż jedna osoba, i w**



końcu nie mówi nic. Zamiast tego kontynuuje zjazd w dół. Birmingham.

Pittsburgh, gdzie Jason trzduzi się nad ratowaniem przeszłości, której już nie sposób uratować. Tokio. Praga. Warszawa. Reykjavik. Cały ogrom budowli spoczywa teraz na jego barkach. Tysiąc pięter, osiemset osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi. W tej samej chwili, gdy tak tu stoi, rodzi się dwanaścioro maleństw, a tuzin innych właśnie się poczyzna. Być może też ktoś umiera. A jeden człowiek właśnie ucieka. Pożegnać się z komputerem? Z jego zwojami i przewodami, zatopionymi w cieczy wnętrznościami

i

tonami

szkieletu

konstrukcji?

Milion

oczu,

rozmieszczonych we wszystkich zaułkach każdego z miast, patrzy teraz na niego. Ale jest bezpieczny, ma przecież przepustkę.

Parter. Wszyscy wysiadać.

Poszło tak łatwo. Tylko gdzie jest *wyście*? *Tam*? Taki niepozorny

luk? Spodziewał się raczej obszernego hallu, onyksowych podłóg,

alabastrowych kolumn, polerowanego mosiądzu, jasnego oświetlenia i

wahadłowych drzwi. Jasne: przecież nikt ważny nigdy tędy nie wychodzi.

Wysokiej rangi dygnitarze podróżują szybkolotami, zaczynając i kończąc

wojaże na lądowisku na tysięcznym piętrze. A gondole dostawcze z

plodami rolnymi z osad wjeżdżają do miastowca głęboko pod powierzchnią ziemi. Raz na wiele lat może się zdarzyć, by skorzystano z wyjścia na parterze. To właśnie będzie ten raz. Tylko jak się do tego zabrać? Michael trzyma przepustkę w górze przed sobą, mając nadzieję, że gdzieś w pobliżu wbudowano skanery. Są. Nad włazem zapala się czerwona lampka. Luk otwiera się. Postępując naprzód, Michael wchodzi do długiego, chłodnego i słabo oświetlonego tunelu. Drzwi włazu zamykają się za nim. Ochrona przed zanieczyszczeniem powietrzem z zewnątrz - domyśla się. Czekaa.. Drugie drzwi, skrzypiąc trochę, stają otworem. Michael nie widzi przed sobą nic prócz ciemności, mimo to przekracza próg i natrafia na schodki: siedem... osiem stopni. Schodząc w dół, niespodziewanie dociera do ostatniego. Odgłos upadku. Dalej już tylko ziemia, dziwnie gąbczasta i ustępliwa. Ziemia. Gleba. Piach. Jest na zewnątrz. Wyszedł.

Czuje się trochę tak, jak musiał czuć się pierwszy człowiek spacerujący po Księżycu. Idzie niepewnym krokiem, nie wiedząc zupełnie, czego się spodziewać. Tyle nowych, nieznanych wrażeń równocześnie. Właz zatrzaskuje się za nim. Od tej chwili jest zdany wyłącznie na siebie. Mimo wszystko nie czuje strachu. Musi skupić się na jednej rzeczy naraz. Przede wszystkim: powietrze. Robi głęboki wdech. Taak, smakuje inaczej, bardziej słodko i rześko, naturalniej. Kiedy nim oddycha, ma wrażenie, że rozpręża mu się ono w płucach, wypełniając najdalsze fałdy i pęcherzyki. Jednak po minucie nie rozróżnia już w nim żadnych cech nowości. Po prostu powietrze: obojętne, znajome

mieszanka. Jak gdyby wdychał tę atmosferę całe życie. Czy razem z nią polyka śmiernicobójne bakterie? W końcu pochodzi z aseptycznego, izolowanego środowiska. Może za godzinę będzie już leżał na ziemi, błądy i wzdęty, wijąc się w agonii. Może już w tej chwili jakieś obce pyłki, przywiane przez wiatr, kielkują gdzieś w jego nosie. Uduszony przez rozrastającą się kolonię grzybów. Dajmy sobie spokój z powietrzem. Michael unosi wzrok.

Do brzasku zostało jeszcze dobrze ponad godzinę. Czarno-błękitne niebo jest całe upstrzone gwiazdami, wysoko w górze wisi rogal księżyca.

Michael widywał już niebo z okien miastowca, ale nigdy takie. Stoi rozkraczony, z zadartą głową i rozpostartymi ramionami. Obejmuje gwiazdny blask. Milion lodowatych ostrzy kłuje ciało. Ma ochotę rozebrać się i leżeć, nagi wobec nocy, aż opalą go księżyc i gwiazdy. Uśmiechając się, odchodzi od monady następne dziesięć kroków. Ogląda się za siebie.

Słup soli. Wysoki na trzy kilometry. Przebija powietrze niczym przechylająca się bryła, przeraża go. Zaczyna liczyć piętra, ale wysiłek mąci mu w głowie i dochodzi ledwie do pięćdziesiątki. Pod tym kątem większa część budowli pozostaje niewidoczna, wznosząc się niezwykle stromo nad jego głową, mimo to jednak Michael widzi wystarczająco dużo. Cały ten ogrom sprawia wrażenie, jakby groził, że go zmiażdży.

Michael oddala się, wchodząc na plac pośrodku ogrodu. Przed nim, w odległości, która pozwala lepiej ocenić jej prawdziwe rozmiary, wyrasta straszliwy moloch sąsiedniej monady. Wieża niemalże szturcha nieboskłon. Taki ogrom, taka masa! Tyle okien! A w środku osiemset

pięćdziesiąt tysięcy, może nawet więcej, ludzi, których nigdy nie spotkał.

Dzieci, lunatycy, komputerowi konserwatorzy, pocieszyciele, żony, matki

- cały świat. Martwy. Nieżywy. Spogląda w lewo. Następna monada,

spowita mgłą nadchodzącego dnia. W prawo. Jeszcze jedna. Michael

kieruje wzrok w dół, bliżej ziemi. Ogród. Publiczne ścieżki. Trawa. Klęka i

odrywa źdźbło, czując natychmiastowy wyrzut sumienia, kiedy zamyka

zielony pęd w złożonych w kulę dłoniach. *Morderca*. Wkłada trawę do

ust: niezbyt przyjemna w smaku. Wyobrażał sobie, że będzie słodka. A to

jest ziemia. Ryje ją palcami. Czerń brudu za paznokciami. Żłobi bruzdę w

poprzek klombu z kwiatami. Obwąchuje żółtą kopulę płatków. Patrzy w

górze na drzewo. Ręka dotyka kory.

Przez plac sunie automat ogrodniczy, przycinając i nawożąc

roślinność. Obracając się na ciężkiej, czarnej podstawie, spogląda na

człowieka. Pytanie. Michael unosi nadgarstek, pozwalając przeskanować

swoją przepustkę. Robot przestaje się nim interesować.

Jest już kawał drogi od Miastowca 116. Po raz kolejny odwraca się i

patrzy uważnie, mogąc nareszcie ogarnąć całą wysokość budowli. Nie do

odróżnienia od 117 czy 115. Wzrusza ramionami i rusza przed siebie

ścieżką odchodzącą od linii, wzdłuż której rzędem stoją monady.

Sadzawka: Michael przykuca na brzegu i zanurza rękę. Potem przytyka

twarz do lustra wody i pije. Chłapie radośnie. Na niebie widać już świt.

Gwiazdy dawno zniknęły, a księżyc właśnie się chowa. Michael go-

rażczkowo *zrzuca* ubranie. Wolno wchodzi do stawu, sycząc, gdy woda

sięga mu do lędźwi. Płynie ostrożnie, od czasu do czasu staje na nogi, by

poczuć zimne, muliste dno; w końcu dociera do miejsca, w którym nie może już zagruntować. Śpiewają ptaki. Pierwszy poranek od początku świata. Błada poświata dnia sunie przez milczący nieboskłon. Po niedługiej chwili Michael wychodzi z wody i staje nagi i ociekający na skraju sadzawki, trzęsąc się trochę. Przysłuchuje się ptakom i obserwuje, jak na wschodzie wynurza się czerwona tarcza słońca. Powoli dociera do niego, że płacze. Piękno wszystkiego. Samotność. Jest zupełnie sam o pierwszym brzasku od narodzin czasu. Dobrze, że się rozebrał; jestem Adamem. Dotyka genitaliów. Patrząc hen w dal, widzi trzy monady połyskujące perłowym światłem i zastanawia się, która z nich to 116. Tam jest Stacion. I Micaela. Gdyby mogła być teraz ze mną. Oboje golutcy przy tym stawie. Odwrócić się i wejść w nią. Podczas gdy wąż przygląda się z drzewa. Michael parska śmiechem. Szczęść boże! Jest sam jak palec i ani trochę się nie boi; dokoła żywej duszy, a jemu w to graj - mimo że brakuje mu Micaeli i Stacion, każdej, obu. Drży. Stwardniał od pożądania. Wciąż jeszcze trochę lka, po twarzy z rzadka już płyną gorące łzy. Przygląda się, jak niebo błękitnieje i znów bierze w rękę swoją męskość; przygryza wargę, przywołując w pamięci tamtą fantazję o plaży na Capri: wino, chłopiec z koziołkiem i pocałunki, on i Micaela o świcie, oboje nadzy... Dyszy, kiedy przychodzi wytrysk. Użył naga ziemię. W tym lepkim bajorku jest teraz dwieście milionów nienarodzonych dzieci. Znów idzie się wykąpać. Później podejmuje wędrówkę, wpierw niosąc *rzeczy* przewieszane przez ramię, by po jakiejś godzinie włożyć je na powrót, w obawie, że wschodzące słońce wycisnie swój palący pocałunek na jego

wrażliwej, chowanej za murami skórze.

Do południa place, sadzawki i publiczne ogrody zostały daleko w tyle i Michael wkroczył na obrzeża którejś z osad rolniczych. Rozległy teren jest całkiem płaski; daleko na horyzoncie lśnią brązowe szpikulce miastowców, malejące ku zachodowi i wschodowi. Nie ma drzew ani żadnej innej dzikiej, rosnącej samopas roślinności; ani śladu bezładnych wykwitów zieleni, które tak urzekały go podczas tamtej wędrówki po Capri. Michael widzi długie rzędy niewysokich roślin, oddzielonych pasami gólej i czarnej ziemi; gdzieś napotyka ogromny zagon, całkiem pusty, jak gdyby czekał na zasiew. Zgaduje, że to pola warzywne. Ogląda rośliny: tysiące kulistych, zakręconych pędów, mocno do siebie przyciśniętych; tysiące innych - podłużnych i trawiastych, z dyndającymi kitkami; tysiące jeszcze i jeszcze innych. Gdy tak idzie przed siebie, rodzaj uprawy ulega zmianie. Kukurydza? Fasola? Marchew? Pszenica? Dynia? W żaden sposób nie potrafi rozpoznać gatunku. Szkolne lekcje biologii prawie zupełnie wywietrzały mu z głowy; teraz może tylko zgadywać - i to prawie na pewno błędnie. Odrywa po liściu z tej i owej lodygi. Smakuje pędy i strąki. Z sandałami w ręce maszeruje na bosaka przez lubieżnie przerzucone skiby gruntu.

Przypuszcza, że idzie na wschód. W stronę, w której weszło słońce.

Ale teraz słońce jest już wysoko nad głową i niełatwo ustalić kierunek. Z kurczącego się szeregu miastowców też nie ma w tym względzie żadnego pożytku. Jak daleko jeszcze do morza? Na wspomnienie plaży jego oczy znowu wilgotnieją. Wzburzone grzbiety przybrzeżnych fal. Smak soli.

Tysiąc kilometrów? Jaka to odległość? Próbuje posłużyć się przykładem. Przewracamy monadę i przytykamy do jej końca drugą, potem następną i jeszcze jedną. Jeśli rzeczywiście morze jest tysiąc kilometrów stąd, to ma do niego trzysta trzydzieści trzy ułożone jeden za drugim miastowce. Zamiera w nim serce. W ogóle nie ma poczucia odległości. Równie dobrze może to być dziesięć tysięcy kilometrów. Wyobraża sobie, czym byłoby przejść się trzysta trzydzieści trzy razy z Reykjavíku do Louisville, tylko horyzontalnie. Ale da radę - jeśli tylko starczy mu uporu. Gdyby tylko trafił na coś do jedzenia. Te liście, badyle i strąki nie przypadły mu do smaku. Właściwie które części rośliny są jadalne? Czy powinien je upiec? Jak? Wygląda na to, że ta wyprawa będzie trudniejsza niż się spodziewał. Ale jedyną alternatywą jest powrót do miastowca, a tego nie zamierza zrobić. To byłoby jak umrzeć, nim w ogóle zaczęło się żyć. Idzie dalej. Zmęczenie. Jego wędrówka trwa już dobre sześć czy siedem godzin i Michael jest trochę rozkojarzony z głodu. Do tego dochodzi oczywiście wysiłek fizyczny. Horyzontalne chodzenie z pewnością angażuje całkiem inne mięśnie. Wspinanie się i schodzenie po schodach to pestka, nie mówiąc już o jeździe szybociągiem, a krótkie poziome spacery po korytarzach zupełnie nie przygotowały go na taki trud. Bolą go tylne partie ud; ma zastępe stawy w kostkach: przykre uczucie jakby kość tarła o kość. Mięśniom ramion coraz trudniej przychodzi utrzymać głowę w górze. Gramolenie się po nierównym terenie jeszcze zwiększa problem. Na moment przystaje, żeby odetchnąć. Niezadługo potem dochodzi do strumyka, a właściwie rowu, przecinającego pola; ugasiwszy pragnienie,

zrzuca ubranie i kąpie się. Zimna woda działa orzeźwiająco i Michael rusza dalej. Trzykrotnie zatrzymuje się po drodze, aby spróbować nie zebranych jeszcze plonów. Co zrobi, kiedy znajdzie zbyt daleko od miastowca, by wrócić, a nie znajdzie nic, czym mógłby zaspokoić głód? Będzie włócił się przez szczere pole coraz bardziej wyczerpany, próbując ostatnimi siłami doczłapać do widniejącej w oddali monady? Śmierć głodowa pośród całej tej zielonej obfitości. Bzdura. Da sobie radę. Bycie samemu także zaczyna mu już doskwierać. Prawdę mówiąc, trochę go to dziwi. W miastowcu nieprzebrany, przewalający się potok ludzki często go irytował. Płacząca się pod nogami, wszędobylska dzieciarnia; grupki kobiet, zajmujące korytarze i tym podobne rzeczy. Znajdował jakąś ewidentnie niebłogosławienną przyjemność w swoim codziennym wiszeniu na złączu, w półmroku, mając styczność tylko z pozostałą dziewiątką z brygady - a i to na odległość, bo przecież każdy z nich trzymał się pilnowania własnych gniazd. Lata całe hołubił wizję tej swojej ucieczki w prywatność, okrutnie wsteczną myśl o samotności. Teraz, kiedy fantazja stała się rzeczywistością, a czysta radość z jej spełnienia doprowadziła go do płaczu w pierwszych chwilach poranka, jego popołudniowe położenie nie rysuje się już w tak różowych barwach. Przylapuje się na tym, że rzuca na boki pełne nadziei spojrzenia, jak gdyby próbował dostrzec cień przechodzącego człowieka. Może gdyby była z nim Micaela, czułby się pewniej. Adam. Ewa. Ale ona nie chciałaby wyjść. W końcu są tylko bliźniakami dwujajowymi, nie mają stuprocentowo tych samych genów; wprawdzie jest trochę niespokojna,



**ale nigdy nie zrobiłaby czegoś równie szalonego. Wyobraża sobie, jak z mozołem maszeruje teraz u jego boku. O tak. Od czasu do czasu robią przerwy, by się kochać. Na dobre opada go poczucie osamotnienia.**

**Krzyczy. Woła swoje imię, później Micaeli, Stacion. Wykrzykuje imiona dzieci.**

**- Jestem mieszkańcem Edynburga! - wrzeszczy. - Siedemset czwarte piętro. Monada Miejska 116!**

**Okrzyki ulatują do góry, w stronę pierzastych chmur. Jakie śliczne jest teraz niebo: całe złoto-blado-błękitne.**

**Nagły buczący dźwięk od północy? - z każdą sekundą coraz głośniejszy. Chrapliwy, rżący warkot. Czyżby jego wrzaski ściągnęły tu jakąś bestię? Przysłania oczy. Jest: długi i czarny kadłub lecący niespiesznie w jego kierunku na wysokości, no -góra stu metrów. Michael rzuca się na ziemię, nurkując między grzędy kapusty, rzepy czy cokolwiek to jest. Czarny potwór ma tuzin grubych i krótkich dysz, sterczących po bokach, a każda z nich wypływa obłok zielonkawej mgły. Michael zaczyna rozumieć: to pewnie maszyna do opylania zasiewów. Jakaś trucizna, która ma uśmiercić owady i inne szkodniki. Co może mi zrobić? Zwija się w kłębek: kolana przy brodzie, ręce blisko twarzy, zamknięte oczy i usta, osłonięte dłonią. Co za okropny ryk - jeżeli nie zrobi tego to świństwo, wykończą mnie same decybele. Ale warkot powoli cichnie. Machina przeleciała nad nim. Środek owadobójczy właśnie opada - domyśla się Michael, starając się wstrzymać oddech. Zaciska wargi. Z nieba sypią się ogniste płatki. Kwiaty śmierci. O, właśnie: jakaś wilgotność na policzku,**

**oblepiający, kropelkowaty welon. Jak długo potrwa, nim go zabije?**

**Odlicza upływające minuty. Jednak wciąż żyje. Latającego spryskiwacza nie słychać już od dawna. Michael ostrożnie otwiera oczy i staje na nogi.**

**Wszystko wskazuje na to, że środek nie stanowi żadnego zagrożenia, ale uciekinier na wszelki wypadek puszcza się przez pole w kierunku mieniającej się wstążki pobliskiego strumienia; spanikowany zrzuca ubranie i zanurza się, szorując całe ciało. Dopiero po wyjściu na brzeg przychodzi mu do głowy, że przecież strumyk też został spryskany. No, w każdym razie jakoś nie umarł.**

**Jak daleko może być do najbliższej osady?**

**Jakim cudem, w swej nieskończonej mądrości, planiści tego gospodarstwa nie zrównali z ziemią jednego niziutkiego pagórka.**

**Wchodząc na niego w pełni popołudnia, Michael może ogarnąć wzrokiem całą okolicę. Są miastowce, dziwnie skarłale. Pola uprawne. Widać teraz**

**maszyny,**

**sunące**

**pośród**

**grządek:**

**wieloramienne**

**automaty**

**prawdopodobnie wrywają chwasty. Za to ani śladu osiedla. Michael**

**schodzi ze wzgórza i niebawem natyka się na jeden z automatów**

**rolniczych. Pierwsze towarzystwo, jakie miał od rana.**

**- Dzień dobry. Michael Statler z Monady 116. Jak się nazywasz,**

**robocie, i co tutaj robisz?**

**Żółte ślepie mierzą go niechętnie, po czym odwracają się. Maszyna spulchnia glebę u nasady każdej rośliny z szeregu. Następnie strzyka czymś mlekowatym na korzenie. Nonszalancki złom. A może tylko nie zaprogramowany na mówienie.**

**- Nic nie szkodzi - mówi na głos. - Milczenie jest złotem. Mógłbyś mi tylko powiedzieć, gdzie znajdę coś do jedzenia. Albo spotkam jakichś ludzi.**

**Znów ten buczący warkot. Cholerstwo! Jeszcze jeden śmierdzący opylacz! Przypada do ziemi, gotów się skulić, ale nie: tym razem latająca maszyna niczego nie rozpyla ani nie leci dalej w swoją stronę;**

**zawisnąwszy nad jego głową, kołysze się, kreśląc ciasne kółka i robiąc piekielny, monstrualny jazgot. W brzuchu pojazdu otwiera się właz, wyrzucając w przestworza podwójną nitkę pięknego złocistego włókna.**

**Kiedy opada na ziemię, ześlizguje się po niej w dół, siedząc w gondoli zaciskowej człowiek -kobieta, a tuż za nią mężczyzna. Lądują zręcznie i idą w stronę Michaela. Ponure twarze. Błyszczące, paciorkowate oczy. U pasa dynda jakaś broń. Ich jedyny strój to połyskujące czerwone przepaski, zakrywające ciała od pasa do ud. Oboje są wysmukli, o opalonej skórze. Mężczyzna ma czarną i gęstą, lecz sztywną brodę: niesamowity i groteskowy zarost na twarzy! Biust kobiety jest mały i twardy. Obydwoje z mężczyzną równocześnie sięgają po broń.**

**- Dzień dobry! - rzuca ochryple Michael. - Jestem z miastowca! Po prostu zwiedzam wasz kraj. Przyjacieli! Przyjacieli! Przyjacieli!**

**Kobieta mówi coś kompletnie niezrozumiałego. Michael wzrusza ramionami.**

**- Przepraszam, ale nie rózu...**

**Lufa wbija mu się między zębra. Jaką ona ma beznamiętną twarz! I oczy - jak lodowate guziczki. Zabiją go? Teraz odzywa się mężczyzna.**

**Wyraźnie, wolno i bardzo głośno, tak jak przemawia się do trzyletniego malucha. Ani jedna sylaba nie brzmi znajomo. Pewnie zarzucają mu wkroczenie na tereny rolnicze. Któryś z automatów musiał zawiadomić o nim osadę. Wyciąga rękę: z tego miejsca monady są nadal widoczne.**

**Wskazuje na nie, po czym puka się w pierś. Zresztą po co to przedstawienie? Przecież muszą wiedzieć, skąd się tu wziął. Jego zaborcy przytakują skinieniem głowy, bez cienia uśmiechu. Nieprzyjemna para. A więc został aresztowany. Intruz zagrażający świętości pól. Kobieta łapie go za łokieć. Cóż, przynajmniej nie zabiją go na miejscu. Ich robiąca piekielny hałas latająca machina przez cały czas warczy nad głową, kołując w pobliżu. Popychają go w stronę zwisających z niej pasów.**

**Kobieta jest już w gondoli zaciskowej, która winduje ją w górę. Mężczyzna wypowiada słowa, które *znaczą* pewnie: "Teraz ty". Michael odpowiada uśmiechem. Jedyne jego nadzieje to współpraca. Próbuje rozgryźć, jak się wchodzi do gondoli; mężczyzna wykonuje za niego wszystkie niezbędne czynności i zamyka go w pojeździe. Po chwili jest już na górze. Kobieta czeka na niego, uwalnia z kapsuły i popycha na siatkowe siedzisko. Broń trzyma w pogotowiu. Chwilę później dołącza do nich jej towarzysz; luk zamyka się i latający pojazd z rykiem startuje. Podczas lotu oboje zadają**

**pytania, bombardując go krótkimi, przesywającymi seriami słów, na**

**które Michael może tylko odpowiadać przepaszającym tonem:**

**- Nie znam waszego języka. Skąd mogę wiedzieć, o co wam chodzi?**

**Maszyna ląduje po paru minutach lotu. Para szturchańca-mi**

**wyrzuca Michaela ze środka na łyse, czerwono-brunatne pole. Na jego**

**obrzeżach stoją niskie, ceglane domy z płaskimi dachami; widać szare**

**pojazdy z dziwacznie zadartymi przodami, parę wieloramiennych**

**automatów rolniczych i dziesiątki ludzi obojga płci, ubranych w czerwone**

**i błyszczące przepaski biodrowe. Niewiele dzieci; może są w szkole,**

**choć dzień ma się raczej ku końcowi. Wszyscy pokazują go sobie**

**palcami, trajkocząc szybko. Chrapliwe, niezrozumiałe uwagi. Ktoś parska**

**śmiechem. Michael czuje się dziwnie wylękniony, nie tyle z powodu**

**ewentualnego niebezpieczeństwa, które może mu grozić, ile za sprawą**

**obcości wszystkiego, co go tutaj otacza. Wie, że trafił do osady rolniczej.**

**Jego całodniowy marsz był tylko wstępem; dopiero teraz naprawdę**

**przekroczył granice innego świata.**

**Para, która go schwytała, kuksańcami prowadzi Michaela przez cały**

**plac, przepycha przez ciżbę rolników i wiedzie do jednego z budynków.**

**Gdy Michael przechodzi obok nich, farmerzy, mamrocząc coś miękko,**

**dotykają jego ubrania, odkrytych ramion i twarzy. Jakby był dziwolągiem.**

**Istotą, która zstąpiła między nich co najmniej z Marsa. Dom jest marnie**

**oświetlony i niechlujnie zbudowany: nierówne mury z niskimi stropami i**

**wypaczonymi podłogami z jakiegoś jasnego, porowatego plastyku.**

**Wrzucają go do pustego, nędznego pokoju. W powietrzu dominuje**

**kwaśna woń: wymiociny? Na odchodnym kobieta paroma obcesowymi gestami wskazuje podstawowe urządzenia. Nie ma platformy sypialnej; prawdopodobnie ma spać na tej stercie zmiętoszonych koców pod ścianą.**

**Ani śladu splukiwacza. Do załatwiania się ma służyć to pojedyncze urządzenie, rodzaj plastikowego komina wpuszczonego w podłogę, z przyciskiem**

**do splukiwania.**

**Muszla zrobiona**

**z jakiegoś**

**przypominającego gładki kamień tworzywa, poźółkła i miejscami popękana. Najwyraźniej oddaje się tu razem mocz i kał. Dziwny wynalazek. Nagle oświeca go, że przecież oni tutaj nie potrzebują przetwarzać odchodów.**

**W pomieszczeniu**

**brak jakiegokolwiek**

**sztucznego światła. Przez jedyne okno sączy się blask dogasającego, popołudniowego słońca. Okno wychodzi na plac, na którym wciąż gromadzą się rozmawiający o nim rolnicy. Michael widzi, jak gestykulują,**

trącąc się i kiwając głowami. W futrynie tkwią końce metalowych krat, zbyt wąskich, by między nimi mógł się prześliznąć człowiek. Nie ma co: więzienna cela. Sprawdza drzwi. Zamknięte. Jak gościnnie z ich strony. W ten sposób nigdy nie dotrze do morza.

- Posłuchajcie - woła do grupki na placu - nie mam żadnych wrogich zamiarów! Nie musicie mnie zamykać!

Śmieją się. Dwóch młodych mężczyzn podchodzi spacerkiem i przygląda mu się z namaszczaniem. Jeden przykładą rękę do ust i pieczołowicie pluje śliną na całą dłoń, po czym wyciąga ją w stronę towarzysza; ten przyciska do zaślinionej ręki swoją i obaj wybuchają gromkim śmiechem. Michael gapi się, zdębiały. Słyszał o barbarzyńskich zwyczajach w osiedlach rolniczych. Prymitywnych, niezrozumiałych.

Młodzieńcy rzucają coś pogardliwie pod jego adresem i odchodzą. Ich miejsce przy oknie zajmuje dziewczyna. Wygląda na jakieś piętnaście, szesnaście lat. Ma duże i opalone na ciemno piersi, pomiędzy którymi wisi amulet o wyraźnie fallicznym kształcie. Bawi się nim, co Michael odbiera jako lubieżną zachętę.

- Bardzo chętnie - mówi. - Jeżeli tylko mnie stąd wypuścisz.

Przekłada ręce przez kraty, jakby chcąc ją popieścić. Dziewczyna odskakuje do tyłu ze wzburzeniem w oczach i robi gwałtowny ruch, dźgając w jego stronę lewą ręką ze schowanym do wewnątrz kciukiem i wyprostowanymi pozostałymi palcami mierzącymi w jego twarz.

Wyraźnie nieprzyzwoity gest. Po jej odejściu jeszcze kilka starszych osób podchodzi, by mu się przyjrzeć. Jedna z nich - kobieta - powoli i miarowo

klepie się w podbródek w rytmie, który wyraźnie coś znaczy. Pomarszczony mężczyzna ze spokojem trzykrotnie przykładając lewą dłoń do prawego łokcia; inny schyla się, dotyka rękoma ziemi, po czym prostuje się, unosząc je wysoko nad głowę, jakby odgrywał proces wzrostu jakiejś wysokopiennej rośliny, a może budowę miastowca. Cokolwiek by to nie było, na koniec parska przeraźliwym rechotem i potykając się odchodzi.

*Zapada noc.* W mroku zmierzchu Michael widzi, jak maszyny spryskujące uprawy siadają jedna po drugiej na placu - niczym ptaki, wracające wieczorem do gniazda; z pól maszerują tuziny rozkraczonych na swoich licznych odnóżach automatów rolniczych. Gapie rozchodząc się; Michael patrzy, jak znikają po domach dookoła placu. Mimo niepewności swego losu w niewoli, jest urzeczony egzotyczną naturą tego miejsca. Żyją tak blisko ziemi, spędzają całe dni na słońcu, nie wiedząc nic o dobrobycie, jaki oferują swoim mieszkańcom ludne monady.

Drzwi otwierają się z traskiem i uzbrojona dziewczyna wnosi kolację. Postawiwszy tacę, wychodzi bez jednego słowa. Duszone warzywa, czysty rosół, jakieś nieznane czerwone owoce i czarka chłodnego wina. Owoce są poobtlukiwane i, jak na jego gust, zbyt dojrzałe, za to cała reszta smakuje wyśmienicie. Je łapczywie, dokładnie opróżniając tacę. Po posiłku podchodzi do okna. Środkowa część placu jest nadal pusta, ale na jego najdalszym krańcu ośmiu, może dziesięciu mężczyzn, wyglądających na brygadę remontową, właśnie odjeżdża pojazdami rolniczymi do pracy. W jego celi panują już zupełne ciemności. Nie mając nic innego do roboty, Michael zrzuca ubranie i rozwała się na



**kocach. Mimo wyczerpania długą całodzienną wędrówką nie od razu udaje mu się zasnąć: jego umysł pracuje jak oszalały, rozważając możliwości rozwoju obecnej sytuacji. Bez wątpienia jutro będą go wypytywać. Musi być ktoś, kto mówi językiem monad. A nawet jeśli nie, to przy odrobinie szczęścia Michael pokaże im, że jest niegroźny. Dużo uśmiechu, przyjazny sposób bycia, atmosfera niewinności. Może nawet namówi ich, aby odeskortowali go poza granice swego terytorium. Polecieliby z nim na wschód i wysadzili w jakiejś innej osadzie, pozwalając na kontynuowanie wędrówki do morza. Czy będą go tak aresztować w każdym następnym osiedlu? Koszmarna perspektywa. A może uda mu się znaleźć szlak, który omijałby tereny rolnicze, prowadząc - kto wie? - może wśród ruin dawnych miast. Pod warunkiem, że nie będą zamieszkałe przez jakichś dzikusów. Ci farmerzy są przynajmniej na swój sposób cywilizowani. Wyobraża sobie, jak jacyś ludożercy gotują go na rozgrzanym palenisku, ułożonym ze sterty kamieni, w miejscu, gdzie kiedyś był - powiedzmy - taki Pittsburgh. Albo od razu zjadają go na surowo. Czemu ci rolnicy są tacy podejrzliwi? Co może im zrobić jeden samotny wędrowiec? Niechęć w stosunku do obcych, typowa dla odizolowanej kultury - rozstrzyga. My też nie chcielibyśmy, by jakiś farmer pałętał się samopas po miastowcu. Tyle że monady rzeczywiście są systemami zamkniętymi. Wszyscy ponumerowani i przypisani do wyznaczonych miejsc. Ale ten ludek nie żyje przecież w aż tak sztywnych ramach. Nie powinni więc bać się obcych. Spróbuje ich o tym przekonać. Zapada w niespokojny sen.**

Po godzinie, najwyżej dwóch, budzi go pełna dysonansów muzyka, surowa i niepokojąca. Siada: na ścianie jego więzienia tańczą czerwone cienie. Jakaś projekcja obrazów? A może na zewnątrz pali się ogień? Rzuca się do okna. Zgadł. Pośrodku placu płonie imponujący stos złożony z suchych łodyg, gałęzi i resztek najprzeróżniejszych warzyw. Nie licząc obrazów z ekranu, Michael nigdy przedtem nie widział ognia; teraz jego widok napawa go jednocześnie przerażeniem i rozkoszą. Te migoczące wybuchy czerwoności, strzelające do góry, by zaraz zniknąć - co się z nimi dzieje? Nawet tutaj czuje płynące stamtąd gorąco. Strumień żaru, zmieniające się figury, roztańczone płomienie - tyle w tym niewyobrażalnego piękna! Tyle grozy. Nie boją się pozwolić, żeby ogień płonął tak swobodnie? Już rozumie: ze wszystkich stron ognisko otacza goła ziemia. Ogień nie może przedostać się dalej. Piach się nie pali. Z trudem odrywa oczy od hipnotyzującego żaru ogniska. Na lewo od płonącego stosu jeden przy drugim zasiada tuzin muzykantów. Dziwne, pewnie średniowieczne instrumenty, z których dźwięk wydobywa się za pomocą dmuchania, uderzania, trącania lub przyciskania klawiszy; nierówne i niedokładne tony oscylują wokół właściwej skali, chybiając o włos. Czynniki ludzkie. Michael, który wyjątkowo dobrze umie rozpoznać prawidłową tonację, krzywi się na te drobne, ale zauważalne odstępstwa od doskonałości. Za to farmerom zdaje się to nie przeszkadzać. Słuch nie zmanierowany mechaniczną perfekcją nowoczesnej technomuzyki. Kilkuset rolników, być może cała ludność wioski, siada w nierównych, kolistych rzędach wzdłuż obwodu placu; zajmą miejsca, zaczynają

kiwać się w takt zawodzącej piskliwie melodii, uderzając piętami o ziemię i rytmicznie klaszcząc dłońmi o łokcie. Blask ogniska sprawia, że wyglądają jak uczestnicy sabatu demonów; czerwona luna drga niesamowicie na ich półnagich ciałach. Michael dostrzega między nimi dzieci, ale wciąż jest ich mniej niż oczekiwał. Tu dwoje, gdzie indziej troje; przy wielu dorosłych parach tylko jedno albo i żadnego. To, co sobie uświadamia, poraża go: *oni tu kontrolują urodziny*. Aż cierpnie mu skóra. Po chwili jego odruchowa, pełna zgrozy reakcja budzi w nim śmiech z samego siebie; niezależnie od tego w jaką konfigurację ułożyły się jego geny, dzięki uwarunkowaniu pozostaje wciąż człowiekiem z monady. Muzyka robi się coraz bardziej dzika. Płomienie buchają wysoko w górę. Rolnicy zaczynają tańczyć. Michael spodziewa się, że ich taniec będzie szalony i bezkształtny - jakieś bezładne wymachiwanie kończynami, ale nie: płas ma o dziwo składny i zwarty układ, złożony z serii kontrolowanych, konwencjonalnych ruchów. Mężczyźni w jednym, kobiety w drugim szeregu; w przód, w tył i zmiana partnerów; łokcie w górę, głowa odrzucona do tyłu, kolana uginają się, teraz wyskok, obrót i znów w jednym rzędzie, splatając ręce. Tempo stale rośnie, ale rytm pozostaje wyraźny i spójny. Zrytualizowane układy kroków o rosnącej dynamice. Michael uświadamia sobie nagle, że to nie żadna zabawa, ale religijne święto. Obrzędy rolniczej osady. Co oni knują? Ma zostać ich barankiem ofiarnym? Pewnie myślą sobie, jak to opatrność zesłała im człowieka z monady. Spanikowany rozgląda się za kotłem, rożnem albo palem -czymkolwiek, na czym mogliby go ugotować. W miastowcu zawsze

**krażyły straszne opowieści o życiu w osadach, ale Michael nigdy nie dawał im wiary, uważając je za wyrosłe z ignorancji mity. Może jednak nie wszystko było do końca zmyślane.**

**Postanawia, że gdy po niego przyjdą, rzuci się na nich i będzie walczył. Lepiej być zastrzelonym od razu niż skończyć na wiejskim kamieniu ofiarnym.**

**Ale mija pół godziny i nikt przez ten czas nawet nie zerknął w stronę jego celi. Wieśniacy tańczą nieprzerwanie. Błyszczący od potu, wyglądają jak groteskowe i lśniące zjawy. Nagie, podrygujące biusty; rozdęte nozdrza, świecące oczy. Dorzucają do ognia świeżych gałęzi. Grajkowie prześcigają się w coraz bardziej oszalałych rytmach. Zaraz, a to co? Na plac wkraczają uroczyście postacie w maskach: trzy męskie i trzy kobiece.**

**Prawdziwe twarze ukryte są za wymyślnymi kulistymi kształtami, koszmarne zwierzęcymi i jaskrawymi. Kobiety niosą owalne kosze wypełnione płodami rolnymi; widać nasiona, ususzone kolby kukurydzy, przemielony pokarm. Mężczyźni otaczają siódmą osobę, kobietę; dwu z nich ciągnie ją za ramiona, podczas gdy trzeci popycha z tyłu. Jest brzemienna, w zaawansowanej ciąży: szósty, może nawet siódmy miesiąc. Nie nosi maski; ma surową, ściągniętą napięciem twarz: usta mocno zaciśnięte, oczy szeroko otwarte z przerażenia. Gwałtownym ruchem rzucają ją na kolana na wprost ogniska. Klęczy ze zwieszoną głową, jej długie włosy prawie zamiatają ziemię, a nabrzmiałe piersi kołyszą się w rytm nierównego, rwącego się oddechu. Jeden z mężczyzn w masce - nie sposób nie myśleć o nich jako o kapłanach - intonuje dźwięczne zaklęcie.**

Pierwsza zamaskowana kobieta wkłada w obie ręce ciężarnej po kolbie kukurydzy. Druga sypie jej na kark rozarte jedzenie, które przylepia się do spoconej skóry, a trzecia ziarno we włosy. Pozostali dwaj mężczyźni dołączają do pieśni. Ściskając kurczowo kraty, Michael ma wrażenie, jakby cofnął się w czasie o tysiące lat, w sam środek jakiejś neolitycznej uroczystości; to wprost niewiarygodne, że o jeden dzień marszu stąd wznosi się tysiącpiętrowy kolos Monady Miejskiej 116.

Namaszczanie ciężarnej płodami ziemi dobiegło końca. Dwóch kapłanów stawia ją na nogi, a jedna z kapłanek zrywa z niej jedyne okrycie. Tłum wieśniaków wyje. Obracają kobietę dookoła. Niech wszyscy napatrzą się na jej nagość. Ciężki, wystający brzuch, ze skórą napiętą jak bęben, lśniący w blasku ogniska. Szerokie biodra i mocne uda, mięsiste pośladki. Przewidując, że zdarzy się coś strasznego, Michael przyciska twarz do metalowych prętów, próbując zapanować nad *zgrozą*. Więc to ją, a nie jego chcą złożyć w ofierze? Błysk noża i nienarodzony płód zostanie wydarty z łona, żeby zjednać przychylność żniwnych bogów? Błagam, przestańcie. Może właśnie jego wyznaczyli na ofiarnika? Rozpalona wyobraźnia, zerwawszy się z uwięzi, uzupełnia ponury scenariusz: Michael widzi, jak wyprowadzają go z celi i przepędzają na środek placu; sierp wciśnięty do ręki, kobieta leży rozciągnięta na wznak przy ogniu, brzuchem do góry, kapłani zawodzą, kapłanki podskakują, odgrywając przed nim na migi to, co chcą, aby zrobił: pokazując naprężony łuk jej ciała, *znaczą* palcami miejsce wybrane do zadania ciosu, podczas gdy muzyka wznosi się na wyżyny szaleństwa, a płomienie

strzelają coraz wyżej i... Nie. Nie. Odwraca się, zasłaniając ramieniem  
oczy. Cały drży i ma mdłości. Kiedy zmusza się, by znów popatrzeć, widzi,  
jak wieśniacy wstają i tańczą, przybliżając się do ogniska i ciężarnej.

Kobieta stoi ogłupiała, ściskając wciąż kaczany kukurydzy; mocno zaciska  
uda i kurczy ramiona w sposób wskazujący, iż wstydzi się swojej nagości.

A oni płasają dokoła niej. Ochryplym głosem wyrzaskują zniewagi.

Robią przed nią ten czteropalczasty gest pogardy. Wytykają palcami,  
szydzą, oskarżają. Czarownica skazana na potępienie? Cudzołożnica?

Prześladowana kurczy się w sobie. Nagle tłuszcza przypada do niej ze  
wszystkich stron. Na oczach Michaela zadają jej razy, szturchają i pluja  
na nią. Szczęść boże, nie!

- Zostawcie ją! - krzyczy Michael. - Zabierzcie od niej swoje łapy, wy  
brudne smoluchy!

Jego wycie tonie w zgiełku muzyki. Coś z tuzin farmerów *otacza*  
nieszczęsną kolem, popychając ją we wszystkie strony. Jednoczesne  
kuksańce w przód i w tył: kobieta *zatacza* się, ledwo łapiąc równowagę;  
próbuje przerwać krąg, ale łapią ją za piersi i ciskają w przeciwnym  
kierunku. Dyszy ciężko i, oszalala z przerażenia, szuka jakiejś drogi  
ucieczki, lecz pierścień jest zwarty i farmerzy tylko przepychają ją w tę i z  
powrotem. Kiedy w końcu upada, podrywają ją na nogi i dalej przerzucają  
z rąk do rąk, chwytając za ramiona i kręcąc dookoła pośrodku kręgu.

Wreszcie kordon otwiera się, ale tylko po to, aby dopuścić innych  
wieśniaków. Nowe obelgi. Wszystkie ciosy zadawane są otwartymi  
dłońmi i żaden nie mierzy w brzuch, ale i tak spadają z wielką siłą. Po

brodzie i szyi kobiety sączy się strużka krwi; skóra na jednym kolanie i pośladku jest zdarta do żywego mięsa, po tym jak przewrócono ją na ziemię. Kobieta utyka: musiała zwichnąć sobie nogę w kostce. Wygląda tak bezbrinnie w swojej nagości; nie robi nic, by się obronić lub choćby chronić swe nienarodzone dziecko. Z kolbami kukurydzy w zaciśniętych dłoniach, biernie znosi wszystkie męczarnie, pozwalając, by oprawcy pomiatali nią, szczypiąc i rozdzielając razy. Motłoch przelewa się wokół niej: wszyscy czekają na swoją kolej, żeby móc jej nauragać. Hę jeszcze uda jej się wytrzymać? O co im chodzi? Chcą ją zatłuc na śmierć? Przyglądać się, jak na ich oczach poroni? Nigdy nie był w stanie nawet wyobrazić sobie tak ponurej sceny. Czuje się, jakby każdy kulak wymierzony wieśniaczkę lądował na jego własnym ciele. Gdyby to było w jego mocy, wszystkich co do jednego poraziłby na śmierć piorunami. Czy nie ma w nich ani krzty poszanowania życia? Ta kobieta powinna być otoczona czcią, a nie dręczona.

Znika, przykryta hordą wrzeszczących napastników.

Po minucie albo dwu rozpierzchają się. Kobieta klęczy, na pół przytomna. Jest bliska upadku. Jej usta wykrzywione są w histerycznym, dławiącym szlochu. Drży na całym ciele. Głowa zwieszona do przodu.

Czyjeś paznokcie zostawiły serię krwawych linii, biegnących równolegle w poprzek prawej piersi. Brud oblepia ją całą.

Muzyka niespodziewanie łagodnieje, jak gdyby trzeba było złapać oddech przed jakimś punktem kulminacyjnym. Zaraz przyjdą po mnie - myśli Michael. Mam ją zabić, pokryć, kopnąć w brzuch, a może jeszcze coś

**innego. Lecz nikt nie patrzy nawet w stronę budynku, w którym go więżą.**

**Trójka kapłanów dalej śpiewa unisono. Melodia znów przybiera na sile.**

**Wieśniacy rzucają się w tył, gromadząc się po kilku na obwodzie placu. A**

**kobieta niepewnie podnosi się, cała dygocząc. Spogląda w dół na własne**

**zakrwawione i zmaltretowane ciało. Jej twarz jest zupełnie bez wyrazu:**

**wyprana ze strachu, wstydu czy bólu. Powoli podchodzi do ogniska, tylko**

**raz się potykając. Odzyskawszy równowagę, prostuje się. Staje na skraju**

**stosu, niemal pozwalając, by lizały ją języki ognia. Jest odwrócona tyłem**

**do Michaela. Ma pulchny i ciężki zad, z głębokimi dołeczkami. Plecy**

**poznaczone krwawymi śladami. Szeroka miednica, wyraźnie rozszerzona**

**na skutek zaawansowanej ciąży. Muzyka urywa się. Kapłani milkną i**

**nieruchomieją. Z całą pewnością kulminacyjny moment. Wskoczy w**

**plomień?**

**Nie. Podnosi ramiona. W blasku ogniska widać obrys ku-**

**kurydzianych kolb. Kobieta wrzuca je do ognia: dwa krótkie rozbłyski i**

**znikają, pożarte. Mieszkańcy osady wydają z siebie potężny ryk, a**

**muzykanci wtórują im kakofonią jazgotliwych tonów. Wyczerpana**

**naguska odtacza się na chwiejnych nogach od ognia, upada z łoskotem na**

**lewe biodro i nie próbując nawet się podnieść zaczyna lkać. Kapłani i**

**kapłanki odchodzą sztywno i uroczyście, rozplywając się w ciemnościach.**

**Pozostali wieśniacy zwyczajnie rozchodzą się, zostawiając na placu**

**jedynie skuloną kobiecą postać. Zbliża się do niej jakiś mężczyzna, wysoki**

**i brodaty; Michael pamięta, że widział go przedtem w samym środku**

**tłumu katujących ją dręczycieli. Brodacz podnosi ją i z czułością tuli do**



siebie. Całuje jej podrapaną pierś. Delikatnie przeciąga dłonią po brzuchu, jakby chcąc się upewnić, że dziecku nic się nie stało. Kobieta mocno przywiera do niego. Brodaty mówi coś miękko; do uszu Michaela dolatują obco brzmiące słowa. Kobieta wyjąkuje odpowiedź głosem drżącym od szoku. Nie zwracając uwagi na ciężar, mężczyzna ostrożnie niesie ją na rękach do jednego z domów po drugiej stronie placu.

Wszystko pogrąża się w ciszy. Tylko ognisko dopala się, rozpadając z suchym trzaskiem na drobne kupki. Kiedy po dłuższej chwili nikt nie zakłóca spokoju osady, oszołomiony, zbity z tropu Michael odrywa się od okna i rzuca na swoją stertę koców. Cicho. Ciemno. W głowie wirują mu poszczególne sceny przedziwnej ceremonii. Trzęsie się i drży - prawie na granicy *t* płaczu. W końcu zapada w sen.

Budzi go przyniesienie śniadania. Patrzy na tacę dobre parę minut, zanim zmusza się, by wstać. Wszystkie mięśnie protestują, sztywne i bolące po wczorajszym marszu. Zaciskając pięści, kuśtyka do okna: po ognisku została tylko kupa popiołu, a wieśniacy krzątają się jak gdyby nigdy nic, zajęci porannymi pracami; maszyny rolnicze już wyjechały w pole. Michael pochlapuje wodą twarz i wydała odchody. Następnie odruchowo rozgląda się za splukiwaczem; nie znajdując go, zaczyna zastanawiać się, jak uda mu się wytrzymać w skorupie brudu, który zdążył zakrzepnąć na jego skórze. Dopiero teraz uświadamia sobie, jak głęboko zakorzenione jest w nim przyzwyczajenie, by każdy dzień rozpoczynać od naddźwiękowego prysznicu. Nie pozostaje mu nic innego, jak zająć się tacą, na której znajduje sok i chleb, oraz owoce i wino. Wystarczy. Nie

skończył jeszcze jeść, gdy drzwi celi uchylają się, wpuszczając do środka kobietę. Jest ubrana w zwyczajny, skąpy strój osadnika. Michael wyczuwa instynktownie, że to ktoś znaczny; jej oczy płoną wyrazistym, chłodnym blaskiem autorytetu i powagi. Przybyła ma bystrą, inteligentną twarz. Wygląda na jakieś trzydzieści lat. Szczuple i gibkie ciało - sprężyste mięśnie, długie kończyny i drobne piersi - jak u większości wieśniaczek. W pewnym stopniu przypomina mu Micaelę, choć jej włosy są kasztanowe i krótko przycięte, a nie czarne i długie. O lewe udo opiera się zawieszona na rzemieniu broń.

- Okryj się - mówi do niego władczym głosem. - Twoja golizna nie jest tu mile widziana. Włóż ubranie, potem porozmawiamy.

Mówi językiem monad! Ma dziwny, obcy akcent, skraca wyrazy, jak gdyby jej lśniące, ostre zęby przycinały końcówkę każdego

wypowiadanego przez nią słowa. Samogłoski są wymawiane niewyraźnie i nieczysto, ale to bez wątplenia mowa jego ojczystego miastowca. Co za ulga. Nareszcie będzie mógł się porozumieć.

Pospiesznie nakłada ubranie. Kobieta obserwuje go z kamienną

**twarzą. Twarda sztuka, bez dwu zdań.**

**- W monadach nie przywiązujemy zbyt dużej wagi do zakrywania ciała. Żyjemy, jak to nazywamy, w kulturze doby post-prywatnej. Nie wiedziałem, że...**

**- Teraz jesteś tu, a nie w monadzie.**

**- Oczywiście. Przepraszam, że obraziłem cię przez nieznamość waszych zwyczajów.**

**Jest już całkowicie ubrany. Odnosi wrażenie, że trochę zmiękła, możliwe, że po jego przeprosinach, a może po prostu dlatego, że przestał świecić golizną. Zrobiwszy kilka kroków w głąb celi, kobieta odzywa się:**

**- Już dawno nie mieliśmy tu żadnego miejskiego szpiega.**

**- Nie jestem szpiegiem. Zimny, niedowierzający uśmiech.**

**- Naprawdę? To co tutaj robisz?**

**- Nie miałem zamiaru wchodzić na terytorium waszego osiedla. Po prostu przechodziłem tędy w drodze na wschód, nad morze.**

**- Czyżby? - jak gdyby usłyszała, że wybrał się piechotą na Plutona. -1**  
**podróżujesz sam?**

**-Tak.**

**- A kiedyż to zaczęła się ta cudowna wyprawa?**

**- Wczoraj, bardzo wcześnie rano - odpowiada Michael. -Mieszkam w Monadzie 116. Jestem konserwatorem komputerowym, jeśli coś ci to mówi. Nagle poczułem, że nie wytrzymam dłużej w środku i muszę zobaczyć, jaki jest świat na zewnątrz, więc załatwiłem sobie przepustkę i wyśliznąłem się cichaczem jeszcze przed świtem. Zacząłem iść, wszedłem**

na wasze pola, potem chyba zauważyły mnie automaty rolnicze i zostałem zatrzymany i przywieziony tutaj. Nie było nikogo, kto znalazłby mój język, więc nie mogłem wytłumaczyć, kim...

- Co chcesz zyskać, szpiegując nas? Michael wzrusza ramionami.

- Mówilem ci - powtarza zmęczonym głosem. - Nie jestem szpiegiem.

- Miastowi nie wychodzą, ot tak, ze swoich budowli. Przez wiele lat miałam z wami do czynienia i znam wasz sposób myślenia.

Jej oczy są teraz na jednym poziomie z jego. Zimne, bardzo zimne.

- Po pięciu minutach na zewnątrz bylbys sparalizowany ze strachu - mówi z przekonaniem. - To jasne, że zostałeś przeszkolony do tego zadania, inaczej nie bylbys przy zdrowych zmysłach po całym dniu na powietrzu. Nie rozumiem tylko, po co cię przysłali. Wy macie swój świat, a my swój; pełna zgodność interesów, nikt nikomu nie wchodzi w paradę: nie ma potrzeby szpiegować.

- Właśnie - przytakuje Michael. - I dlatego nie mogę być szpiegiem.

Łapie się na tym, że ta wieśniaczka pociąga go mimo swego wrogiego nastawienia. Jej znajomość rzeczy i pewność siebie wywierają na nim wrażenie. Gdyby tylko uśmiechnęła się, byłaby naprawdę ładna.

- Co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła? - ciągnie dalej. - Naprawdę chciałem tylko zobaczyć zewnętrzny świat. Spędziłem w miastowcu całe życie. Nigdy nie czułem zapachu świeżego powietrza ani słońca piekącego skórę. Między mną a niebem mieszkały tysiące ludzi. Odkryłem, że tak naprawdę nie jestem dobrze przystosowany do tamtego społeczeństwa,

więc wyszedłem. Nikogo nie szpieguję. Chcę tylko podróżować, a przede wszystkim - zobaczyć morze. Widziałaś je kiedyś? Nie? Marzę o tym, żeby przejść się wzdłuż brzegu, poczuć pod stopami mokry piasek, usłyszeć, jak przewalają się fale...

Żarliwość w jego głosie dała jej chyba do myślenia. Już trochę mniej szorstko pyta go, wzruszając ramionami:

- Jak się nazywasz?

- Michael Statler.

- Wiek?

- Dwadzieścia trzy lata.

- Moglibyśmy odstawić cię na pokład najbliższej gondoli dostawczej razem z ładunkiem grzybów. Za pół godziny byłbyś z powrotem w monadzie.

- Proszę - mówi łagodnie Michael - nie róbcie tego. Po prostu pozwólcie mi iść dalej na wschód. Nie mogę tak od razu wrócić.

- Chcesz powiedzieć, że nie zebrałeś jeszcze dość informacji?

- Mówiłem już, że nie... - urywa, zdając sobie sprawę, że osadniczka tylko się z nim drażni.

- Zgoda . Załóżmy, że nie jesteś szpiclem. Może tylko wariatem.

Po raz pierwszy uśmiecha się. Osunąwszy się po ścianie, siada po turecku na podłodze, twarzą do Michaela.

- Więc co myślisz o naszej osadzie, Statler? - pyta tonem swobodnej, towarzyskiej pogawędki.

- Nie wiem nawet, jak miałbym zacząć odpowiadać na to pytanie.

**- Jacy jesteście, według ciebie? Prości? Skomplikowani?**

**Przerażający? Źli? Niezwykli?**

**- Inni - sili się na odpowiedź Michael.**

**- Inni w porównaniu z ludźmi z miastowca, czy w ogóle i po prostu:**

**inni?**

**- Nie jestem pewien, czy widzę jakąś różnicę. Tu jest zupełnie jak na innej planecie. Ja... ja... Tak w ogóle, jak masz na imię?**

**- Artha.**

**- Arthur? U nas to imię męskie.**

**- A-R-T-H-A.**

**- Ach, Artha. Jakie dziwne imię. Piękne. Zaplata ciasno palce.**

**- Żyjecie tak blisko ziemi, Artha. Dla mnie to zupełnie jak z bajki. Te wasze domki. Plac. Chodzicie sobie swobodnie po otwartej przestrzeni.**

**Na słońcu. Palicie ogniska. Żadnej góry i dołu. Ta historia wczoraj wieczorem, z muzyką i kobietą w ciąży. Co to właściwie było?**

**- Taniec nienarodzenia?**

**- Więc to było to? Jakiś... - nie chce mu przejść przez gardło - obrządek na cześć bezpłodności?**

**- Mający zapewnić dobre plony - poprawia go Artha. - Żeby uprawy były zdrowe i żeby rodziło się mało dzieci. Sam rozumiesz, mamy tu własne prawa dotyczące rozmnażania.**

**- Więc ta kobieta, którą wszyscy bili, zaszła w ciążę niezgodnie z prawem, czy tak?**

**- Ależ skąd - parska śmiechem Artha. - Dziecko Milchy będzie jak**

**najbardziej legalne.**

**- No to dlaczego... tak się nad nią znęcali? Przecież mogła je stracić.**

**- W tej chwili w osadzie mamy jedenaście ciężarnych kobiet -**

**tłumaczy mu Artha. - Któraś musiała to zrobić. Było losowanie i Milcha przegrała. Albo wygrała, bo to nie jest kara, tylko religijna powinność,**

**Statler. Była celebrantką, świętym kozłem ofiarnym; była... była... nie  
umiem tego nazwać w waszym języku. Jej cierpienie przyniosło**

**pomyślność i zdrowie całej osadzie. Sprawilo, że nasze kobiety nie urodzą  
żadnych niechcianych dzieci; tym samym zachowamy doskonałą**

**równowagę. Wiem: to bolesne przeżycie. Trzeba znieść wstyd, paradując  
nago przed wszystkimi. Ale któraś kobieta musi wziąć na siebie ten**

**ciężar. Poza tym, to wielki zaszczyt. Milcha już nigdy nie będzie musiała  
robić tego drugi raz, za to do końca życia zachowa pewne przywileje. No i**

**oczywiście, każdy z nas jest jej wdzięczny, że wzięła na siebie wszystkie  
razy. To nas ochroni przez cały przyszły rok.**

**- Ochroni?**

**- Przed gniewem bogów.**

**- Ach tak, bogów... - powtarza Michael cicho, lękając ostatni wyraz i  
próbując zrozumieć, co on znaczy.**

**- Dlaczego nie chcecie mieć dzieci? - pyta po chwili.**

**- Myślisz, że jesteśmy sami na świecie? - odpowiada Artha z nagłym  
ogniem w oczach. - Jedyne, co mamy, to ta osada; działka ziemi, którą  
nam przydzielono. Musimy wytwarzać żywność dla siebie i dla  
miastowców, czyż nie tak? Jaki byłby wasz los, gdybyśmy tak po prostu**

mnożyli się i mnożyli? Nasza wioska rozrosłaby się, zajmując ponad połowę pól uprawnych, a plony z pozostałych terenów rolniczych ledwo starczałyby na zaspokojenie naszych własnych potrzeb. Dla was nie zostałyby nic. Dzieciom potrzeba domów, a domy zajmują powierzchnię. Jak można uprawiać ziemię, na której stoi pełno domów? Dlatego trzeba wyznaczać pewne granice.

- Przecież osiedle wcale nie musiałoby wchodzić na pola.

Moglibyście rozbudowywać się do góry, tak jak my, zwiększając liczbę ludności nawet dziesięciokrotnie i nie zajmując przy tym ani piędzi ziemi więcej. Zgadzam się, że potrzebowalibyście więcej żywności i zostałyby mniej na dostawy dla nas, ale przecież...

- Zupełnie nic nie rozumiesz - przerywa mu Artha. - Mamy

przekształcić nasze osiedle w miastowiec? Żyjecie po swojemu, a my po swojemu. Nasz styl życia każe nam mieszkać wśród żyznych pól i trwać przy malej liczbie ludności. Czemuż to mielibyśmy upodobnić się do was?

Szczycimy się, że *nie jesteśmy wami*. Jeśli już mielibyśmy się rozprzestrzeniać, to tylko horyzontalnie. Z czasem całą ziemię pokryłaby martwa skorupa brukowanych dróg i ulic, zupełnie jak dawniej. Nie.

Jesteśmy ponad takimi rzeczami. Sami wyznaczamy sobie granice, żyjemy po swojemu, we własnym rytmie, i jesteśmy szczęśliwi. Oby ten porządek trwał wiecznie. Czy to takie złe? Bo my myślimy, że to ludzie z monad są źli, właśnie dlatego, że nie stosują kontroli urodzin; wprost przeciwnie: *zachęcają do rozmnażania*.

- Nie musimy kontrolować urodzin - wyjaśnia jej Michael. - Zostało



matematycznie dowiedzione, że jeszcze nawet nie zaczęliśmy wyczerpywać wszystkich zasobów planety. Żyjąc w pionowych miastach, monadach, możemy pozwolić sobie na podwojenie, nawet na potrojenie liczby ludności, a i tak będzie dość miejsca dla wszystkich. Bez wkraczania na tereny rolnicze. Co parę lat buduje się nowy miastowiec i zapasy jedzenia jakoś się nie zmniejszają; rytm waszego życia też się nie zmienia, a...

- Wierzysz, że tak będzie zawsze?

- Cóż, może nie zawsze - ustępuje Michael - ale na pewno długo.

Przy obecnym tempie rozwoju upłynie przynajmniej pięćset lat, nim poczujemy, że robi się tłok.

- I co wtedy?

- Do tego czasu wymyślą jakieś rozwiązanie. Artha potrząsa wściekle głową.

- Nie! Nie! Jak możesz mówić coś takiego? Płodzić i płodzić bez opamiętania, a przyszłość niech się martwi, co dalej...

- Posłuchaj - mówi Michael. - Rozmawiałem o tym z moim szwagrem, który jest historykiem, specjalistą od dwudziestego wieku. W tamtych czasach istniało przekonanie, że kiedy liczba ludności świata przekroczy pięć, sześć miliardów, to wszyscy *zaczną* głodować. Trąbiło się o kryzysie demograficznym i tak dalej. Potem przyszła katastrofa, a jeszcze później zaprowadzono nowy porządek i stanęły pierwsze monady; zakazano horyzontalnego użytkowania ziemi w starym stylu i wiesz, co? Okazało się, że jest miejsce dla *dziesięciu* miliardów. Potem dla

**dwudziestu, dla pięćdziesięciu, aż doszliśmy do siedemdziesięciu pięciu.**

**Wystarczyły wyższe miastowce, efektywniejsza gospodarka żywnościowa i większe skupienie ludności na terenach nie nadających się pod uprawę.**

**Za kogo się mamy, by twierdzić, że przyszłe pokolenia poradzą sobie z rosnącą populacją gorzej niż my; że nie znajdą sposobu, aby pomieścić pięćset, kto wie, może nawet tysiąc miliardów? W dwudziestym wieku nie znalazłabyś nikogo, kto by uznał za prawdopodobne, że na Ziemi może żyć tyle ludzi, ile żyje dzisiaj. Więc po co na zapas martwić się czymś, co niekoniecznie musi być dla przyszłości jakimkolwiek problemem; ograniczać dzieło boskie niebłogosławienną kontrolą urodzin, grzeszyć przeciwko życiu, nie mając żadnej pewności, że...**

**- Ha! - prycha Artha. - Nigdy nas nie zrozumiecie. Ani, jak sądzę, my was.**

**Wstaje i idzie dużymi krokami w stronę drzwi.**

**- Ostatnie pytanie - zwraca się do Michaela. - Jeżeli życie w monadach to naprawdę taki wspaniały pomysł, czemu czmychnąłeś stamtąd, żeby włóczyć się po naszych polach?**

**Nie czekając na odpowiedź, wychodzi. Trzaśnięcie drzwi; Michael podchodzi do nich i przekonuje się, że są zamknięte na klucz. Znow jest sam. I nadal jest więźniem.**

**Długi, bezbarwny dzień. Nikt do niego nie zagląda, z wyjątkiem dziewczyny z obiadem, która tylko wchodzi i wychodzi. Smród w celi daje mu się we znaki, a brak splukiwacza robi się wręcz nie do zniesienia.**

**Michael ma wrażenie, że od zaskorupiałego, żrącego brudu zaczyna gnić**

mu skóra. Wyciągając szyję, aby zobaczyć ile tyłko się da przez wąskie okno, przygląda się życiu w osadzie. Automaty rolnicze odjeżdżają i przyjeżdżają. Krzepcy wieśniacy ładują worki z produktami spożywczymi na pas transmisyjny, który znika gdzieś pod ziemią - prowadząc pewnie do linii gondol dostawczych, wożących żywność dla monad i artykuły przemysłowe dla osiedli. Właśnie przechodzi wczorajsza męczennica, Milcha; posiniaczona, utykająca - najwyraźniej zwolniona dzisiaj od pracy. Rolnicy pozdrawiają ją z widoczną estymą. Ciężarna uśmiecha się, głaszcząc po brzuchu. Za to nigdzie nie widać Arthy. Czemu go nie puszczają? Prawie na pewno przekonał ją, że nie jest szpiegiem. Zresztą, kimkolwiek by nie był, w jaki sposób mógłby zagrażać osadzie? Jednak nadchodzi kolejny wieczór, a on nadal tkwi w zamknięciu. Na dworze wciąż krzątają się opaleni i spoceni rolnicy, skrzętni i celowi w swojej pracy. Z celi Michael widzi z pewnością tylko drobną część codzienności osiedla; gdzieś poza zasięgiem jego wzroku muszą być szkoły, magazyny i warsztaty naprawcze, budynek władz i pewnie jakiś teatr. W jego pamięci wciąż żywe są obrazy wczorajszego tańca nienarodzenia. Barbarzyński obrządek, dzika muzyka i męczarnie tamtej kobiety. Ale wie już, że niezależnie od tego, co widział, błędem jest myśleć o tych wieśniakach jako o istotach prymitywnych i prostych. Owszem, wydają się dziwacznik, lecz ich dzikość jest powierzchowna; to tylko maska, którą wkładają, aby wyraźnie odciąć się od ludzi z monad. W rzeczywistości tworzą złożoną społeczność, utrzymywaną dzięki stanowi delikatnej równowagi. Równie skomplikowaną, jak jego własna. Precyzyjna społeczna maszyna, o

którą trzeba dbać. Na pewno mają tu gdzieś centrum komputerowe, nadzorujące obsiewanie, doglądanie i zbiór upraw, do którego obsługi potrzebują kadry wykwalifikowanych techników. Kwestie biologiczne, które trzeba rozstrzygać: pestycydy, usuwanie chwastów, wszystkie zawile uwarunkowania ekologiczne. Nie zapominając, rzecz jasna, o systemie handlu wymiennego, łączącym osiedle z miastowcem. Dociera do niego, że to, co ogląda, to tylko wystrój zewnętrzny tego miejsca.

Dopiero późnym popołudniem Artha znów odwiedza go w celi.

- Wypuszczą mnie niedługo? - natychmiast pyta Michael.

Wieśniaczka kręci głową.

- Właśnie nad tym debatują. Osobiście radziłam, żeby cię uwolnić, ale niektórzy z nich są bardzo podejrzliwi.

- Kto taki?

- Nasi przywódcy. Większość z nich to starcy, z natury nie ufają obcym. Paru jest za tym, by złożyć cię w ofierze bogu żniw.

- *Złożyć w ofierze?*

Artha szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu. W tej chwili nie ma w niej nic z uprzedniej nieprzystępności; odprężyła się, jest najwyraźniej przyjaźnie nastawiona. Bezsprzecznie po jego stronie.

- Przeróżająca perspektywa, nieprawdaż? - odzywa się do niego. -

Jednak takie rzeczy się zdarzają. Od czasu do czasu nasi bogowie żądają ludzkiej ofiary. W monadzie nigdy nikogo nie zabijacie?

- Owszem: kiedy ktoś *zagroza* stabilności naszego społeczeństwa -

przyznaje Michael. - Przestępców wrzuca się do zsuwni. Spadają do

**komór spalania w podziemiach miastowca. Ich ciała przysparzają**

**budowli więcej energii. Ale...**

**- Więc zabijacie, aby wszystko funkcjonowało bez zarzutu. Cóż , nam**

**też się to zdarza, na szczęście niezbyt często. Wprawdzie nie**

**przypuszczam, żeby mieli zrobić to z tobą, ale decyzja jeszcze nie zapadła.**

**- Kiedy zdecydują?**

**- Być może jeszcze dziś wieczorem, a może dopiero jutro.**

**- W jaki sposób mogę być niebezpieczny dla osady?**

**- Nikt nie twierdzi, że jesteś - mówi Artha. - Jednak poświęcenie**

**życia człowieka z monady może przynieść nam pewne korzyści, wzmocnić**

**siłę naszych modłów. To sprawa natury filozoficznej, nie tak łatwo ją**

**wytłumaczyć: miastowce to odbiorcy naszej żywności i gdyby raz dla**

**odmiany nasz bóg żniw symbolicznie spożył monadę i jej mieszkańców,**

**których metaforycznym ucieleśnieniem byłbyś ty, stałoby się to**

**mistycznym potwierdzeniem współistnienia naszych dwu światów i...**

**och, nieważne. Może nie podejną do tego w ten sposób. Taniec**

**nienarodzenia był nie dalej jak wczoraj; na razie nie trzeba nam więcej**

**boskiej opieki. Właśnie to im powiedziałam. Dlatego myślę, że twoje**

**szansę na uwolnienie są całkiem spore.**

**- Całkiem spore - powtarza Michael posępnie. - Cudownie.**

**Dalekie morze. Szary jak popiół stożek Wezuwiusza. Jerozolima.**

**Tadż Mahal. Wszystko to nagle równie odległe jak gwiazdy. Morze.**

**Morze. Śmierząca cela. Rozpacz aż ściska go za gardło.**

**Artha próbuje go pocieszyć. Siada przy nim w kucki na krzywej**

podłódze. Ma oczy pełne ciepła i tkliwości. Dawna wojskowa obcesowość zniknęła bez śladu. Chyba naprawdę go lubi. Poznając go lepiej, jak gdyby pokonała barierę kulturowych różnic, przez które przedtem wydawał jej się taki obcy. Michael czuje, że to samo dzieje się z nim. Ich wzajemna nieufność topnieje. Jej świat jest inny niż jego, lecz Michael wierzy, że potrafiłby przystosować się przynajmniej do niektórych z tych nieznanych reguł, które w nim *rządzą*. Musi nawiązać z nią bliższy kontakt. Jest mężczyzną, a ona kobietą - to podstawa. Cała reszta to przecież tylko fasada. Jednak w miarę jak pograżają się w rozmowie, Michael co rusz napotyka na nowe przykłady tego, jak bardzo się różnią. Wypytyując Arthę, dowiaduje się, że nie ma męża. Zdumiony, wyjaśnia jej, że w miastowcu wszyscy powyżej dwunastu, trzynastu lat mają już życiowego partnera. Artha mówi, że ma trzydzieści jeden lat. Jakim cudem kobieta tak atrakcyjna jak ona nigdy nie wyszła za mąż?

- Mamy tu dosyć mężatek - odpowiada mu. - Nie miałam powodu wychodzić za mąż.

Ale przecież chciałaby mieć dzieci? Nie, bynajmniej. W osiedlu jest już wyznaczona ilość matek. Ona ma inne obowiązki, które ją pochłaniają.

- Na przykład, jakie? - dopytuje się Michael.

Artha objaśnia mu, że pracuje w zespole łącznościowym odpowiedzialnym za handel z monadami. Właśnie dlatego tak dobrze mówi jego językiem. Często ma do czynienia z miastowcami: zajmuje się wymianą żywności na artykuły przemysłowe; organizuje naprawy maszyn

rolniczych, ilekroć psują się tak, że ich reperacja przekracza umiejętności mechaników w osadzie... itede, itepe.

- Mogło się zdarzyć, że to właśnie ja kontrolowałem twoje

połączenia z miastowcem - mówi jej Michael. - Niektóre węzły, za które odpowiadam, przechodzą przez poziom dostawczy. Jeśli wrócę jeszcze do domu, będę próbował cię słuchać, Artha.

Jej uśmiech jest oślepiający. Michael zaczyna przypuszczać, że być może, kto wie, w jego celi rozkwita jakieś uczucie.

Artha dopytuje się o monadę.

Nigdy nie była w wieży osobiście; zawsze kontaktowała się z

miastowcami wyłącznie za pośrednictwem kanałów komunikacyjnych.

Widać po niej ogromną ciekawość. Chce, aby Michael opisał jej, jak

wyglądają pomieszczenia mieszkalne, szkoły i obiekty wypoczynkowe; jak działa transport z całym systemem szybociągów. Kto przyrządza

jedzenie? Kto decyduje o wyborze zawodów dla dzieci? Czy wolno

podróżować z miasta do miasta? Gdzie mieszkają ci wszyscy nowi ludzie?

Jak, żyjąc tak blisko jedno drugiego, udaje im się uniknąć wzajemnej

nienawiści? Czy nie czują się jak więźniowie? Tysiące, upchnięte razem

jak pszczoły w ulu - jak można to wytrzymać? A stęchłe powietrze, blade

sztuczne światło, izolacja od prawdziwego świata? To niepojęte, jak

można wieść tak ograniczone życie. Michael stara się jej powiedzieć, że

nawet on, uciekinier z wyboru, szczerze kocha swój miastowiec. Jego

subtelną równowagę potrzeb i pragnień; ten wyrafinowany ustrój

społeczny zaplanowany tak, by maksymalnie zmniejszyć tarcia i

frustracje; poczucie wspólnoty z własnym miastem i wioską; gloryfikację rodzicielstwa i gigantyczne sztuczne mózgi w rdzeniu instalacyjnym, które koordynują przeplatające się delikatnie rytmy życia w budowlu. Przedstawia miastowiec jako pełne poezji arcydzieło międzyludzkich związków, cud cywilizacyjnej harmonii. Jego słowa robią się coraz bardziej żarliwe i górnolotne. Artha wydaje się słuchać jak urzeczona. A Michael mówi i mówi; w jakimś wymownym uniesieniu opisuje urządzenia toaletowe i sypialne, ekrany i terminale danych, przetwarzanie i uzdatnianie odchodów, spalanie odpadów stałych i generatory pomocnicze, które wytwarzają elektryczność, gromadząc nadmiar ciepła ludzkich ciał; opowiada o otworach wentylacyjnych i obiegu powietrza, o złożonej strukturze społecznej pięter: tu - pracownicy obsługi technicznej, tam - robotnicy przemysłowi, uczeni, artyści, inżynierowie, konserwatorzy komputerowi i administratorzy. Wspólne dormitoria dla starców, dla nowożeńców, ślubne obyczaje, cudowna wzajemna tolerancja przy surowym egzekwowaniu przykazania zabraniającego samolubstwa, Artha potakuje głową, dopowiadając za niego słowa, kiedy urywa w pół zdania i pędzi do następnego. Jej twarz rumieni się z podniecenia, jak gdyby też dała się porwać wzniosłości jego opisu. Po raz pierwszy zdaje się rozumieć, że upchnięcie setek tysięcy istnień w jednej budowlu na całe życie niekoniecznie musi być czymś okrutnym i nieludzkim. Ciągnąc swój opis, Michael zastanawia się, czy aby nie daje się ponieść własnej retoryce; przecież to, co mówi, musi brzmieć jak najżarliwsza propaganda stylu życia, w którego wartość bądź



co bądź poważnie zwątpił. Mimo to nie przerywa opisu monady, samorzutnie pochwalnego w swojej wymowie. Nie będzie krytykował. W końcu ludzkość nie miała innej drogi rozwoju i pionowe miasta były po prostu koniecznością. Są takie piękne. Wspaniale złożone, przemyślnie konstrukcje. Oczywiście, przyznaje Michael, zewnętrzny świat też kryje wiele piękna - właśnie tego wybrał się szukać, ale to głupie uważać miastowiec za twór poroniony, budzący wstręt i obrzydzenie. Na swój własny sposób jest czymś doskonałym. Jedyne w swoim rodzaju, unikalne rozwiązanie kryzysu demograficznego. Heroiczna odpowiedź na arcytrudne wyzwanie. Wydaje mu się, że mimo wszystko trafia do przekonania tej wychowanej pod piekącym słońcem, ale chłodnej i przenikliwej rolniczce. Jego upojenie własnymi słowami przemienia się w coś nieodparcie erotycznego: czuje, jak porozumiewa się z Arthą, dociera do jej umysłu; jak podążają razem w sposób, który jeszcze wczoraj żadne z nich nie uznałoby za możliwy. Dla Michaela ten nowy rodzaj bliskości jest czymś wyraźnie fizycznym i zmysłowym. Dochodzi do głosu naturalny sposób myślenia mieszkańca monady: wszyscy są dla siebie wzajemnie dostępni, wszyscy i zawsze. Trzeba przypieczętować tę intymność wspólnotą ciał. Przecież to normalna forma umocnienia ich duchowej więzi - przejść od konwersacji do kopulacji. Osiągnęli już taką bliskość. Oczy Arthy tak błyszczą. Ma takie drobne piersi. Przypomina mu Micaelę. Nachyla się w jej stronę. Jego lewa ręka prześlizguje się przez zasłonę jej ramion, palce szukają i odnajdują pierś; Michael nakrywa ją dłonią. Dotknięciami nosa zrównuje jej szczękę z linią własnych ust, kierując

wargi w stronę płatka ucha. Drugą ręką obejmuje ją w talii, próbując rozszyfrować tajemnicę zapięcia jej jednoczęściowego stroju. Jeszcze chwila i będzie ją miał nagą. Ciało przy ciele, preludium zespolenia.

Zręczne, doświadczone palce szukają drogi do wejścia. I nagle:

- Dosyć. Przestań.

- Nie mówisz poważnie, Artha.

Właśnie udaje mu się rozluźnić jej świecące, czerwone okrycie.

Dalej ściska mocno twardą i małą pierś. Jego usta w pogoni za jej ustami.

- Jesteś taka spięta. Rozluźnij się. Seks jest błogosławienny. Kochać się to...

- Zostaw mnie.

Znów jest ostra jak krzemień. Szorstkie, zdecydowane polecenie.

Nagle zaczyna wyrywać się z jego objęć.

Może to jakiś seksualny obyczaj wieśniaków? Udawany opór? Artha

mocno przytrzymuje swój strój i odpycha go łokciem, próbując

jednocześnie przyciągnąć do siebie kolano. Michael opasuje ją

ramionami, starając się przycisnąć sobą do podłogi. Nie przerywa

pieszczot. Całuje. Mruczy szeptem jej imię.

- *Puść* mnie - słyszy w odpowiedzi.

To dla niego zupełnie nowe doświadczenie. Normalna kobieta, z

krwi i kości, szamocze się, odrzucając z niechęcią jego zaloty. W

miastowcu

za

coś

**takiego**

**mogliby**

**skazać**

**ją**

**na**

**śmierć.**

**Niebłogosławienna odmowa współobywatelowi. Ale to nie jest miastowiec. To nie miastowiec. Jej opór rozpala go jeszcze bardziej; jak by nie było, już parę dni obywa się bez kobiety - najdłuższy okres abstynencji, jaki pamięta; jego męskość jest nabrzmiała i twarda do granic wytrzymałości, niczym rozżarzony miecz. Żadnych uników; po prostu musi w nią wejść, i to jak najszybciej.**

**- Artha. Artha. Artha - dyszy jego ustami najpierwotniejszy instynkt.**

**Jej ciało uwięzione pod nim. Precz z przepaską; w trakcie walki rejestruje kątem oka smukłe uda, matowokasztanową deltę łona. Płaski, dziewczęcy brzuch kobiety, która nigdy nie rodziła. Gdyby tylko udało mu się ściągnąć jakoś ubranie, nie wypuszczając jej spod siebie. Mocuje się z nim jak jakiś demon. Jego szczęście, że odwiedzając go w celi nie wzięła ze sobą broni. Uważaj! Ale ma oczy! Jęczy i dyszy. Dzikie razy pary okładających go pięści. Czuje słony smak krwi na pękniętej wardze.**

**Napotyka jej wzrok i targa nim przerażenie. Zawzięte, mordercze spojrzenie. Lecz im dłużej się z nią zмага, tym silniej jej pożąda. Co za dzikuska! Jeśli tak walczy, to jak musi się kochać! Wciska kolano między**

**jej nogi i wolno, z wysiłkiem rozchyła je. Artha zaczyna krzyczeć; próbuje**

**zamknąć jej usta pocałunkiem, ale jej zęby tylko czekają, żeby gryźć.**

**Paznokcie rozorują mu plecy. Jest zdumiewająco silna.**

**- Artha - mówi błagalnie. - Nie broń się. To jakiś obłąd. Gdybyś**

**tylko...**

**- Bydlę!**

**- Gdybyś tylko pozwoliła mi pokazać, jak bardzo kocham...**

**- Zboczone zwierzę!**

**Jej kolano zmierza w kierunku jego krocza. Michael przekręca się,**

**próbując uniknąć najboleśniejszego ciosu, ale uderzenie i tak go dosięga.**

**Ona wcale nie odgrywa skromnisi. Jeśli chce ją mieć, musi ją pokonać,**

**unieszkodliwić. Ma zgwałcić nieprzytomną kobietę? Nie. Nie zrobi tego.**

**To wszystko jest nie tak. Ogarnia go żal. Nagle całe pożądanie opada.**

**Michael zsuwa się z Arthy i zostaje na klęczkach przy oknie, gapiąc się w**

**podłogę. Oddycha ciężko. No idź, powiedz starszym, co zrobiłem. Rzućcie**

**mnie na pożarcie waszemu bogu. Artha staje nad nim, naga, i z ponurą**

**miną nakłada swoje okrycie. Słysząc jej chrapliwy oddech.**

**- W monadzie - odzywa się Michael - kiedy ktoś chce się kochać,**

**odmowa jest czymś niestosownym.**

**Jego głos brzmi głucho ze wstydu.**

**- Naprawdę cię pragnąłem, Artha, i myślałem, że ty mnie też. A**

**potem po prostu przestałem nad sobą panować. Nie mieściło mi się w**

**głowie, że ktoś mógłby odmówić... Nie rozumiałem...**

**- Co z was muszą być za zwierzęta! Nie potrafi spojrzeć jej w oczy.**

- W kontekście społecznym - broni się - to ma sens. Zapobiega frustracjom. W miastowcu nie możemy pozwolić sobie na żadne konflikty. U was jest na pewno inaczej, prawda?

- Owszem.

- Wybaczysz mi?

- Tutaj uprawiamy seks tylko z tymi, których bardzo kochamy - mówi Artha. - Nie oddajemy się każdemu, kto o to poprosi. I nie robimy tego ot tak. Przed zbliżeniem obowiązują pewne zwyczaje. Występują pośrednicy. Jest dużo zachodu. Ale skąd miałbyś to wszystko wiedzieć?

- No właśnie. Nie mogłem.

Jej rozgniewany i nabrzmiały goryczą głos chłoszcze jak bat:

- Tak dobrze zaczynało nam się rozmawiać! Czemu musiałeś mnie dotykać?

- Sama sobie odpowiedziałaś. Nie wiedziałem. Po prostu nie rozumiałem. Byliśmy razem, blisko - czułem, jak coraz bardziej na mnie działasz - dla mnie to było naturalne zacząć cię pieścić.

- Czy to, że chciałeś mnie zgwałcić, mimo że się broniłam, też było naturalne?

- Jednak w porę przestałem, nie zaprzeczysz. Artha śmieje się gorzko.

- Powiedzmy. Jeśli to się nazywa "w porę".

- Naprawdę niełatwo było mi pojąć twój opór, Artha. Myślałem, że się tylko droczysz. Z początku nie zdawałem sobie sprawy, że bronisz się całkiem na serio.

**Podnosi na nią wzrok. W jej oczach mieszają się smutek i niechęć.**

**- Po prostu nie zrozumieliśmy się, Artha. Postarajmy się zapomnieć te pół godziny. Spróbujmy zacząć wszystko jeszcze raz.**

**- Nie zapomnę, jak mnie dotykałeś. Ani jak chciałeś mnie siłą rozebrać.**

**- Nie gniewaj się. Spróbuj spojrzeć na to od mojej strony. Dzieli nas kulturowa przepaść. Naszym postępowaniem *rzędzą* całkiem inne uwarunkowania. Ja...**

**Artha kręci wolno głową. Koniec nadziei na przebaczenie.**

**- Artha...**

**Kobieta wychodzi. Michael zostaje sam w zapadającym zmroku.**

**Jakąś godzinę później dostaje kolację. Zapada noc. Je obojętnie to, co mu przynieśli, plawiąc się w goryczy. Pali go wstyd. Mimo to nadal przekonuje się, że to nie była do końca jego wina. Po prostu zderzenie dwu nie dających się pogodzić kultur. Zareagował naturalnie. Zgodnie ze swoim wychowaniem. Ale i tak jest mu przeraźliwie smutno. Byli ze sobą tak blisko, nim to się stało. Tak bardzo blisko.**

**Do zachodu słońca zostało jeszcze parę godzin; wieśniacy właśnie układają na placu nowe ognisko. Michael patrzy ponuro. Oczywiście poszła do starszyny osady powiedzieć im, że na nią napadł. Taka zniewaga: pewnie współczują jej i przyrzekają pomścić. Teraz już na pewno złożą go w ofierze swojemu bogu. To będzie jego ostatnia noc. Tu skończy się całe to szalone przedsięwzięcie i życie. Nie będzie nikogo, żeby spełnić ostatnie życzenie Michaela. Umrze nędznie, brudny, obdarty.**

**Daleko od domu. Taki młody. Miotany tyłoma nie spełnionymi pragnieniami. Nigdy nie zobaczy morza.**

**A co to ma znaczyć? Ogromna, wysoka na pięć metrów maszyna rolnicza podjeżdża blisko ognia: osiem długich, zginających się ramion, sześć odnóży o wielu stawach i wielka paszcza. Chyba jakaś żniwiarka.**

**Polerowany, brązowo-metaliczny pancerz odbija blask czerwonych języków płomieni. Wygląda jak jakiś bożek. Moloch. Baal. Michael wyobraża sobie, jak te wielgachne szpony łapią go i unoszą wysoko w powietrze. Jego głowa jest coraz bliżej stalowej paszczęki. Wieśniacy podrygują dokoła w rytmicznym, oszalałym tańcu. Gruba, poturbowana Milcha śpiewa ekstatycznie, podczas gdy on zmierza ku zagładzie.**

**Lodowato zimna Artha napawa się swoim triumfem. Jego śmierć przywróci jej cześć, którą zbrukał. Kapłani zawodzą monotennie. Proszę, nie. A może się myli? Wczoraj wieczorem, podczas obrzędu nieplodności, też myślał, że ciężarną kobietę spotyka jakaś kara, a okazało się, że to wyróżnienie. To tylko ta maszyna - wygląda tak złowrogo. Tak morderczo!**

**Plac wypełnił się już farmerami. *Zbliża się uroczystość.***

**Słuchaj, Artha, to było nieporozumienie. Myślałem, że też mnie pragniesz i postąpiłem zgodnie z obyczajami mojego świata, rozumiesz?**

**Dla nas seks to prosta i nieskomplikowana czynność, jak wymiana uśmiechów albo uścisk dłoni. Ludzie, którzy są obok siebie i czują wzajemny pociąg, po prostu to robią, bo - dlaczego nie? Chciałem tylko dać ci rozkosz, przysięgam. Przecież tak dobrze zaczynało układać się między nami. Uwierz mi.**

Biją w bębny. Słychać okropne, piskliwe tony rozstrojonych dmuchanych instrumentów. Zaczyna się orgiastyczny płas. Szczęść boże, nie chcę umierać! Są kapłani i kapłanki w swoich koszmarnych maskach. Nie ma wątpliwości - uroczystość z całą pompą. Dzisiaj ja jestem gwoździem programu.

Mija godzina; atmosfera na placu robi się coraz bardziej gorączkowa, ale jakoś nikt po niego nie przychodzi. Znów się pomylił? Czyżby dzisiejszy rytuał dotyczył go równie mało co wczorajszy? Jakiś odgłos za drzwiami. Słychać szcęk zamka i drzwi otwierają się. Z pewnością kapłani, którzy przyszli go zabrać. No więc... chyba zbliża się koniec. Michael zbiera się w sobie, mając nadzieję, że nie będzie bolało. Zginać dla jakiejś metafory, zostać mistycznym spoiwem mającym symbolicznie przypieczętować związek osady z miastowcem - co za surrealistyczny, nieprawdopodobny los. Niewiarygodne, że coś takiego już za chwilę przypadnie mu w udziale.

Do celi wchodzi Artha.

Szybko zamyka za sobą drzwi i opiera się o nie plecami.

Pomieszczenie rozświetla tylko wpadający smugą przez okno blask ogniska; Michael widzi twarz Arthy, surową i napiętą, tym razem przyszła uzbrojona. Woli nie ryzykować.

- Artha! Ja...

- Cicho. Mów szeptem, jeśli ci życie mile.

- Co oni tam robią?

- Przygotowują boga żniw.



**- Dla mnie?**

**- Dla ciebie. Michael kiwa głową.**

**- No tak, jak przypuszczam, powiedziałas im, że próbowałem cię zgwałcić. Teraz poniosę karę. Zgoda. W porządku. Trochę to niesprawiedliwe, ale kogo obchodzi sprawiedliwość?**

**- Nic im nie powiedziałam - odzywa się Artha. - Sami tak postanowili o zachodzie słońca. Nie miałam na to żadnego wpływu.**

**Wygląda na to, że mówi szczerze. Michael zastanawia się, niezdecydowany.**

**- O północy przyjdą zabrać cię przed oblicze boga - mówi dalej Artha. - Tymczasem modlą się, by zechciał przyjąć ofiarę. To trochę potrwa.**

**Przechodzi obok niego ostrożnie, jakby w obawie, że znów się na nią rzuci, i wygląda przez okno. Odwraca się, skinąwszy głową na potwierdzenie własnych słów.**

**- Znakomicie. Teraz nikt nie zauważy. Chodź ze mną, ale nie odzywaj się, cokolwiek by się nie działo. Jeśli zobaczą nas razem, będę musiała cię zabić i powiedzieć, że próbowałeś uciec. Inaczej ja też zapłaciłabym głową. No chodź już.**

**- Ale dokąd?**

**- Chodź! - ponagla go gwałtownym i zniecierpliwionym szeptem.**

**Wychodzą z celi. Zamyślony Michael podąża za nią przez labirynt przejść - mija przejmująco wilgotne i zimne podziemne komory, przeciska się korytarzami tak wąskimi, że ledwo mieści się w nich**

człowiek, aby w końcu wychynąć na tyłach budynku. Dygocze od chłodu nocnego powietrza. Od strony placu wciąż dolatują dźwięki muzyki i śpiewu. Artha pokazuje mu, żeby zaczekał; podbiega kawalek i, rozejrzawszy się na wszystkie strony, przywołuje go gestem. Michael biegnie za nią. Szybkimi, ostrożnymi zrywami przedostają się na skraj osady. Michael ogląda się za siebie; niczym obrazy na ekranie widać stąd ognisko, bożka i małe, tańczące wokół, figurki ludzi. Przed nim ciągną się pola. W górze srebrzy się sierp księżyca i błyszczą rozsypane po niebie gwiazdy. Nagły odgłos. Artha szarpie go mocno i pociąga na ziemię, za kępę krzaków. Przywierają do siebie; koniuszki jej piersi napierają na niego niczym ostrza płomieni. Nie śmie poruszyć się ani odezwać. Ktoś ich mija: może to wartownik? Szerokie bary, gruby kark. Znika w ciemności. Artha drży; nadal trzyma go za nadgarstki, nie pozwalając się podnieść. Wreszcie wstają. Skinięcie głową: nieme potwierdzenie, że droga wolna. Prowadzi go przez pole, między kwitnącymi rzędami wysokich, liściastych roślin. Idą tak może dziesięć minut, oddalając się od wioski, aż Michaelowi, nieprzyzwyczajonemu do fizycznego wysiłku, zaczyna brakować tchu. Kiedy przystają, ognisko jest już tylko plamką na dalekim horyzoncie, a śpiew ginie, przygłuszony brzęczeniem owadów.

- Dalej idziesz sam - odzywa się Artha. - Muszę już wracać. Jeżeli ktoś zauważy, że nie ma mnie tak długo, mogą zacząć coś podejrzewać.

- Czemu mi pomogłaś?

- Źle cię osądziłam - odpowiada i pierwszy raz tego wieczoru uśmiecha się do niego; choć jest to zaledwie krótki grymas, cień

uśmiechu, z nikłym śladem ciepła ze spotkania po południu. - Poczuleś do mnie sympatię i... Nie mogłeś wiedzieć, jak my traktujemy te sprawy.

Byłam wściekła, nienawidziłam cię - a ty po prostu na swój sposób próbowałeś okazać mi miłość. Przepraszam cię, Statler. To moje zadośćuczynienie. Ruszaj.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, jak bardzo jestem wdzięczny...

Delikatnie dotyka jej ręki. Czuje, jak Artha drży - z pożądania?

odrazy? W gwałtownym, szalonym porywie bierze ją w objęcia. Kobieta najpierw sztywnieje, ale po chwili mięknie. Ich usta stykają się. Palce Michaela błędzą po jej odkrytych, umięśnionych plecach. Odważę się dotknąć piersi? Jej brzuch przyciśnięty do jego brzucha. Przez mgnienie staje mu przed oczami szalony obraz pojednania po ich popołudniowym rozstaniu: Artha opada chętnie na tę słodką ziemię i, pociągając go na siebie, pomaga mu wnikać do środka; dopiero ich cielesne zespolenie jest prawdziwym symbolem związku osady i miastowca, który starszyzna wioski chciała oszukańczo przypieczętować jego krwią. Ale nie. Mimo wszystko, to już nierealne. Nie będą kochać się wśród pól, w księżycowej poświacie. Artha jest wierna obyczajom swojego świata. Rzecz jasna, przez te parę sekund przeszło jej przez myśl to, co Michaelowi, lecz po namyśle odrzuciła możliwość takiego pożegnania. Odrywa się od niego, ucinając ten moment bliskości, zanim Michael zdąży wykorzystać jej chwilową uległość. Jej oczy błyszczą w ciemnościach, pełne miłości. Uśmiecha się nieporadnie, walcząc z własnymi uczuciami.

- Idź już - szepcze i odwraca się.

Biegnie parę kroków z powrotem w kierunku osady i znów się odwraca; gestami trzymany płasko dłoni próbuje zmusić go, by ruszył z miejsca, zupełnie jakby mówiła: "Ruszaj wreszcie. Idź. Nie stój tak".

Brnie nieprzytomnie w srebrzystą, księżycową noc. Potyka się, ślania na nogach, zatacza. Nie dbając o ostrożność, zbacza z bezpiecznej drogi wzdłuż rzędów sterczących roślin. W pośpiechu tratuje grządki, roztrąca na bok lodygi, zostawiając za sobą pas zniszczenia, po którym, gdy tylko wstanie dzień, łatwo będzie go wytropić. Dlatego wie, że musi opuścić terytorium osady przed świtem. Spryskiwacze pól znajdą go bez trudu, jak tylko wzbiją się w powietrze; potem odstawią z powrotem do osiedla, by nakarmić nim zawiedzionego Molocha. Kto wie, może wyślą po niego spryskiwacze jeszcze w nocy, gdy tylko zorientują się, że uciekł. Czy ich żółte ślepia widzą w ciemności? Przystaje, sprawdzając, czy nie słyhać gdzieś przeraźliwego jazgotu silników, lecz wszędzie panuje cisza.

A automaty rolnicze - czy one też wyruszą, by go złapać? Musi się spieszyć. Gdy tylko uda mu się uciec poza granice terenów należących do osady, wyznawcy boga żniw przypuszczalnie przestaną mu zagrażać.

Tylko dokąd ma iść?

W tej chwili tylko jedno miejsce przychodzi mu do głowy. W oddali na horyzoncie widać imponujące kolumny konstelacji Chipitts: jakieś osiem czy dziesięć miastowców, rozświetlonych tysiącami okien niczym ogromne latarnie-drogowskazy. Z tej odległości Michael nie odróżnia pojedynczych okien, ale widzi, jak zmieniają się wzory włączanych i wyłączanych świateł. W monadach jest dopiero środek wieczoru.

**Koncerty, zawody fizyczne, świetlne turnieje - pełnia nocnych rozrywek.**

**Stacion siedzi w domu i myśli o nim, nękana obawą. Ile to już dni go nie ma? Dwa? Trzy? Wszystko mu się zmaciło. Dzieciarnia płacze. Micaela zamartwia się; pewnie klóci się zajadle z Jasonem, aby rozładować napięcie. Tymczasem on jest tutaj, tyle kilometrów od nich - świeżo upieczony zbieg ze świata bożków i obrzędów, pogańskich tańców i nieuległych, nieplodnych kobiet. Ubłocone buty, szczecina na policzkach.**

**Na pewno wygląda okropnie i jeszcze gorzej pachnie. Żadnego splukiwacza. Ile bakterii wyhodowało się na jego ciele? Musi wracać. Potwornie bolą go mięśnie; czuje, że dawno przekroczył granice zwykłego zmęczenia. Nos wykręca zaduch celi, którym przesiąkło jego ubranie. Język zrobił się obrzmiały i spuchnięty. Ma wrażenie, że jego skóra pęka, zniszczona promieniami słońca, księżycy, powietrzem.**

**A morze? Co z Wezuwuszem i Tadż Mahal?**

**Innym razem. Musi przyznać, że poniósł klęskę. Szedł tak długo, dopóki miał siłę, tak daleko, na ile starczyło mu odwagi; lecz teraz całym sercem tęskni za domem. Koniec końców, okazał się dobrze uwarunkowany. Geny pobite przez środowisko. Ale przeżył swoją przygodę; któregoś dnia, szczęście boże, przeżyje następną. Niestety, musi pożegnać się z marzeniem, by wędrując od wioski do wioski przemierzyć cały kontynent. Zbyt wiele bożków o stalowych szczękach czyha po drodze; w następnym osiedlu mogłoby mu się nie poszczęścić jak tu: mógłby nie spotkać drugiej Arthy. A więc: do domu.**

**W miarę upływu godzin boi się coraz mniej. Jak dotąd nikt i nic go**

nie ściga. Wpada w rytm - mechaniczne, kołyszące tempo marszu; krok za krokiem, krok za krokiem, krok za krokiem - przebierając nogami, jak robot przebiega w kierunku potężnych wież miastowców. Nie ma pojęcia, która może być godzina; przypuszcza, że minęła północ: księżyc błyszczy wysoko na niebie, a monady przygasły, jak gdyby nadeszła pora snu. Pora lunatykowania. Może właśnie w tej chwili Siegmund Kluver z Szanghaju przychodzi do Micaeli. Jason jest w drodze do swoich prostackich flam z Warszawy albo Pragi. Jeszcze tylko parę godzin, wylicza Michael, i będzie w domu. Pamięta przecież, jak wędrował w przeciwną stronę, ruszając o wschodzie słońca, by późnym popołudniem *znaleźć* się w osadzie; a wtedy na pewno więcej kluczył i błędził. Teraz, nie tracąc z oczu strzelistych drogowskazów wież, bez trudu zmierza prosto do celu.

Głucha cisza. Gwiazdzista noc jest czarownie piękna. Michael prawie zaczyna żałować, że postanowił wrócić do monady. Czuje, jak pod krystalicznym niebem wzywa go zew natury. Po jakichś czterech godzinach marszu przystaje, żeby wykąpać się w kanale nawadniającym; wychodzi na brzeg, nagi i rześki. Choć woda nie obmywa tak dobrze jak naddźwiękowy strumień splukiwacza, przynajmniej pozbył się nieznosnego smrodu i zapiekłej skorupy brudu ze skóry. Rusza dalej

**bardziej sprężystym krokiem. Jego przygoda dobiega końca: Michael przebiega w myślach najważniejsze wydarzenia i na nowo przeżywa je w pamięci. Jak dobrze, że to zrobił. Poznał, jak smakuje świeże powietrze, jak wygląda mgła brzasku; miał piach za paznokciami. Nawet uwięzienie w osadzie wydaje się teraz raczej ekscytującym przeżyciem, aniżeli prawdziwą niewolą. Taniec nie-narodzenia. Niespełnione, burzliwe uczucie do Arthy. Ich szarpanina i fantastyczne pojednanie.**

**Rozdziawiona paszczyka bożka. Strach w obliczu śmierci. Ucieczka. Kto w całej Monadzie 116 dokonał takich rzeczy?**

**Rosnące zadowolenie z siebie budzi w nim nowe siły; ze świeżą energią maszeruje dziarsko przez nie kończące się pola. Tylko że odległość do miastowców zdaje się wcale nie kurczyć. Jakieś optyczne złudzenie. Zmęczone oczy. Zastanawia się, czy w ogóle idzie w kierunku Monady 116. Ukształtowanie terenu splatałoby mu ponurego figla, gdyby okazało się, że wracając do konstelacji miejskiej, trafił do Monady 140 albo, na przykład, 145. Już zboczenie z właściwej drogi o niewielki kąt pod koniec marszu mogłoby doprowadzić do powstania ogromnej różnicy u celu, stawiając go w obliczu porażającej perspektywy nadrobienia drogi wzdłuż jakiejś przerażająco długiej przyprostokątnej. Nie ma sposobu, by przekonać się, który z widocznych przed nim miastowców jest jego.**

**Zostaje mu tylko przeć do przodu.**

**Księżyc powoli chowa się. Gwiazdy bledną. Na niebo wpelza świt.**

**Michael doszedł już do strefy nieużytków dzielącej osadę rolniczą od konstelacji Chipitts. Mimo palącego bólu w nogach, zmusza się, aby iść**

dalej. Wieże są tak blisko, że zdają się wisieć w powietrzu bez żadnego oparcia. Widać już publiczne ogrody. Roboty ogrodnicze melancholijnie suną w różne strony, zajęte swoimi pracami. Kielichy kwiatów rozchylają się, chłonąc pierwsze promienie poranka. Łagodny wietrzyk roznosi ich woń. Dom. Do domu. Stacion. Micaela. Wypocznie trochę, nim wróci do pracy na złączu. Znajdzie jakąś wiarygodną wymówkę.

**Która z wież jest monadą 116?**

Miastowce nie mają zewnętrznych numerów. Mieszkańcy po prostu wiedzą, w którym z nich żyją. Ledwo powłócząc nogami, Michael dochodzi do pierwszej budowli. Jej skrzydła błyszczą rozświetlone promieniami brzasku. Spogląda w górę na całe tysiąc pięter. Misterna, złożona konstrukcja. Miriady pokoików. Michael ma pod nogami jej tajemnicze, podziemne korzenie: siłownie, stacje przerobu odpadów, niewidoczne komputery - wszystkie ukryte cuda, zapewniające jej życie. Nadnimi, niczym gigantyczna roślina, wystrzela w górę cudownie przemyślna betonowa konstrukcja - monada. A w środku setki tysięcy splecionych ze sobą istnień: artystów i uczonych, muzyków i rzeźbiarzy, spawaczy i dozorców. Czuje, jak wilgotnieją mu oczy. Dom. Dom. Tylko czy rzeczywiście? Podchodzi do wjazdu i podnosi do góry rękę z przepustką. Komputer jest zaprogramowany, by wpuścić go na żądanie.

- Jeśli to Monada 116, otwierać. Michael Statler.

Nic się nie dzieje. Skanery oglądają go, ale wejście pozostaje zamknięte.

- Który to miastowiec? - pyta Michael. Cisza.



**- No dalej - ponagla. - Chcę wiedzieć, gdzie jestem. Z ukrytego**

**głośnika rozlega się głos:**

**- Monada 123 w konstelacji Chipitts. 123! Tyle kilometrów od domu!**

**Cóż może zrobić, pozostaje mu tylko iść dalej. Słońce, wiszące już nad horyzontem, szybko zmienia barwę z czerwonej na złotą. Skoro tam jest wschód, to gdzie jest Miastowiec 116? Usiłuje zmusić do działania otępiałą mózgowicę. Powinien iść na wschód. Tak? Nie? Z trudem przedziera się przez zdające się nie mieć końca ogrody, które odgradzają Monadę 123 od jej wschodniej sąsiadki. Przy wejściu znów pyta o numer. Odpowiedź z głośnika: "Tak, to Monada 122". Rusza dalej w tę samą stronę. Wieże ustawione są w ukośną szachownicę, tak żeby żadna nie zasłaniała następnej, więc jego trasa musi prowadzić w sam środek konstelacji; wlecze się naprzód, starannie licząc budowle, a słońce na nieboskłonie szybko drapie się w górę. Z wycieńczenia i głodu kręci mu się w głowie. To jest 116? Nie, nie otwierają mu; musiał pomylić się w rachunku. Może tamta?**

**Nareszcie. Na widok przepustki automat otwiera właz. Michael gramoli, się do środka. Czeką, aż zewnętrzne drzwi zasuną się za nim.**

**Teraz otworzą się wewnętrzne. Nic się nie dzieje. Co jest?**

**- Czemu nie otwierasz? - pyta. - Popatrz na to. Przeskanuj siebie.**

**Unosi przepustkę. Pewnie jakaś procedura dekontaminacyjna. Aż strach pomyśleć, jakie zanieczyszczenia mógł przy-wlec ze sobą. W końcu luk otwiera się.**

**Światło w oczy. Potężne, oślepiające.**

**- Pozostań na miejscu. Nie próbuj opuszczać komory wejścia.**

**Zimny, metaliczny głos przyszpila go tam, gdzie stoi. Mrugając powiekami, robi pół kroku do przodu, gdy nagle dociera do niego, że to nierozsądne; zamiera. Otacza go obłoczek czegoś o słodkawym zapachu. Jakiś środek, który rozpylili nad nim. Zastyga prędko, tworząc krępujący go kokon. Światła kierują się na ziemię. Michael widzi sylwetki, zagradzające mu drogę: cztery... pięć. Policjanci.**

**- Michael Statler? - odzywa się któryś.**

**- Mam ważną przepustkę - mówi niepewnie Michael. - Jest całkiem legalna. Możecie sprawdzić w komputerze. Ja...**

**- Jesteś aresztowany. Wprowadzenie zmian do programu,**

**bezprawne**

**opuszczenie**

**miastowca,**

**przejawianie**

**niepożądanych**

**tendencji społecznych. Rozkaz natychmiastowego zatrzymania po**

**powrocie do budowli. Wykonany. Przystępujemy do doraźnej egzekucji**

**wyroku kasacji.**

**- Zaczekajcie. Chyba mam prawo się odwołać? Chcę się widzieć z...**

**- Sprawa została rozpatrzona i przekazana policji do zakończenia.**

**Głos policjanta brzmi nieubłaganie. Stają po jego bokach. Nie może**

**wykonać żadnego ruchu, cały pokryty twardniejącym sprayem.**

**Jakiegokolwiek obce mikroorganizmy przywłókl ze sobą - wszystkie są teraz**

aresztowane razem z nim. Do zsuwni? Nie. Niemożliwe. Proszę. Chociaż na co właściwie liczył? Jak inaczej mogło się to skończyć? Myślał, że wyprowadzi w pole miasto-wiec? Najpierw wyrzec się całej cywilizacji, a potem mieć nadzieję, że uda się gładko wśliznąć z powrotem? Został załadowany na coś w rodzaju wózka. Ciemne kształty krzątają się dookoła.

- Zróbmy szczegółowe nagranie do kartoteki, chłopcy. Przysuńcie go do skanerów. Tak. Dobrze.

- Pozwólcie mi przynajmniej zobaczyć się z żoną. Albo z siostrą. Przecież nic się nie stanie, jeśli porozmawiam z nimi ten ostatni raz...

- Zagrożenie dla ładu i porządku, niebezpieczne tendencje społeczne, całkowita eliminacja kontaktów z otoczeniem w celu uniknięcia rozprzestrzeniania się reakcji wtórnych.

Jak gdyby był nosicielem zarazka buntowniczości. Już kiedyś to widział: doraźny wyrok, natychmiastowa egzekucja. Ale nigdy tak naprawdę nie rozumiał. Nigdy sobie nie wyobrażał.

Micaela. Stacion. Artha.

Jego kokon całkiem już zakrzepł. Nie widzi, co jest na zewnątrz.

- Słuchajcie - mówi. - Cokolwiek mi zrobicie, chcę, byście wiedzieli, że *byłem tam*. Widziałem słońce i księżyc, i gwiazdy. To nie to samo, co Jerozolima albo Tadź Mahal, ale zawsze coś. Coś, czego wy nie widzieliście nigdy w życiu. I nigdy nie zobaczycie. Tam jest tyle możliwości. Tyle okazji do wzbogacenia własnej duszy. Ale co wy możecie o tym wiedzieć?

Warkotliwe głosy docierają gdzieś z daleka, zza mleczno-białej

pajęczyny, która go więzi. Odczytują mu odpowiednie ustępy kodeksu prawnego. Wyjaśniają, w jaki sposób *zagraża* tkance społeczeństwa.

Źródło zagrożenia musi zostać wyrwane z korzeniami. Słowa zlewają się i mieszają, tak że Michael zupełnie gubi ich sens. Jego wózek znów toczy się naprzód.

Micaela. Stacion. Artha.

*Kocham was.*

- Dobra, otwórzcie zsuwnię. Jasno, zwięźle, jednoznacznie.

Słyszy szum przypywu. Czuje, jak fale przewalają się, omywając gładkie, lśniące wydmy. Smak słonej wody. Słońce wysoko w górze; niebo takie jasne, takie nieskazitelnie błękitne. Niczego nie żałuje. Drugi raz na pewno nie udałoby mu się opuścić miastowca; gdyby nawet pozwolili mu żyć, byłby pod ich stałym nadzorem. Milion milionów śledzących oczu monady. Do końca życia przewisałby na interfejsie. Po co to wszystko? Tak jest lepiej. Przeżyć choć trochę naprawdę, chociaż raz. Zobaczyć.

Taniec, ognisko. Wąchać żywe, kwitnące rośliny. Jest potwornie zmęczony. Przyjemnie będzie odpocząć. Wyczuwa jakiś ruch. Znowu pchają wózek. Do środka czegoś, a potem w dół. Żegnajcie. Żegnajcie.

Żegnajcie. Łagodne spadanie. W głowie pokryte zielonością urwiste brzegi Capri, chłopak z koziołkiem i flaszką zimnego, złocistego wina. Delfiny we mgle. Kolczaste krzaki, kamyki. Szczęść boże! Śmieje się w swojej kokonowej trumnie. Jazda w dół. Żegnajcie. Micaela. Stacion.

Artha. Ostatni raz staje mu przed oczami obraz całej budowli z osiemset osiemdziesięcioma pięcioma tysiącami ludzików o pustych twarzach,

**przepychających się na zatłoczonych korytarzach, sunących do góry i na dół szybami transportowymi, ściśniętych w ośrodkach fonicznych i Halach Fizycznego Spełnienia, wysyłających kanałami komunikacyjnymi miriady wiadomości - zamawiających jedzenie, rozmawiających ze sobą, umawiających się i dogadujących sprawy. Mnożą się. Płodni i obowiązkowi. Setki tysięcy istnień krąży po przecinających się, zamkniętych orbitach; każde z nich kreśli swoje małe kółko wewnątrz potężnej wieży. Jaki piękny jest świat i wszystko, co na nim jest. Monady we wschodzącym słońcu. Rolnicy na polach. Żegnajcie.**

**Ciemno.**

**Koniec podróży. Zlikwidowano źródło zagrożenia. Miasto-wiec podjął niezbędne kroki obronne; wróg cywilizacji został usunięty.**

**VII**

**Podziemia.**

**Siegmund**

**Kluver**

**krąży**

**niespokojnie**

**między**

**generatorami. Czuje nad sobą cały przytłaczający ogrom miastowca.**

**Buczący śpiew turbin działa mu na nerwy. Jest zdezorientowany niczym wędrowiec w otchłaniach piekieł. Jaka ogromna hala: gigantyczna klatka, ukryta głęboko pod ziemią; jest tak wielka, że światło kul zawieszonych pod sufitem ledwo dociera do odległej betonowej podłogi. Siegmund**

snuje się pomostem roboczym, biegnącym w pół drogi między stropem a podłożem. Trzy kilometry nad głową leży olśniewające Louisville. Dywany i draperie, mozaiki z rzadkich gatunków drewna, cała pompa i wystrój władzy - jakie to wszystko dalekie z tego miejsca. Wcale nie planował zjeżdżać na sam dół, nie aż tak nisko; tego wieczoru jego celem była Warszawa. Tak jakoś wyszło, że najpierw wylądował tutaj. Gra na zwłokę, bo jest przerażony. Szuka wykrętu, by tego nie zrobić. Gdyby tylko wiedzieli, co z niego za tchórz tam, w środku. Zupełnie jak nie Siegmund. Dłonie suną po poręczy pomostu. Metal jest zimny, aż trzęsą się palce. W tej części budowli nieustannie dudni mechaniczny loskot. Niedaleko stąd znajdują się wyloty zsuwni, którymi zlatują do siłowni stałe odpady: wszelkiego rodzaju resztki, stare ubrania, zużyte kostki danych, pudła i opakowania, ciała zmarłych, a czasem i żywych; wszystko to spada w dół, ześlizgując się spiralnymi kanałami do prasujących ubijarek, a stamtąd, na pasach transmisyjnych, do komór spalania. Powstałe ciepło służy do wytwarzania prądu: chcecie energii, wyrzucajcie śmieci. O tej godzinie zapotrzebowanie na elektryczność jest znaczne. Każda mieszkalnia potrzebuje światła. Siegmund przymyka oczy, wyobrażając sobie całe 885 tysięcy mieszkańców Monady 116, złączonych razem monstrualną płataniną kabli. Olbrzymia ludzka płyta rozdzielcza. Od której właśnie się odłączyłem. Tylko dlaczego? Co takiego mi się stało? Co się ze mną dzieje? Co jeszcze mi się przydarzy?

Wlecze się pomostem wolno jak ślimak, aż w końcu wychodzi z elektrowni. Jest teraz w tunelu o gładkich ścianach; wie, że za tymi

**łśniącymi, wyłożonymi kasetonami powierzchniami biegną linie**

**przesyłowe,**

**dostarczające**

**prąd**

**do**

**obwodu**

**rozdzielającego.**

**Regenerownia - rury, którymi splywa mocz; komory przeróbki kału.**

**Wszystkie te magiczne systemy, utrzymujące miastowiec przy życiu. Nie**

**ma tu nikogo poza nim. Przytłaczający ciężar osamotnienia. Siegmund**

**drży. Powinien już jechać do tej Warszawy. Mimo to dalej snuje się po**

**całym maszynowym centrum na najniższym poziomie monady, jak jakiś**

**uczniak na szkolnej wycieczce. Chowając się przed samym sobą. Zimne**

**ślepia elektronicznych skanerów, pochowanych w setkach otworów w**

**podłogach, sufitach, ścianach, ani na moment nie przestają go śledzić.**

**Jestem Siegmund Kluver z Szanghaju, siedemset osiemdziesiąte siódme**

**piętro. Mam piętnaście lat i pięć miesięcy. Mam żonę, Mamelon, syna**

**Janusa i córkę Persefonę. Pracuję jako konsultant w Gnieździe Dostępu w**

**Louisville i nie minie rok, jak dostanę awans i przeprowadzę się na**

**najwyższe rządowe piętra miastowca. Mam się czym cieszyć. Jestem**

**Siegmund Kluver z Szanghaju, siedemset osiemdziesiąte siódme piętro.**

**Kłania się przed skanerami. Witamy. Witamy. Przyszły zarządca.**

**Przeciąga nerwowo ręką przez gęste, zmierzwione włosy. Jazda na górę.**

**Czego tu się bać? Do Warszawy. Do Warszawy.**

**Głos Rhei Shawke Freehouse, jak nagranie odtwarzane z samego**

**środku mózgu.**

*Na twoim miejscu, Siegmundzie, wyluzowałabym się i postarała  
przyjemniej spędzać czas. Nie przejmuj się tym, co ludzie o tobie myślą,  
albo wydaje ci się, że myślą. Chłoń ludzką naturę, popracuj nad tym,  
żebyś sam stał się bardziej ludzki. Pokręć się trochę po całym  
miastowcu, wybierz się polunatykować w Pradze albo w Warszawie.*

*Zobacz, o ile prościej żyją inni ludzie.*

**Jakie rozumne słowa. Mądra kobieta. Czego miałby się bać? Na  
górze. Na górze. Robi się późno.**

**Zatrzymuje się przed włazem z napisem "Wstęp wzbroniony",  
prowadzącym do któregoś z komputerowych węzłów; przez parę minut  
stoi, kontemplując drzenie, jakie ogarnęło jego prawą dłoń. W końcu  
szybkim krokiem idzie do szybociągu, każąc zawieźć się na sześćdziesiąte  
piętro - w sam środek Warszawy.**

**Jakie wąskie korytarze. Tyle drzwi. Bardziej duszna, gęsta  
atmosfera. Miasto o nieprawdopodobnie dużej gęstości zaludnienia - nie  
tylko z powodu nader błogosławiennej rozrodczości swych mieszkańców,  
lecz również dlatego, że spory kawał jego przestrzeni zajmują zakłady  
przemysłowe. I choć monada jest w tym miejscu znacznie szersza niż w  
wyższych rejonach, warszawiacy żyją ściśnięci w stosunkowo niewielkim  
sektorze mieszkalnym. Wokół nich pracują maszyny, które robią inne  
maszyny. Odlewnice, tokarki, wzorniki, przesuwnice, nastawniki i  
wyrobniki. Większość jest skomputeryzowana i pracuje automatycznie,**



ale i tak zostaje jeszcze sporo roboty dla ludzi; trzeba załadowywać przenośniki, sterować i naprowadzać, kierować wózkami widłowymi, znakować wykończony produkt

I ekspediować go do miejsca przeznaczenia. Nie dalej jak w zeszłym roku Siegmund zwrócił uwagę Nissima Shawke'a i Kiplinga Freehouse'a, że właściwie prawie całą pracę ludzką na poziomach przemysłowych mogłyby wykonywać maszyny; zamiast męczyć tysiące robotników z Warszawy, Pragi i Birminghamu, powinno się wdrożyć stuprocentowo automatyczny system produkcji, z paroma kontrolerami pilnującymi tylko, by funkcjonował bez zakłóceń, i garstką techników do naprawiania, dajmy na to, automatów naprawczych. Shawke posłał mu protekcyjny uśmiezek.

- Co ci biedacy poczęliby ze swoim życiem, gdyby nie zostały im nic do roboty? - spytał. - Myślisz, Siegmundzie, że udałoby się zrobić z nich poetów? Albo profesorów historii monadalnej? Nie rozumiesz, że celowo wymyślamy im jakieś zajęcia?

Siegmund poczuł się zawstydzony własną naiwnością i rzadkim u niego brakiem zrozumienia wewnętrznych mechanizmów zarządzania miastowcem. Do dziś czuje niesmak na wspomnienie tamtej rozmowy. Uważa, że w idealnej wspólnocie każdy bez wyjątku powinien mieć jakąś istotną funkcję, a przecież chce, aby monada miejska była właśnie taką społecznością. Z drugiej strony, nie można nie brać pod uwagę pewnych praktycznych względów, dotyczących ludzkich ograniczeń. Z drugiej strony. Z drugiej strony. Stosunki pracy panujące w Warszawie psują mu

jego teorię.

Wybierz jakieś drzwi. Powiedzmy: 6021. 6023. 6025. Dziwny to widok - mieszkalnie noszące czterocyfrowe numery. 6027. 6029. Kładzie rękę na klamce. Waha się. Gwałtowny atak bojaźliwej nieśmiałości. Wyobraża sobie robotniczą parę w środku: krzepki, zarośnięty mruk i zniszczona żona bez śladu figury. Wejdzie i zakłóci ich sam na sam. Dotknięte, oburzone spojrzenia, omiatające jego strój, znamionujący przynależność do wyższej klasy. Czego ten szanghajski goguś u nas szuka? Nie ma żadnego poczucia przyzwoitości? I tak dalej, i tak dalej. Siegmund już prawie daje nogę, ale ostatecznie bierze się w garść. Nie odważą się odmówić. Nie ośmielą się okazać mu swojej niechęci. Otwiera drzwi. Ciemno. W całej mieszkalni panuje mrok; kiedy oczy już się z nim oswajają, widzi parę na platformie sypialnej i pięcioro albo sześcioro pociech w kojcach. Podchodzi do platformy i staje nad śpiącymi. Portret warszawiaków, jaki nakreślił w wyobraźni, okazuje się zupełnie chybiony. Przypominają pierwszą lepszą parę z Szanghaju, Chicago czy, dajmy na to, Edynburga. Zrzuci ubranie, sen zamaze rysy i wyraz twarzy, określające przynależność społeczną, i może wtedy znikną między nimi różnice klas i miast. Nadzy, pogrążeni we śnie gospodarze są najwyżej parę lat starsi od Siegmunda: mężczyzna ma może dziewiętnaście, kobieta - osiemnaście lat. On - szczupły, z wąskimi ramionami; normalne, nie rozwinięte ponad miarę, mięśnie. Ona - w miarę zgrabne, raczej zwyczajne ciało; puszyste blond włosy. Siegmund dotyka lekko jej ramienia. Pod skórą wyraźnie widać zarys kości. Niebieskie oczy mrugają

i otwierają się. Wyraz strachu ustępuje zrozumieniu: aa, lunatyk. Zrozumienie z kolei przechodzi w zmieszanie: przybysz nosi ubiór wyższej warstwy. Grzeczność wymaga, by się przedstawił.

- Siegmund Kluver - mówi. - Z Szanghaju. Dziewczyna nerwowo oblizuje wargi.

- Z Szanghaju? Naprawdę?

Teraz również jej mąż budzi się. Zdumiony mruga oczami.

- Szanghaj? - powtarza. - Po co aż tutaj, tak nisko?

W jego głosie nie ma wrogości, jest najzwyczajniej ciekawy.

Siegmund wzrusza ramionami, jak gdyby mówił: zwykły kaprys,

zachcianka. Pan domu wstaje z platformy. Siegmund przekonuje go, że

przecież nie musi wychodzić, może zostać tu z nimi, ale w Warszawie

widocznie nie praktykują czegoś takiego: najwyraźniej odwiedziny

lunatyka są dla męża sygnałem, by się zmył. Zdążył już narzucić luźne,

bawełniane okrycie na swe blade, prawie nieowłosione ciało. Nerwowy

uśmiech: tymczasem, kochanie, i już go nie ma. Siegmund jest sam na

sam z warszawianką.

- Pierwszy raz widzę kogoś z Szanghaju - odzywa się dziewczyna.

- Nie powiedziałaś jeszcze, jak ci na imię.

- Ellen.

Siegmund kładzie się przy niej. Głaszcze gładką skórę. Wracają

echem słowa Rhei. *Chłoń ludzką naturę. Zobacz, o ile prościej żyją inni.*

Ma wrażenie, jak gdyby coś go pętało. Jakaś magiczna pajęczyna mocnych

złotych nitek oplata całe ciało, przenika do płatów mózgu.

- Co robi twój mąż, Ellen?

- Teraz pracuje na podnośniku. Przedtem był kablowcem, ale miał wypadek przy izolowaniu. Przebicie.

- Ciężko pracuje, prawda?

- Kierownik jego sektora mówi, że jest jednym z najlepszych. Ja też myślę, że jest niezły.

Chichocze krótko.

- Tak w ogóle, na jakich piętrach jest ten Szanghaj? To musi być gdzieś w okolicy siedemsetki, prawda?

- Dokładnie między siedemset sześćdziesiątym pierwszym a osiemsetnym.

Pieści jej pośladki. Przez ciało dziewczyny przebiega dreszcz.

Podniecenie czy obawa? Jej ręka wędruje nieśmiało do jego ubrania.

Może chce mieć go z głowy: niech szybko wsadzi, wyjmie i pójdzie sobie.

Przerazający swą obcością intruz z górnych pięter. A może nie nawykła do

wstępnych pieścizot. Inne środowisko. Osobiście wolałby najpierw

trochę porozmawiać. *Zobacz, o ile prościej żyją inni.* Przyszedł tu, żeby

się czegoś nauczyć, a nie tylko ją pokryć. Rozgląda się po pokoju:

brudnobrązowe sprzęty, surowy wystrój - żadnego stylu, ani śladu

wdzięku. A przecież urządzali go ci sami rzemieślnicy, którzy meblowali

Toledo i Louisyille. Najwyraźniej mierzyli według potrzeb gorszego gustu.

Wszystko w przygnębiającej tonacji szarości. Nawet ta dziewczyna.

Mógłbym być w tej chwili z Micaelą Quevedo. Mógłbym być u Principessy.

Albo u... Albo z... Ale jestem tutaj. Obmyśla, jakie pytania będzie dobrze

**zadać na początek. Aby wysondować, poznać istotę człowieczeństwa tej obcej kobiety, której życiem będzie pewnego dnia współrzędził. Dużo czytasz? Ulubione programy ekranowe? Jakie potrawy lubicie jeść? Czy zależy ci, aby twoje dzieci miały wyższy status i przeprowadziły się wyżej? Co sądzisz o tych, którzy mieszkają pod wami, w Reykjavíku? A o prażanach? Ostatecznie o nic nie pyta. Nie ma po co. Czego mógłby się dowiedzieć? Dzielą ich nieprzekraczalne bariery. Dotyka ją w różnych miejscach - tu i tu, tam i tam... Jej palce na jego męskości. Wciąż jeszcze miękkiej.**

**- Nie podobam ci się - mówi Ellen smutno. Siegmund zastanawia się, jak często wchodzi tu pod splukiwacz.**

**- Chyba jestem trochę zmęczony - odpowiada jej. - Ostatnio mam sporo zajęć.**

**Przywiera do niej mocno. Może bliskość jej ciała zdoła go podniecić.**

**Wpatrzone w niego oczy. Błękitne tęczęwki, skrywające wewnętrzną pustkę. Siegmund całuje ją w zagłębienie pod brodą.**

**- Przestań, laskocze - mówi Ellen, wykręcając głowę. Przeciąga palcami w dół po jej brzuchu. Tam, gdzie bije jej prawdziwe serce. Rozpalone i mokre, gotowe. Ale nie posuwa się dalej. Po prostu nie może.**

**- Mam zrobić coś specjalnego? - pyta Ellen. - Może jakoś ci pomóc?**

**Powiedz tylko, jak.**

**Siegmund potrząsa głową. Nie chce żadnego bicza, łańcuchów ani innych erotycznych rekwizytów. Chce normalnie i po bożemu. Ale nie**

może. Zmęczenie to tylko wykręt; tak naprawdę, to poczucie własnej odrębności robi z niego impotentą. Sam spośród 885 tysięcy bliźnich. Nie umie się do niej zbliżyć. Nawet tak. Złamanym mieczem kołacze do jej bramy. Szanghajski przystojniak, bezsilny, odarty z męskości.

Dziewczyna już się go nie boi i najwyraźniej nie ma ochoty okazywać mu współczucia. Tłumaczy sobie jego niepowodzenie jako oznakę pogardy dla niej. Siegmund chce jej powiedzieć, jak to pokrywał setki kobiet w Szanghaju, Chicago nawet w Toledo. Wszystkie one uważają, że ma diabelski temperament. Zdesperowany przewraca ją na brzuch. Przyciska spocone ciało do jej zimnych pośladków.

- Słuchaj, nie wiem, co chcesz zrobić, ale...

Ale i to nie pomaga. Ellen przekręca się, oburzona. Pozwala jej się wyrwać. Wstaje i ubiera się. Twarz mu płonie. Idąc do wyjścia, ogląda się.

Dziewczyna siedzi w prowokującej pozie i patrzy na niego kpiąco.

Pokazuje mu trzy palce w szorstkim, bez wątpienia obraźliwym, lokalnym geście. Siegmund odzywa się:

- Muszę ci coś powiedzieć. To imię, którym się przedstawiłem... ono nie jest moje. Nazywam się zupełnie inaczej.

Szybko wychodzi. Tyle, jeśli chodzi o chłonięcie ludzkiej natury.

Tyle, jeśli chodzi o Warszawę.

Wsiada do szybociągu i na ślepo wybiera piętro: 118, Praga; wysiada i bez zaglądanía do jakiegokolwiek mieszkalni, nie zamieniając z nikim ani słowa, robi pół okrążenia dookoła budowli. Później łapie inny szybociąg i jedzie na sto siedemdziesiąte trzecie, do Pittsburgha. Stoi chwilę na

korytarzu, przysłuchując się, jak jego własna krew tętni mu w skroniach. Zachodzi do Hali Fizycznego Spełnienia. Nawet o tak późnej porze w środku jest sporo ludzi: jakiś tuzin w wodnym wirowniku, piątka czy szóstka ćwiczy dumnie na ruchomej bieżni, kilka par w kopulatorium. Jego szanghajska odzież ściąga parę zaciekawionych spojrzeń, ale nikt go nie zagaduje. Czując powracające pożądanie, Siegmund rusza mimochodem w stronę kopulatorium, lecz przy samym wejściu traci ochotę i zawraca. Ze zwieszonymi ramionami wolno wychodzi z hali. Tym razem idzie do schodów; z wysiłkiem pnie się w górę gigantycznej spirali opasującej wszystkie tysiąc pięter Monady Miejskiej 116. Zadziera oczy, patrząc na potężną serpentynę; widzi ciągnące się w nieskończoność poziomy, obramowane jaśniejącymi w górze światłami, które *znaczą* granice kondygnacji. Birmingham, San Francisco, Kolombo, Madryt. Chwyta mocno za barierkę i patrzy w dół. Obraca oczami, podążając za wijącym się w dół ślimakiem stopni. Praga, Warszawa, Reykjavik. Przyprawiający o zawrót głowy lej; monstrualna studnia, w której, niczym śnieżne płatki, opadają w dół promienie miliona kulistych lamp. Uparcie pnie się do góry, pokonując miriady stopni. Idzie, jakby zahipnotyzowany własnymi mechanicznymi ruchami. Ani się obejrzał, jak przeszedł czterdzieści pięter. Ocieka potem; mięśnie łydek tężeją i robią się coraz bardziej bezwładne. Pchnięciem otwiera wejście na kondygnację. Ślaniając się na nogach, zapuszcza się w główny korytarz. Dwieście trzynaste piętro. Birmingham. Dwu wracających do domu lunatyków z głupkowatymi uśmiechami na twarzach zatrzymuje

go, częstując jakąś odlotyną: małą, półprzeźroczystą kapsułka z ciemnopomarańczowym, oleistym płynem. Siegmund bierze ją bez słowa i, nie pytając o nic, polyka. Klepią go po ramieniu w geście męskiego koleżeństwa, po czym ruszają swoją drogą. Prawie natychmiast dostaje mdłości. Chwilę później kołyszą mu się przed oczami niewyraźne, niebieskie i czerwone światła. Myśli ponuro, co takiego mogli mu dać. Czeka na jakieś upojne działanie. Czeka. Czeka...

Następną rzeczą, jaką pamięta, jest blade światło poranka i on sam, rozwalony na kołyszącej się pajęczynie z pobrzękujących metalowych oczek, w jakimś obcym pokoju. Wysoki i młody mężczyzna z długimi, złotymi włosami stoi nad nim; Siegmund słyszy własny głos, mówiący:

- Już wiem, skąd się biorą nonszalanci. Któregoś dnia po prostu czujesz, jak przebiera się miarka. Z każdej strony napierają na ciebie ludzie. Czujesz ich i...

- Spokojnie. Zwolnij trochę. Przedobrzyleś, bracie.

- Zaraz rozsadzi mi głowę.

Siegmund zauważa atrakcyjną, rudowłosą kobietę, która krząta się na drugim końcu mieszkalni. Młody administrator ma kłopoty z ostrością wzroku.

- Obawiam się, że nie pamiętam, gdzie jestem - odzywa się.

- W San Francisco, na trzysta siedemdziesiątym. Musisz być nieźle rozbity, co?

- Moja głowa. Jakby trzeba ją było wyszorować od środka.

- Jestem Dillon Chrimes, a to moja żona Elektra. To ona znalazła cię



włóczęgo się po korytarzach.

Uśmiechnięta przyjaźnie twarz gospodarza przybliżyła się do

Siegmunda. Niebieskie, dziwne oczy, jak dwie gwiazdki z oszlifowanego kamienia.

- Łaziłeś po całym piętrze - opowiada dalej Chrimes. - Nie dalej jak parę wieczorów temu sam zażyłem multiplekser; miałem uczucie, że *jestem całym sakramenckim miastowcem*. Solidnie odjechałem. Masz pojęcie: widzisz to wszystko jak jeden wielki organizm, przekładaniec z tysięcy umysłów. Coś pięknego. Wszystko było dobrze, dopóki nie zacząłem wracać na ziemię; potem tak mnie zakręciło, że miałem w głowie jeden paskudny, bajzłowaty ul. Przez to grzanie umysłu chemikaliami kompletnie tracisz perspektywę. Ale w końcu dochodzisz do siebie.

- Ja jakoś nie mogę.

- Co ci przyjdzie z tego, że nie cierpisz monady? To naprawdę lebskie rozwiązanie poważnych problemów, zgadzamy się?

- Tak, wiem.

- I przeważnie działa bez zarzutu. Więc nie ma sensu sterylizować się, marnując czas na nienawiść do miastowca.

- To nie nienawiść - mówi Siegmund. - Zawsze podziwiałem ideę pionowej rozbudowy miast. Sam jestem specjalistą od zarządzania monadą. Byłem... Jestem. Ale ni stąd, ni zowąd wszystko się popsulo i nawet nie wiem, co jest nie tak: ja sam czy cały ten system? A w ogóle to jeśli się zastanowić, może wcale nie doszło do tego tak całkiem nagle.

- Nie ma żadnych rozwiązań, które mogłyby konkurować z monadami - mówi Dillon Chrimes. - Jasne, można skończyć w zsuwni albo dać dyla do osady, ale to nie jest wyjście dla rozsądnego człowieka. Dlatego tkwimy w środku, korzystając ze wszystkich dobrodziejstw tego świata. Jesteś po prostu przepracowany. Ale ale, tykniesz czegoś zimnego?

- Z przyjemnością - odpowiada Siegmund. Rudowłosa kobieta wciska mu do ręki naczynie. Kiedy się nad nim pochyla, jej piersi kołyszą się i bujają niczym baniaste dzwony. Jest naprawdę piękna. Siegmund czuje słabiutką burzę hormonów i przypomina sobie, jak zaczęła się ta noc. Lunatykował w Warszawie. Dziewczyna. Nie pamięta, jak miała na imię. Nie mógł jej pokryć.

Dillon Chrimes znowu mówi:

- Ekran nadaje komunikat o zaginięciu Siegmunda Kluvera z Szanghaju. Od czwartej rano szukają go poszukiwacze. To ty? Siegmund kiwa potakująco głową.

- Znam twoją żonę. Mamelon, prawda?

Chrimes obrzuca Elektrę szybkim spojrzeniem. Wygląda na to, że mają jakieś problemy z zazdrością. Ścisząc głos, mówi dalej do Siegmunda:

- Poznałem ją, lunatykując po którymś występie w Szanghaju.

Śliczna. Ten chłodny wdzięk. Podniecające, gorące ciało. Na pewno w tej chwili zamartwia się o ciebie.

- Wspomniałeś o jakimś występie?

- Gram na wibrastarze w kosmopakeli. - Chrimes przebiega

ekstacycznie palcami po niewidzialnej klawiaturze. - Pewnie mnie

widziałeś. Może byśmy tak przesłali wiadomość twojej żonie?

- To sprawa czysto osobista - mówi Siegmund. - Poczulem się

oddalony, oderwany od korzeni.

- Co takiego?

- Mam poczucie, że brak mi korzeni. Jak gdybym nie należał ani do

Szanghaju, ani do Louisville, ani do Warszawy: nigdzie. Moje własne "ja"

nie istnieje, jestem zlepkiem paru ambicji i zakazów. Czuję się zagubiony

w środku.

- W środku czego?

- Siebie. Miastowca. Mówilem: uczucie oderwania. Jak gdyby

cząstki mnie rozproszyły się po całej budowli. Kolejne warstwy mojej

osobowości oddzierają się i rozłączają.

Siegmund zauważa, że Elektra Chrimes przypatruje mu się. Z

przeżeniem. Czyni wysilek, by wziąć się w garść. Widzi siebie odartego

do kości. Wystająca kolumna kręgosłupa z grzebieniem kręków, dziwnie

kanciasta czaszka. Siegmund. Siegmundzie. Szczera, zatroskana twarz

Dillona Chrimesa. Niczego sobie mieszkalnia. Polizwierciadła, gobeliny w

psychodeliczne wzory. Szczęśliwi ludzie. Spełniają się w swojej sztuce.

Dobrze podłączeni do centralnej rozdzielni.

- Zgubiłem się - mówi Siegmund.

- Przeprowadź się do San Francisco - proponuje Chrimes. - U nas

nie ma ścisku. Na pewno znajdzie się miejsce. Może odkryjesz w sobie jakiś artystyczny talent. Mógłbyś, na przykład, programować audycje ekranowe. Albo...

Siegmund śmieje się chrapliwie, jakby miał zapchane gardło.

- Zrobiłbym program o ambitnym karierowiczu, który zachodzi prawie na sam szczyt, aby przekonać się, że wcale tego nie chce.

Napisałbym, jak... - nie, dajmy temu spokój. Ja naprawdę wcale tak nie myślę. Przemawia przede mnie odurzacz. Tamci faceci musieli mi wcisnąć jakieś świństwo, to wszystko. Dajcie znać Mamelon.

Podnosi się na nogi. Miotają nim dreszcze. Czuje się jak co najmniej dziewięćdziesięcioletni starzec. Nogi uginają się pod nim. Chrimes i jego żona podtrzymują go. Policzek Siegmunda ociera się o rozkołysany biust Elektry. Sili się na uśmiech.

- To tylko odurzacz mówi przede mnie - tłumaczy się jeszcze raz.

- To długa i nudna historia - uspokaja Mamelon. - Trafilem gdzieś, gdzie wcale nie chciałem się znaleźć. Potem łyknąłem kapsułkę, sam nie wiem, z czym, i wszystko mi się poplątało. Ale już jest w porządku. Nic mi nie jest.

Po dniu zwolnienia lekarskiego Siegmund jest znów w Louisville, przy swoim biurku w Gnieździe Dostępu. Czeką na niego stos wiadomości. Największe tuzy klasy rządzącej pilnie potrzebują jego usług.

Nissim Shawke chce, aby zredagował następną odpowiedź na petycję z

Chicago, tę w sprawie swobodnego wyboru płci dziecka. Kipling

Freehouse prosi o subiektywną analizę paru liczb w kosztorysach

zrównoważonej produkcji na przyszły kwartał. Monroe Stevisowi chodzi o podwójny wykres, porównujący frekwencję w ośrodkach fonicznych z ilością wizyt u błogosławiennych i pocieszycieli: przekrojowe studium psychologiczne ludności sześciu miast. I tak dalej. Musi przysiąc faldów. Jakie to błogosławienne czuć się użytecznym. Jakie deprymujące - być wykorzystywanym.

Pracuje najlepiej, jak potrafi, ukrywając swoją skazę. Poczucie oderwania. Duchowe zwichnięcie.

Północ. Nie może zasnąć. Leży przy Mamelon, wierząc się. Pokrył ją, lecz jego nerwy dalej dygoczą niepokojem. Żona widzi, że nie śpi. Jej ręka pieszczotliwie błądzi po jego ciele.

- Nie możesz się odprężyć? - pyta go Mamelon.

- Jest mi coraz ciężej.

- Chcesz trochę dygotu? Albo ćmagi?

- Nie. Nic mi nie trzeba.

- No to idź polunatykować. Spal trochę energii. Jesteś cały naładowany, Siegmundzie.

Sfastrygowany w środku złotą nicią. Rwie się. Rozłazi.

Może wskoczyć do Toledo? Poszukać ukojenia w ramionach Rhei.

Ona zawsze umie jakoś pomóc. A może do samego Louisville? Odwiedzić żonę Nissima Shawke'a, Scyllę. Zuchwały pomysł. Ale przecież na tamtym przyjęciu w Dniu Fizycznego Spełnienia sami mi ją podsuwali. Żeby zobaczyć, czy zasługuję na przenosiny do Louisville. Wie, że oblał tamten egzamin. Cóż, może nie jest za późno, by to nadrobić. Pojedzie do Scylli.

Nawet, gdyby Nissim był w domu. Spójrzcie tylko, jaki jestem przykładowie amoralny. Patrzcie, nie istnieją dla mnie żadne granice. Czemuż to mam sobie odmawiać pani administratorowej z Louisville? Niezależnie od zwyczajowych tabu, którymi sami przyzwyczailiśmy się ograniczać, wszyscy mamy takie same prawa. Dokładnie tak powie, jeżeli natknie się na Nissima. A Nissim jeszcze pochwali go za śmiałość.

- Masz rację - odpowiada żonie - chyba pójdę polunatykować.

Jednak nie rusza się z platformy. Mijają minuty. Już mu się odechciało. Nie ma ochoty nigdzie wychodzić. Udaje sen, mając nadzieję, że przynajmniej Mamelon zaśnie. Płyną następne minuty. Ostrożnie odmyka jedno oko, na szerokość szparki. Udało się: usnęła. Jaka śliczna, nieskazitelnie wspaniała, nawet we śnie. Smukłe kości, biała cera, włosy czarne jak węgiel. Moja Mamelon. Mój skarb. Ostatnio nawet jej specjalnie nie pragnie. Znudzenie zrodzone z przemęczenia? Zmęczenie, które zrodziła nuda?

Drzwi otwierają się i wchodzi Charles Mattern.

Siegmund przygląda się, jak socjokomputator drepcze na palcach do platformy sypialnej i ściąga ubranie. Mocno zaciśnięte usta, rozdęte nozdrza - wyraźne oznaki podniecenia. Jego członek jest już w połowie wzwiedziony. W widoczny sposób Mattern napala się na Mamelon; coś dzieje się między tą parą przez ostatnie dwa miesiące - podejrzewa Siegmund - coś więcej niż zwykle lunatykowanie. Mało go to obchodzi. Przynajmniej ona jest szczęśliwa... W ciszy pokoju słychać dyszenie socjokomputatora. Zabiera się do budzenia Mamelon.

**- Witaj, Charles - odzywa się Siegmund.**

**Mattern aż podskakuje z zaskoczenia i parska nerwowym śmiechem.**

**- Nie miałem zamiaru cię budzić, Siegmundzie.**

**- Nie spałem. Obserwowałem cię.**

**- Mogłeś przynajmniej odezwać się i oszczędzić mi tego skradania.**

**- Wybacz. Nie pomyślałem o tym.**

**Teraz i Mamelon rozbudziła się. Siedzi na platformie naga do pasa.**

**Zabłąkany kosmyk jej hebanowych włosów cudownie układa się na zaróżowionej lewej sutce. Biała skóra rozświetlona wątlą poświatą nocnego blasku. Uśmiecha się skromnie do Matterna, jak przystało na przyzwoitą, praworządną obywatelkę, do której właśnie zawitał nocny gość.**

**- Charles, skoro już tu jesteś - mówi Siegmund - skorzystam z okazji i powiem ci, że dostałem zadanie, przy którym będzie mi potrzebna twoja współpraca. Od Stevisa. Chce wiedzieć, czy wzrosło zapotrzebowanie na wizyty u błogosławiennych i pocieszycieli przy ewentualnym spadku zainteresowania spędzaniem czasu w ośrodkach fonicznych. Podwójny wykres z...**

**- Siegmundzie, jest noc. - Krótko i węzłowato. - Zaczekajmy z tym do rana.**

**- Jasne. Masz rację.**

**Spasowały na twarzy Siegmund wstaje z platformy. Lunatyk u**

**Mamelon to żaden powód, aby wychodził, ale nie chce zostać. Zupełnie**

jak ten warszawiak, dający żonie i przybyszowi trochę zbytecznej, nieproszonej intymności. Pośpiesznie łapie coś do ubrania. Mattern przypomina mu, że przecież wcale nie musi ich opuszczać. Tym razem tak. Siegmund wychodzi odrobinę zbyt gwałtownie. Prawie biegnie przez korytarz. Pojadę do Louisville, do Scylli Shawke. Jednak zamiast kazać szybociągowi wieźć się na poziom Shawke'ów, wywołuje piętro w rodzinnym Szanghaju. 799: tam gdzie jest mieszkalnia Charlesa i Principessy Matternów. Nie ma śmiałości odwiedzić Scylli, będąc w takim stanie. Porażka z nią mogłaby drogo kosztować. Dlatego zadowolony się Principessą. Tą tygryską, prawdziwą dzikuską. Może właśnie jej czysty, zwierzęcy temperament przywróci mu dobre samopoczucie. Oprócz Mamelon to najbardziej namiętna kobieta, jaką zna. I w odpowiednim wieku - dojrzała, ale jeszcze nie przekwitła. Siegmund zatrzymuje się przed drzwiami Matternów. Uderza go myśl, że w szukaniu żony mężczyzny, który właśnie kocha się z jego żoną, kryje się coś archaicznie kołtuńskiego, zupełnie nie z ery miastowców. Lunatykowanie powinno być z założenia bardziej przypadkowe, mniej planowane - ot, jeszcze jeden sposób pomnażania życiowych doświadczeń. Mimo wszystko... Trąca drzwi. Na odgłos dochodzących z głębi mieszkalni jęków rozkoszy czuje jednocześnie ulgę i konsternację. Widzi parę na platformie: te ramiona i nogi należą chyba do Principessy, na której, sapiąc z przejęciem, pracowicie podryguje Jason Quevedo. Siegmund prędko się ulatnia. Znów sam na korytarzu. Dokąd teraz? Dziś wieczór świat jest jak dla niego zbyt skomplikowany. Logicznie rzecz biorąc, powinien teraz



**zaliczyć mieszkalnię Quevedo. I Micaelę. Tylko że u niej też na pewno ktoś jest. Mózg zaczyna mu pulsować pod czaszką. Nie ma ochoty bez końca włóczyć się po monadzie. Chce tylko gdzieś zasnąć. Ni stąd, ni zowąd całe to lunatykowanie wydaje mu się czymś wstrętnym: obowiązkowym i nienaturalnym, na siłę. Absolutna wolność, tyle że przymusowa. Właśnie w tym momencie tysiące mężczyzn kursuje po całej gigantycznej monadzie. Wszyscy gotowi spełnić swój błogosławienny obowiązek. Szurając nogami po ziemi, Siegmund człapie korytarzem, aż w końcu przystaje przy oknie. Noc jest bezksiężycowa, za to na całym niebie błyszczą gwiazdy. Sąsiadujące miastowce stoją dziś jakoś dalej niż zwykle. Tysiące jasno oświetlonych okien. Ciekawe, czy widać stąd osadę leżącą gdzieś tam, na północy. Ci zwariowani rolnicy. Brat Micaeli Quevedo, Michael - ten, który oszalał -przypuszczalnie odwiedził ich. Przynajmniej chodzą takie plotki. Micaela do dziś chodzi przygnębiona losem brata - nonszalanta. Spuścili go do zsuwni, jak tylko postawił pierwszy krok w monadzie. Cóż, rozumie się, że komuś takiemu nie można pozwolić żyć w miastowcu jak gdyby nigdy nic. Malkontent, roznoszący truciznę jawnej niebłogosławienności i niezadowolenia. Tym niemniej Micaela na pewno ciężko to przeżyła. Zawsze powtarzała, że byli ze sobą bardzo blisko. Bliźnięta. Uważa, że ci z Louisville powinni byli osądzić go przynajmniej formalnie. Ale przecież tak właśnie było. Micaela może nie wierzyć, lecz jej brat został skazany legalnie. Siegmund pamięta, że widział dokumenty. Wyrok podpisał Nissim Shawke. "Jeżeli zbiegły mężczyzna wróci kiedykolwiek do Monady 116, należy go natychmiast zlikwidować".**

**Biedna Micaela. Kto wie, może między rodzeństwem istniał jakiś  
niezdrowy układ? Mógłbym wy badać Jasona. Może go spytam.**

**Ale dokąd teraz?**

**Uświadamia sobie, że stoi przy tym oknie już od ponad pół godziny.**

**Doczłapawszy do schodów, zbiega dwanaście poziomów w dół, na własne  
piętro. Mattern i Mamelon śpią jedno obok drugiego. Siegmund rozbiera  
się i kładzie przy nich na platformie. Oderwanie. Zwichnięcie duszy. W  
końcu usypia.**

**Spotka się z błogosławiennym. Może religia da mu oparcie. Kaplica,  
mieszcząca się na siedemset siedemdziesiątym piętrze, to mały pokój na  
tyłach arkady handlowej pełen ozdób w kształcie symboli płodności oraz  
inkrustacji, podświetlanych przyćmionym światłem. Wchodząc do  
środku, czuje się jak intruz. Nigdy wcześniej nie objawiał żadnych skłon-  
ności religijnych. Wprawdzie dziadek matki Siegmunda został  
chrystusowcem, ale cała rodzina przypisywała to raczej antycznym  
ciągotom staruszka. Starożytne religie mają zaledwie garstkę  
wyznawców; według ostatnich danych, jakie Siegmund przeglądał, nawet  
kult boskiej błogosławiенności, cieszący się oficjalnym poparciem  
Louisville, zrzesza nie więcej niż jedną trzecią dorosłych mieszkańców  
monady. Chociaż niewykluczone, że ostatnio coś się zmieniło.**

**- Szczęść boże - pozdrawia go błogosławienny. - Co cię dręczy?**

**To pulchny mężczyzna, o gładkiej karnacji, z okrągłą, zadowoloną z  
siebie fizjonomią i błyszczącymi pogodą oczami. Ma co najmniej  
czterdzieści lat. Co on może wiedzieć o udrękach Siegmunda?**

- Czuję, jakbym się odrywał - odzywa się Siegmund. - Nie jestem pewny, czego chcę w przyszłości. Zaczynam się odłączać. Wszystko nagle straciło sens. Mam wrażenie, że jestem wydrążony w środku.

- Oho. Angst. Anomia. Rozkojarzenie. Kryzys tożsamości. Typowe niepokoje, mój synu. Ile masz lat?

- Skończyłem piętnaście.

- Profil zawodowy?

- Szanghaj, przyszły rezydent Louisville. Może pan o mnie słyszał?

Nazywam się Siegmund Kluver.

Błogosławienny ściąga usta. Jego wzrok jakby skrył się za zasłoną.

Zaczyna bawić się świętymi insygniami przyczepionymi do kołnierza tuniki. O tak, słyszał o Siegmundzie.

- Czy czujesz się spełniony w małżeństwie? - pyta.

- Mam najbardziej błogosławienną żonę, jaką można sobie wymarzyć.

- Dzieci?

- Chłopiec i dziewczynka. W przyszłym roku będziemy mieć drugą dziewczynkę.

- Masz dużo przyjaciół?

- Sporo - odpowiada Siegmund. - Prześladowuje mnie wizja rozkładu.

Czasami mam wrażenie, jakby swędziło mnie całe ciało. Po monadzie latają obumarłe warstwy mojej skóry, owijają się wokół mnie. Nie mogę się uspokoić. Co się ze mną dzieje?

- Czasem zdarza się - mówi błogosławienny - że mieszkańcy monad

**przechodzą tak zwany kryzys duchowej ciasnoty. Granice naszego świata, czyli miastowca, wydają im się wtedy zbyt wąskie. Nasze wewnętrzne zasoby przestają wystarczać. Czujemy się boleśnie rozczarowani związkami z tymi, których zawsze podziwialiśmy i kochaliśmy. Niekiedy taki kryzys ma gwałtowny przebieg: stąd biorą się nonszalanci. Niektórzy pragną opuścić monadę i zacząć nowe życie w rolniczej osadzie, co, rzecz jasna, jest formą samobójstwa, bo nikt z nas nie jest zdolny przystosować się do tamtejszego surowego środowiska. Są w końcu i tacy, którzy nie wariują ani nie odłączają się od miastowca fizycznie; tacy często wybierają ucieczkę do wewnątrz, zapadają się daleko w głąb własnej duszy; w rezultacie każdy kontakt z bliskimi osobami odbierają jako wtargnięcie w ich psychiczną przestrzeń i jeszcze bardziej kurczą się i chowają w sobie. Czy właśnie tak się czujesz?**

**Kiedy Siegmund niepewnie potakuje, błogosławienny ciągnie gładko dalej:**

**- Wśród klasy rządzącej, przywódców miastowca, których błogosławienne powołanie do służby społeczeństwu wyniosło na sam szczyt, ten proces jest szczególnie bolesny, często powodując upadek systemu wartości i utratę motywacji. Na szczęście łatwo możemy temu zaradzić.**

**- Naprawdę?**

**- Zapewniam cię. -Jak?**

**- Wyleczymy cię na miejscu. Kiedy stąd wyjdiesz, będziesz znowu cały i zdrow, Siegmundzie. Droga do wyzdrowienia prowadzi przez**

**odnowienie więzi z bogiem, który według naszej wiary jest integrującą, spajającą siłą, dzięki której cały wszechświat stanowi jedność. Pokażę ci boga.**

**- Pokażesz mi boga... - powtarza nie rozumiejąc Siegmund.**

**- Oczywiście. Oczywiście.**

**Błogosławienny zaczyna krzątać się po kaplicy: gasi światła, zaciąga przesłonniki, pogrążając pokój w mroku. Z podłogi wyrasta pajęczynowe siedzenie w kształcie pucharu, na które mężczyzna łagodnie popycha młodzieńca. Siegmund leży, patrząc do góry. Okazuje się, że strop kaplicy to jednolity, szeroki ekran. Z jego szklanej, zielonej głębi wylania się obraz nieba. Gwiazdy, rozsypane niczym ziarenka piasku. Miliard miliardów świecących punkcików. Ukryte głośniki sączą muzykę: plu-skające akordy kosmopakeli. Siegmund poznaje czarodziejskie brzmienie wibrastaru, mroczne brzdąknięcia konietoharfy, dzikie riffy orbitalnego nurka. W następnej chwili cały zespół zniecka rusza unisono. Być może słucha właśnie Biliona Chrimesa, przyjaciela z tamtej okropnej nocy.**

**Obraz  
nad głową  
Siegmunda nabiera  
większej  
głębi;  
widać  
pomarańczowy odblask Marsa i perłowe światło Jowisza. To ma być bóg:  
gra światel i kosmopakela? Jakie to płytkie i puste.**

**Błogosławienny deklamuje przy dźwiękach muzyki:**

**- Oglądasz bezpośredni przekaz z tysięcznego piętra. Tak właśnie wygląda w tej chwili niebo nad monadą. Wpatrz się w czarną otchłań nocy. Niech przeniknie cię zimne światło gwiazd. Otwórz się na przyjęcie bezmiaru. Widzisz boga. Widzisz boga.**

**- Gdzie?**

**- Wszędzie. Jest wszechobecny i wszechogarniający.**

**- Nic nie widzę.**

**Błogosławienny podgłaśnia muzykę. Ściana ciężkich dźwięków otacza Siegmunda jak klatka. Astralny krajobraz robi się jeszcze głębszy.**

**Błogosławienny kieruje uwagę młodzieńca to na jeden, to na inny rój gwiazd, ponaglaając go, by stopił się w jedno z galaktyką. Monadą to tylko część wszechświata -szemrze. Za tymi błyszczącymi murami znajduje się porażający ogrom, którym jest bóg. Pozwól, by wziął cię ze sobą i uzdrowił. Nie opieraj się. Poddaj. Ulegnij. Lecz Siegmund nie potrafi.**

**Napomyka, że może błogosławienny zapomniał dać mu jakiś narkotyk, multiplekser czy coś w tym rodzaju, dzięki któremu byłoby mu łatwiej otworzyć się na wszechświat, ale starszy mężczyzna wykpiwa ten pomysł.**

**Nie potrzeba pomocy chemii, aby dotrzeć do boga. Po prostu przyglądaj się. Kontempluj. Wpatrz się w nieskończoność. Odnajdź boski ład.**

**Pomyśl o równowadze sił, o cudach niebiańskiej maszynerii. Bóg jest w nas i poza nami. Nie opieraj się. Poddaj. Ulegnij.**

**- Wciąż nic nie czuję - mówi Siegmund. - Moje "ja" kompletnie zablokowało się gdzieś tam w mojej głowie.**

W głosie błogosławnego dźwięczy nuta zniecierpliwienia. Jak gdyby pytał: "Co z tobą? Dlaczego nie możesz? To takie wspaniałe i oczyszczające religijne doznanie". Wszystko na próżno. Po pół godzinie Siegmund siada, potrząsając głową. Od gapienia się w gwiazdy bołą go oczy. Nie jest zdolny wznieść się w ten mistyczny lot. Potwierdza przelew kredytu na konto błogosławnego i, dziękując mu, opuszcza kaplicę.

Widocznie bóg był dzisiaj gdzie indziej.

Może znajdzie pomoc u pocieszyciela. Czysto świecki terapeuta, leczący głównie metodami regulacji metabolizmu. Siegmund boi się tego spotkania; zawsze uważał, że ludzie odwiedzający pocieszyciela są jakoś upośledzeni i boleśnie przeżywa, że przyjdzie mu dołączyć do ich grona. Ale musi położyć kres swojej wewnętrznej mordędze. Mamelon także nalega. Ku jego zaskoczeniu, pocieszyciel, do którego trafia, jest zadziwiająco młody: wygląda na jakieś trzydzieści trzy lata. Ma ściągniętą, smutną twarz i lodowate, surowe spojrzenie. Ledwo zaczął go słuchać, od razu wie, jakie rozterki dręczą Siegmunda.

- Tamto przyjęcie w Louisville... - zaczyna badanie. - Jaki wpływ miało na ciebie, kiedy przekonałeś się, że ludzie, którzy byli dla ciebie autorytetami, są inni, niż myślałeś?

- Poczulem pustkę w środku - odpowiada Siegmund. - Żadnych wartości, żadnych ideałów, koniec ze wzorami do naśladowania. Gdy zobaczyłem, jak pospolicie hulają... Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogą się tak zachowywać. Myślę, że od tego się wszystko zaczęło.

- Otóż nie - mówi pocieszyciel. - Wtedy twój problem wypłynął tylko

na powierzchnię. Na pewno istniał już wcześniej, utajony głęboko w

tobie; potrzebował tylko impulsu, aby wyjść na jaw.

- Co mam zrobić, żeby się z tym uporać?

- Nic. Będziesz musiał poddać się leczeniu. Mam zamiar skierować cię do inżynierów moralnych. Najprawdopodobniej przejdziesz terapię przystosowującą do rzeczywistości.

Siegmund boi się, że go zmienią. Wsadzą do jakiegoś basenu i zostawią, aby pływał w nim kilka dni, a może i tygodni, podczas których będą zanurzać mu umysł w mieszance swoich tajemniczych substancji, szeptać różne rzeczy, masując bolące ciało i zmieniając kody wyryte w jego pamięci. Później wyjdzie stamtąd uleczony, spokojny *i* odmieniony. Już nie ten sam. Cała istota Siegmunda przepadnie razem z jego udręką.

Przypomina sobie Aureę Holston, wylosowaną do zasiedlenia nowego Miastowca 158. Najpierw nie chciała się przenieść, ale potem inżynierowie moralni przekonali ją, że opuszczenie rodzinnej monady to przecież nic strasznego. Wypuścili ją z akwarium, uległa i pogodną: kwitnący kwiat zamiast niespokojnej neurotyczki. To nie dla mnie, myśli Siegmund.

Byłby to też koniec jego kariery. Louisville nie przyjmuje takich, co przechodzili kryzysy. Wynajdą mu stanowisko średniego szczebla gdzieś w Bostonie albo Seattle, jakąś ciepłą, podrzędną posadkę w administracji i zapomną o nim. To był taki obiecujący młodzieniec. Monroe Stevis co tydzień dostaje



**dokładne**

**raporty**

**o**

**przypadkach**

**terapii**

**przystosowawczej. Na pewno zawiadomi Shawke'a i Freehouse'a.**

**Słyszeliście o biednym Siegmundzie? Dwa tygodnie w akwarium.**

**Depresja czy coś w tym rodzaju. Tak, to smutne. Bardzo smutne. Ale**

**oczywiście musimy go odsunąć.**

**Nie.**

**Co może zrobić? Pocieszyciel wystosował już prośbę o terapię**

**przystosowawczą i przesłał ją za pośrednictwem któregoś z**

**komputerowych węzłów. Skrzące się impulsy neuroenergii wędrują teraz**

**w informatycznej sieci, niosąc jego nazwisko. Na 780 piętrze**

**inżynierowie moralni już szykują mu miejsce. Niedługo ekran wyświetli**

**datę wizyty, i jeśli on nie pójdzie do nich, oni przyjdą po niego. Automaty**

**z miękkimi gumowymi ochraniaczami na ramionach łagodnymi**

**szturhańcami doprowadzą go na miejsce.**

**Nie.**

**Zwierzają się Rhei ze swego kłopotliwego położenia. Jej pierwszej -**

**nawet Mamelon nic jeszcze nie wie. Ma do niej zaufanie. Ona zawsze**

**mówi mu, co dla niego najlepsze.**

**- Nie idź do inżynierów - radzi tym razem.**

**- Mam nie iść? Jak? Wydano już polecenie.**

**- Każ je cofnąć.**

**Siegmund patrzy na nią, jakby namawiała go do zniszczenia konstelacji Chipitts.**

**- Wydostań je z komputera - mówi dalej Rhea. - Każ komuś z obsługi**

**Interfejsu zrobić to dla siebie. Użyj swoich wpływów. Nikt się nie dowie.**

**- Nie mógłbym zrobić czegoś takiego.**

**- No to pójdziesz do inżynierów moralnych. Wiesz dobrze, co to oznacza.**

**Monada przewraca się. W głowie wirują mu rumowiska walących się murów.**

**Kogo mógłby poprosić o coś takiego?**

**Chyba brat Micaeli Quevedo pracował w brygadzie obsługi**

**Interfejsu. Tyle że jego już nie ma. Ale przecież muszą być inni, których będzie mógł wykorzystać. Po wyjściu od Rhei Siegmund sprawdza akta w**

**Gnieździe Dostępu. Bez wątpienia wirus niebłogosławienności toczy już jego duszę. Nagle zdaje sobie sprawę, że właściwie to nie musi nawet**

**używać swoich wpływów. Wystarczy, że wykona parę rutynowych,**

**zawodowych posunięć. We własnym biurze wystukuje żądanie przesłania danych: Siegmund Kluver, skierowanie na terapię na 780 piętro.**

**Natychmiast dostaje informację, że Kluver ma zgłosić się na leczenie za siedemnaście dni. Komputer nie blokuje żadnych danych dla Gniazda**

**Dostępu w Louisville, zakładając z góry, że ten, kto pyta o nie z tego miejsca w sieci, ma do tego prawo. Bardzo dobrze. Następny ważny krok.**

**Siegmund każe komputerowi wymazać skierowanie Siegmunda Klavera**

na terapię. Tym razem maszyna waha się: chce wiedzieć, kto autoryzuje

polecenie. Siegmund namyśla się chwilę. Skierowanie Siegmunda

Kluvera na leczenie, informuje w końcu komputer, zostaje odwołane na

polecenie Siegmunda Kluvera z Gniazda Dostępu w Louisville. Czy

komputer to kupi? "Nie - powie mu maszyna - nie możesz odwołać

własnej terapii. Masz mnie za głupią?" Jednak potężne urządzenie *jest*

głupie. Wprawdzie myśli z prędkością światła, ale nie umie uporać się z

zastawionymi przez człowieka pułapkami. Czy Siegmund Kluver z

Gniazda Dostępu w Louisyille ma prawo odwołać skierowanie na terapię?

Ależ tak, z pewnością działa w imieniu samego Louisville. No to

odwołujemy. Instrukcje pędzą, migocząc, po odpowiednim złączu.

Nieważne, kto miał być skierowany na leczenie - jeśli tylko upoważnienie

do anulowania znalazło właściwe potwierdzenie w systemie. Załatwione.

Siegmund jeszcze raz wystukuje żądanie danych: Siegmund Kluver, skie-

rowanie na terapię na 780 piętro. Natychmiast przychodzi odpowiedź, że

skierowanie Kluvera zostało odwołane. Jego karierze znowu nic nie

zagroza. Tyle tylko, że został sam ze swoim bólem. Musi coś z tym zrobić.

Podziemia. Siegmund krąży niespokojnie między generatorami.

Czuje, jak gniecie go cały przytłaczający ogrom miastowca. Buczący śpiew

turbin działa mu na nerwy. Jest zdezorientowany, niczym wędrowiec w

otchłaniach piekieł. Jaka ogromna hala.

Wchodzi do mieszkalni 6029 w Warszawie.

- Ellen? - pyta. - To ja, wróciłem. Chcę cię przeprosić za ostatni raz.

Strasznie się pomyliłem.

**Kobieta potrząsa głową. Już go nie pamięta. Naturalnie, chętnie go przyjmie, zgodnie z powszechnym zwyczajem. Rozstawione nogi, rozluźnione w kolanach. Ale Siegmund tylko całuje ją w rękę.**

**- Kocham cię - mówi szeptem, i wychodzi.**

**Pittsburgh. Gabinet historyka Jasona Quevedo na 185 piętrze. Tu są archiwa. Siegmund zastaje Jasona siedzącego przy biurku i grzebiącego w kostkach z danymi.**

**- Wszystko tu jest, prawda? - pyta Siegmund. - Cała historia upadku cywilizacji... I tego, jak ją odbudowaliśmy. Pionowy rozwój jako główna przesłanka filozoficzna wzorca nowego, zgodnego współistnienia.**

**Opowiedz mi o tym, Jasonie. Przypomnij mi.**

**Quevedo przygląda mu się ze zdziwieniem.**

**- Jesteś chory, Siegmundzie? A Siegmund odpowiada:**

**- Skądże. Jestem stuprocentowo zdrowy. Micaela opowiadała mi o twojej teorii. Genetyczna adaptacja ludzkości do życia w monadach.**

**Chętnie poznałbym więcej szczegółów. Opowiedz, jak wyhodowano nas takich, jakimi jesteśmy. Jak zrobiono z nas szczęśliwą trzódkę.**

**Bierze do ręki dwa sześcianiki. Pieści je prawie erotycznie, zostawiając odciski palców na ich wrażliwych powierzchniach.**

**Jason odbiera mu je taktownie.**

**- Pokaż mi starożytny świat - prosi go Siegmund, ale kiedy historyk ładuje kostkę do otworu odtwarzającego, wychodzi.**

**Wielkie, przemysłowe Birmingham. Błady i spocony Siegmund przygląda się, jak jedne maszyny wytłaczają inne, podczas gdy ponurzy,**

**przygarbieni brygadziści nadzorują produkcję. Ta machina z ramionami**

**będzie pracować w osadzie farmerów przy przyszłorocznych żniwach.**

**Tamta ciemna, połyskująca rura będzie latać nad polami, rozpylając truciznę przeciw szkodnikom.**

**Uświadamia sobie, że płacze. Nigdy w życiu nie zobaczy, jak**

**wyglądają osady. Nigdy nie zanurzy palców w żyznej, brunatnej ziemi.**

**Doskonale zazębiający się układ ekologiczny współczesnego świata.**

**Zgodne współzycie osady i miastowca dla wspólnego dobra. Taki**

**cudowny, taki wspaniały system. A więc czemu płacze?**

**San Francisco: miasto artystów, muzyków, pisarzy. Kulturowe**

**getto. Dillon Chrimes ma próbę swojej kosmopakeli. Pajęczyna**

**ogłuszających tonów. Nieproszony gość.**

**- Siegmund? - pyta Chrimes, dekoncentrując się. - Jak leci? Fajnie, że wpadłeś.**

**Siegmund śmieje się. Pokazując na wibrastar, kometoharfę,**

**inkantator i pozostałe instrumenty, mamrocze:**

**- Nie przerywajcie, proszę. Ja tylko szukam boga. Mogę trochę posłuchać? Może jest tutaj. Grajcie dalej.**

**Na siedemset sześćdziesiątym pierwszym - najniższym piętrze**

**Szanghaju - odwiedza Micaelę Quevedo. Żona Jasona nie wygląda**

**najlepiej. Krucze włosy, zaniedbane, zwisają w bezładnych strąkach. Oczy**

**przepelnione goryczą, ściągnięte wargi. Jest wyraźnie przestraszona,**

**widząc go u siebie w środku dnia. Siegmund pyta prędko:**

**- Możemy przez chwilę porozmawiać? Chciałbym dowiedzieć się**

**paru rzeczy o twoim bracie Michaelu. Dlaczego wyszedł z monady. Co**

**takiego miał nadzieję znaleźć na zewnątrz. Wiesz coś na ten temat?**

**Jej twarz jeszcze bardziej tężeje.**

**- Nic nie wiem - mówi oschle. - Michael zwariował, to wszystko. Nie  
zwierzał mi się, czemu to zrobił.**

**Widać wyraźnie, że nie mówi mu prawdy, ukrywając jakieś ważne  
szczegóły.**

**- Nie bądź niebłogosławienna - nalega. - Muszę wiedzieć. Nie dla  
Louisville. Dla siebie samego.**

**Łapie ją za szczupły nadgarstek.**

**- Ja też myślę o wyjściu z miastowca - wyznaje.**

**Zagłęda do własnej mieszkalni na siedemset osiemdziesiątym  
siódmym. Mamelon wyszła. Pewnie jak zwykle gimnastykuje swoje jędrne  
ciało w Hali Fizycznego Spełnienia. Siegmund nagrywa dla niej krótką  
wiadomość.**

**- Kochałem cię - mówi. - Kochałem cię. Kochałem.**

**W przejściu na korytarzu natyka się na Charlesa Matterna.**

**- Wpadnijcie do nas na kolację - zaprasza socjokomputa-tor. -**

**Principessa tak was lubi. Dzieci też. Indra i Sandor, nawet Mara, stale o  
was pytają. "Kiedy znów przyjdzie Siegmund? Jest taki fajny".**

**Siegmund potrząsa głową.**

**- Wybacz, Charles, może kiedy indziej. Dzięki za zaproszenie.**

**Mattern wzrusza ramionami.**

**- Szczęść boże, to do następnego razu - rzuca na odchodnym,**

**zostawiając Siegmunda w samym środku przelewającego się tłumy przechodniów.**

**Toledo. Ulubione przez rozpieszczone latorośle kasty administratorów. Miasto Rhei Shawke. Siegmund nie ma odwagi na wizytę u niej. Jest za spostrzegawcza, rozszyfrowałaby od razu, że jest w ostatnim stadium załamania i na pewno podjęłaby jakieś środki zaradcze.**

**Mimo to musi przynajmniej zbliżyć się do niej. Przystaje przed jej mieszkalnią i z czułością przyklada wargi do drzwi. Rhea. Rhea. Rhea. Ciebie też kochałem. Teraz na górę.**

**Nie ma zamiaru odwiedzać nikogo w Louisyille, mimo iż czuje, że tego wieczoru widok któregoś z zarządców, Nissima Shawke, Monroe Stevisa czy Kiplinga Freehouse'a, sprawiłby mu przyjemność. Magiczne nazwiska, które wciąż poruszają coś w jego duszy. Najlepiej ominąć je w pamięci. Idzie prosto na tysięczne piętro, na lądowisko. Wychodzi na dwór, staje na płaskiej, omiatanej wiatrem płycie. Już noc. Gwiazdy płoną jak szalone. Tam wysoko jest bóg; wszechobecny i wszechogarniający, ze spokojem unosi się wśród niebiańskiej maszyneryi. Siegmund ma pod stopami cały ogrom Monady Miejskiej 116. Liczba ludności na dzisiaj? 888 904. Mniej więcej. Jakies 131 in plus od wczoraj i 9902 od początku roku - w miejsce tych, którzy odeszli zasiedlić nowy Miastowiec 158. A może to zupełnie błędne liczby? Nieważne. Jak by nie było, monada tętni życiem. Rodzi owoce, wypełnia się. Szczęść boże! Taka rzesza bogobojnych sług. 34 tysiące dusz w samym Szanghaju. Warszawa. Praga. Tokio. Upajający pionowy wzrost. Jedna strzelista wieża mieszcząca tyle tysięcy**

istnień. Tyle przyłączeń do jednej centralnej macierzy. Doskonała równowaga, a jednocześnie tryumf nad entropią. Tak dobrze się zorganizowaliśmy. Wszystko dzięki naszym oddanym administratorom. A tam, spójrz tylko! Sąsiednie monady! Jaki cudownie równiutki rząd! 117,118,119,120. Pięćdziesiąt jeden wież konstelacji Chipitts. Łączna liczba ludności: 41 516 883. Coś koło tego. Na wschód od Chipitts mamy Boshwash. Na zachód - Sansan. Za morzem leżą Berpar i Wienbud, Shankong i Bocarac. I jeszcze więcej. Skupiska wież, a w każdym miliony zamkniętych w środku dusz. Ile to ludzi mamy dziś na świecie? Doszliśmy już do siedemdziesięciu sześciu miliardów? Prognozy na całkiem niedaleką przyszłość zakładają jakieś sto miliardów. Trzeba będzie zbudować sporo nowych miastowców, żeby to wszystko pomieścić. I tak zostanie jeszcze mnóstwo miejsca na Ziemi. Ostatecznie, można przecież stawiać platformy na morzu.

Patrzy na północ i wydaje mu się, że na horyzoncie widzi blask ognisk, płonących w osadzie rolniczej. Niczym błysk diamentu w promieniach słońca. Rolnicy tańczą. Te ich śmieszne obrzędy. Muszą wybłagać płodność dla swoich pól. Szczęść boże! Nie mogłoby być lepiej. Siegmund uśmiecha się i rozkłada szeroko ramiona. Gdyby tylko mógł objąć wszystkie gwiazdy, może wtedy znalazłby boga? Podchodzi do samej krawędzi lądowiska. Bariierka i pole siłowe chronią go przed podmuchem hulającego na wolności wiatru, który mógłby strącić go w otchłań śmierci. Naprawdę mocno tu wieje. Nic dziwnego, w końcu to trzy kilometry nad ziemią. Iglica, mierząca w boskie oko. Gdyby tylko mógł doskoczyć do



nieba. Poszybować w powietrzu, patrząc w dół na Chipitts ze swoimi  
rzędami wież, otoczonych polami uprawnymi - tę precudowną harmonię  
pionowości mo-nad i horyzontalnego piękna rolniczych osiedli. Jak  
wspaniale wygląda świat tej nocy. Siegmund odrzuca głowę w tył. Oczy  
mu płoną. Błogosławienny nie kłamał. Bóg jest. Tam! I tam! Zaczekaj na  
mnie, już idę! Przekłada nogi przez barierkę. Drży trochę. Mocuje się z  
prądami powietrza. Przeszedł już nad polem ochronnym. Miastowiec  
zaczął się jakby przechylać. Pomyśleć tylko, ile ciepła muszą dawać 888  
904 ludzkie ciała, żyjące pod jednym dachem. Ile śmieci trafia co dzień do  
zsuwni. Te wszystkie istnienia, złączone na wielkiej, wspólnej rozdzielni.  
A bóg czuwa nad nami. Idę! Już idę! Siegmund ugina nogi w kolanach,  
zbiera się w sobie, bierze głęboki wdech. Dalekim, pięknym skokiem leci  
do boga.

\* \* \*

Poranne słońce zawędrowało już na wysokość górnych pięć-  
dziesięciu pięter Monady Miejskiej 116. Jeszcze trochę i cała wschodnia  
ściana budowli zacznie lśnić niczym gładź morza o świcie. Tysiące okien  
rozbłyska, pobudzone pierwszymi fotonami brzasku. Śpiący wiercą się.  
Życie biegnie dalej. Szczęść boże! Zaczyna się kolejny szczęśliwy dzień.